

LAURIE GRANT

**Pan i
klamca**

PROLOG

Kingsclere, rok 1077

To było w gruncie rzeczy niewinne zdarzenie. Mały chłopiec chciał pocieszyć swoją rówieśnicę, szlochającą nad utraconym skarbem.

Zaczął się od wyzwania.

„Na pewno nie przejdiesz po pniu leżącym nad strumieniem, bo jesteś tylko dziewczyną, a dziewczyny wszystkiego się boją!”

Skończyło się kąpielą w zimnej wodzie.

Gwoli prawdy należy dodać, że do kąpeli doszło dopiero przy drugiej próbie pokonania naturalnego mostku. Pierwsza zakończyła się pełnym sukcesem. Młoda dama po raz drugi doszła do końca pnia i zawróciła, chcąc przejść z powrotem. Nagle: chlup! - i jej towarzysz musiał ją ratować, bo zaczepiła suknią o gałąź wystającą z wody. W rezultacie oboje się skąpali, a gdy wyszli ze strumienia, marzli przeniknięci chłodnym kwietniowym wiatrem.

Znaleźli schronienie w schowku przy stajni, w którym trzymano dodatkowe koce i derki dla słynnych w całej okolicy wierzchowców z Kingsclere. Wytarli się do sucha. W pewnej chwili Aldyth wybuchnęła płą-

czem. Spozstrzegła bowiem, że zgubiła w wodzie zieloną wstążkę do włosów.

W swoim kufrze miała dziesiątki innych wstążek, ale ta była najcenniejsza, a zarazem najważniejsza. Prezent od Ranulfa, przywieziony z odpustu w Londynie. Ponoć kupił ją specjalnie dla niej, bo pasowała do jej wielkich szmaragdowych oczu. Teraz leżała gdzieś na dnie strumienia, a niewykluczone, że porwał ją silny wiosenny prąd. Aldyth była święcie przekonana, że już nigdy w życiu nie dostanie nic piękniejszego. Obawiała się też, że matka ją zbije za ubłoconą nowiuteńką suknię. W dodatku dół sukni był mocno podarty.

Wpadła w rozpacz. Ranulf pochwycił ją w ramiona i próbował jakoś pocieszyć. Czuł dotyk jej zziębniętego ciała, bo przedtem zrzucili odzienie, aby się wytrzeć i ogrzać przed powrotem do domu.

Niebaczny na to, że jej drobne piersi dotykają jego nagiej skóry, zamknął oczy i szeptał kojące słowa - trochę po francusku, zwyczajem Normanów, a trochę po angielsku. Czuł zapach jej włosów zmieszany z wonią stajni, upręży i siana. Wcale mu to nie przeszkadzało. Nawet mu się spodobało.

Warto tu chyba wspomnieć, że ów Ranulf liczył już sobie siedem wiosen i miał niedługo wyjechać na dwór Wilhelma Zdobywcy, aby tam kształcić się w rzemiośle rycerskim.

Aldyth przestała płakać dopiero wtedy, gdy obiecał, że następnym razem, gdy będzie w Londynie, kupi jej więcej wstążek w tym samym kolorze. Po chwili jednak znowu zaczęła biadolić.

- Och, Ranulfie, zostaniesz na wiele lat na królewskim dworze! Wrócisz tu, gdy będziesz mężczyzną! Nie wcześniej.

To powiedziawszy, rozpląkała się na dobre.

- Aldyth - szepnął jej wprost do ucha. - Wiesz dobrze, że będę tu zaglądał. Przecież to nie wygnanie. A jeśli prezent jest ci miłszy ode mnie... - dodał i odchylił głowę, aby widziała, że to tylko żarty - mogę zawsze opłacić posłańca, żeby ci przyniósł.

- Ranulfie! - pisnęła, zaaferowana, że w jego oczach wyszła na chciwą białogłową. Przecież go miała za najlepszego druha. - Pokażę ci, co jest dla mnie najważniejsze!

Rzuciła mu się w objęcia i przycisnęła drobne usteczka do jego ust, tak jak widziała to onegdaj, kiedy dziewczka od krów całowała pasterza.

Była jeszcze zbyt młoda, by smakować rozkosze zastrzeżone dla dojrzałego wieku, a jednak czuła się lepiej w obecności Ranulfa. Jemu też zasmakował ten pierwszy pocałunek.

- Och, Ranulfie. Będę tęskniła.

- Ja też, Aldyth. Do tej pory nawet mi to nie przyszło do głowy. Czekać na mnie.

W tej samej chwili czyjeś wtargnięcie przerwało dziecięce zwierzenia.

Gwałtownie otworzyły się drzwi stajni. Snop słonecznego światła oślepił Ranulfa i Aldyth. Drzwi huknęły o ścianę, aż zadźwięczała uprząż wisząca na ścianach. Odkryto ich. Ranulf został gwałtownie wyciągnięty za ramię na dziedziniec. Intruzem był nie kto inny, tylko sam lord Etienne. Zostawił syna i ponownie zerknął do stajni.

Ze zdumieniem rozpoznał w półnagiej dziewczynce córkę Nyle'a z Sherborne.

- Głupcze! - ryknął, aż Ranulfa rozboleły uszy. - To tak szykujesz się do rycerskiego stanu? Hańbisz dziecię mojego wasala?

- Nie, milordzie - odpowiedział chłopiec.

Walczył ze łzami i starał się zapanować nad głosem. Niezwykle rzadko miał okazję drzeć przed swym rodzicem, bowiem earl Kingsclere wychowywał dziatwę twardą, lecz kochającą ręką.

- Pocieszałem ją tylko - dodał, zrozumiawszy, że lord Etienne fałszywie ocenił sytuację. - Wpadliśmy do strumienia. Byliśmy cali mokrzy, Aldyth zaś na dodatek zgubiła kokardę.

- I musieliście się rozebrać i stać obok siebie jak was Pan Bóg stworzył? - Kasztelan roześmiał się gorzko. - Na rany Chrystusa, nie jestem aż tak głupi. Chłopcze mój, wszak dopadłem niejedną dziewczynę, zanim poznałem twoją matkę. - Głos mu zmiękł na wspomnienie lady Nicholi. - Powinieneś trochę poczekać i rozejrzeć się pośród dwórek! Córka sir Nyle'a nie jest dla ciebie, młokosie! Zrozumiano?

Potem, jakby przypomniał sobie o obecności Aldyth, powiedział łagodniej:

- Idziemy. Ubierz się i pójdz do swoich komnat, że byś mogła znaleźć coś suchego i się przebrać.

Dziewczynka, otulona w derkę, podeszła do drzwi.

- Ranulf mówił najszczerzą prawdę, milordzie. Nie chciał uczynić niczego złego. Błagam cię, nie karz go i nie mów nic moim rodzicom!

Earl popatrzył na nią.

- Nie obawiaj się, Aldyth. Nie ponosisz winy. Hańba spada na głowę mego syna, który nie wie, jak z honorem zadawać się z niewiastami. Idź już.

Odprawił ją ruchem dłoni. Pociągnął chłopca za sobą, by wymierzyć mu sprawiedliwość.

Ufałam, że zostanie przy nas do świętego Michała - powiedziała lady Nichola tej nocy, spoczywając w ramionach męża.

Niechętnie wypuszczała z domu pierworodnego syna. Zdawała sobie jednak sprawę, że z nadejściem pewnego wieku jest to nieuniknione. Tak nakazywała tradycja. Tak postępowano we wszystkich szlacheckich rodach. Posyłano synów na rycerską służbę, ponieważ uważano, że powinni wychowywać się z dala od matki. Wierzono, że inaczej nie wyrosną na dzielnych rycerzy.

Z chwilą wyjazdu z Kingsclere na dwór Wilhelma Ranulf wstępował na wyboistą i pełną trudów ścieżkę wiodącą do dorosłości. Lady Nichola obawiała się, że na dobre o niej zapomni. Nie chciała go jednak zwracać z tej uświęconą obyczajem drogi, gdyż to ściągnęłoby nań wyłącznie nieszczęścia. Chłopca chowanego pod matczynym dachem nikt nie traktował poważnie.

- Wiem, *m'amie* - odparł lord Etienne. Znał jej obawy i żale, płynące z czułego, przepelnionego uczuciem serca. - Jak mogliśmy się zorientować, jest w pełni gotów do tego, aby rozpocząć nowy etap życia. Dzisiejsze wypadki udowodniły, że dojrzeła.

Lady Nichola nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu.

- Obawiam się, że sir Nyle też byłby gotów zwymyślać twojego dziedzica, gdyby się tylko dowiedział o ich małej przygodzie. Jest zapatrzony w córkę. To jego oczko w głowie. Jakby sam nie wierzył, że mógł z Mercią spłodzić taką boginkę.

Lord Etienne uśmiechnął się także. Na jego twarzy migotała poświata bijąca od węgla z kominka. W myślach porównał grubo ciosane saskie rysy sir Nyle'a i Mercii z gładkim liczkami ich córki. Urodziła się równo dwa lata po Ranulfie. Ostatnio kasztelan z rodziną zjechali do Kingsclere. Sir Nyle chciał pomówić o dalszych umocnieniach fortecznych w swoich włościach.

Etienne zaciągnął zasłony, oddzielające łożę od komnaty.

- Mercia na pewno da jej porządną burę, kiedy zobaczy

zabłoconą suknię. Ojciec raczej nie będzie się wtrącał. Dziewka ma pstro w głowie nie mniej niż Ranulf.

Uznał, że już dość o dzieciach i mocniej przygarnął żonę.

Dwa dni później Ranulf, w towarzystwie ojca, dosiadł wierzchowca i wyruszył w drogę do Londynu. Zafalowany tym, co go czeka u końca podróży, nie zwrócił uwagi na to, że z okna wieży obserwuje go zapłakana Aldyth.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Sherborne, rok 1088

- Doszły mnie wieści, że przyjeżdża syn earla - powiedziała kucharka Helwise do praczki Gody, kiedy spotkała ją koło studni na dziedzińcu zamku Sherborne.

- Młody Ranulf znowu w Kingsclere? Odszedł ze dworu?

- Skądże! - fuknęła kucharka. - Przybywa tylko z wizytą. Poza tym to teraz lord Ranulf - dodała znaczącym tonem. - Pasowany przez króla Wilhelma. Pierwszego Wilhelma, nie tego nowego. Nowy dał mu za to bogatą posiadłość w pobliżu Winchesteru.

Goda w rzeczy samej nie była ciekawa, kto tam rządził w Londynie czy też w Winchesterze. Sami Normanowie, więc cóż za różnica? Zebrała się, żeby odejść, ale Helwise nie pozwoliła jej na to, ponieważ miała w zanadrzu jeszcze inne wiadomości.

- Akurat byłam w wielkiej sali, kiedy sir Nyle wraz z córką wymieniali najświeższe nowiny. Właśnie przyjechał goniec z Kingsclere z listem. Sir Nyle przeczytał list na głos, chociaż nawet głuchy domyśliłby się od razu, o co chodzi, widząc spłonioną twarz lady Aldyth. - Pokiwała głową.

- Co to znaczy?

Głos kucharki wyraźnie rozbrzmiewał w rześkim porannym powietrzu. Dobiegł też uszu lady Aldyth, wychodzącej właśnie ze stajni, w której doglądała ulubionej klaczy Robin. Usłyszawszy swe imię, ukryła się w cieniu i z ciekawością słuchała dalszych słów kucharki.

- Można by pomyśleć, że sam święty Michał wkrótce do nas zawita - mądrzyła się Helwise.

- Eee... - parsknęła Goda. - Jakby mnie kto pytał, to ta dziewczka zbyt długo już hasa samopas.

- Prawda to! - zgodziła się Helwise. - Wyobraźcie sobie, pannica osiemnastoletnia i jeszcze bez chłopca! Dawno powinna już być żoną i mieć jedną lub dwie pociechy. Sęk w tym, że pan ojciec za bardzo jej pobłaża.

- Rzeczywiście, to wina sir Nyle'a. Od śmierci żony niemożliwie rozpuścił dziewczynę.

- Powinien jej powiedzieć, żeby nie liczyła na to, że wyjdzie za Normana, i to jeszcze takiego, który w niedługim czasie odziedziczy tytuł earla. Takiemu marzy się lepsza partia niż córka angielskiego kasztelana.

- Może by na nią i spojrzeć, lecz ożenek nie wchodzi w rachubę - zdecydowanie orzekła praczka.

- Zepsuje ją i skradnie serce, a po takiej przygodzie nie spojrzy na nią już żaden uczciwy Anglik - zawtórowała jej kucharka.

Wciąż gadając, odeszły w stronę domostw. Zagniewana Aldyth pozostała sama w kryjówce. Ze złości zaciskała pięści. Miała szczerą ochotę wyskoczyć z ukrycia i porządnie zbesztać te dwie głupie sługi.

Jak mogły ją tak oczerniać? Jakże mogły twierdzić, że ona nie jest godna zostać żoną sir Ranulfa. Będą zdumione, gdy przygalopuje na ognistym ogierze i poprosi jej ojca o rękę pięknej córki.

Udławią się ze zdziwienia, dodała mściwie w duchu. Będą prac i gotować dla weselnych gości.

Och, wesele. Aldyth z rozmarzonym uśmiechem oparła się plecami o drzwi stajni. Wyobraziła sobie, że stoi w kościelnej nawie, przed ołtarzem, u boku Ranulfa, powtarzając słowa małżeńskiej przysięgi. Była ubrana w zieloną suknię, tak pięknie podkreślającą kolor jej szmaragdowych oczu. Oczyma duszy widziała, jak kasztanowe włosy luźną kaskadą spływają na ramiona. Na skroniach miała mały wianek, przytrzymany zieloną wstążką.

Nie widziała Ranulfa z Kingsclere już całe cztery lata, od świąt Bożego Narodzenia, które wołał spędzić z rodziną niż po drugiej stronie Kanału, w Rouen, na dworze Wilhelma. Wyrósł na dzielnego i urodziwego młodzieńca. Tak urodziwego, że niejedna panna z lubością nań patrzyła. Miał ciemne oczy, patrycjuszowski nos i olśniewający uśmiech. Górował nad otoczeniem, ponieważ wzrostem wdał się w ojca. Włosy też odziedziczył po ojcu, tyle że u earla Etienne czarna czupryna była już mocno przyprószona siwizną.

Niestety, w czasie wizyty niewiele chwil spędzał z Aldyth. Był zbyt zajęty obowiązkami gospodarza i umilaniem pobytu księciu Henrykowi, który także w tym czasie zjechał z całą świtą do zamku Kingsclere. Etienne i lady Nichola z rozbawieniem patrzyli na za-

biegi syna, Aldyth zaś wybaczyła mu wszystkie przewinienia, zwłaszcza po tym, jak ośmielony winem pocałował ją pod jemiolą. A umiał całować! Aż jej dech zapało. Mrugnął potem szelmowsko, co zapewne znaczyło: Czekać. Kiedyś będziesz moja. Pocałunków ci wówczas nie zbraknie.

Faktem jest, że ogromnie wyprzystojniał. Stał się ucieleśnieniem marzeń każdej białogłowy o dzielnym rycerzu. Wąskie biodra, szerokie bary i lśniące czarne oczy, a także uwodzicielski uśmiech. Ten sam, z jakim na nią patrzył, kiedy szła po zwalonej kłodzie w dniu, w którym zgubiła wstążkę, oraz potem, gdy ją pocieszał w stajniach Kingsclere. Za zniszczoną suknię dostała porządną burę. Do dziś ją pamięta.

Uśmiechnęła się do swoich myśli. W tej samej chwili dostrzegł ją sir Nyle, wychynąwszy zza rogu. Ze zdumieniem popatrzył na córkę.

- A cóż tam, moja panno, knujesz wraz z tą klaczką?
- zapytał, *patrzac* prosto w jej zielone oczy. Był od niej wyższy zaledwie o kilka cali. - Po twojej minie widać, że to nic dobrego.

- Skądże, ojczy - odparła najbardziej niewinnym tonem, na jaki umiała się zdobyć. Zerknęła na niego spod półprzymkniętych powiek. Nie wydawał się przekonany.

- Przypomniałam sobie pewne zdarzenie sprzed wieków - dodała tytułem wyjaśnienia. Pamiętasz, jak poszłam z Ranulfem... popływać?

Nie potrafił się na nią gniewać. Wystarczyło jej jedno spojrzenie, a już topniał jak wosk. Nie mógł wyjść z po-

dziwu, że ma tak piękną i pełną uroku córkę. Mimo to nie wątpił, że jest jej prawdziwym ojcem. W jej rysach i figurze można było odnaleźć ślad podobieństwa do niego i do Mercii, po której odziedziczyła, na przykład, dumny angielski podbródek. Lecz skąd się u niej brały mlecznobiała cera, zmysłowe usta, perłowe zęby i urokliwe szmaragdowe oczy? Wszak nawet córki królów rodziły się brzydkie i bezbarwne.

Sir Nyle doskonale zdawał sobie sprawę, że powinien *chować* ją w większym *rygorze*, zwłaszcza od dnia, w którym Mercia zmarła przy porodzie Warina. Aldyth miała wówczas osiem lat. Sir Nyle wysłał ją do Kingsclere, żeby dorastała pod czułą opieką lady Nicholi. Sam próbował jakoś ułożyć sobie życie po śmierci żony. Aldyth powróciła do domu jako trzynastolatka. Przedtem przyjeżdżała tylko na krótkie wizyty. W czasie ostatniej z nich przekonała się, że kwitnąca dawniej posiadłość ojca popada w ruinę, i postanowiła zapobiec dalszemu spustoszeniu. Odmówiła powrotu do zamku earla.

Okazała się dobrą i energiczną gospodynią.

Wiele skorzystała z nauk lady Nicholi. Porządki zaczęła od głównej zamkowej sali, która w tym czasie przypominała pospolite koszary, służąc za schronienie zbrojnym, pomywaczkom, psom i ciurom. Na polecenie Aldyth wymieciono wszystko: i ludzi, i śmieci. Ci, którzy pozostali na służbie kasztelana, prędko się nauczyli nie zadzierać z jego córką. Zbrojni musieli włożyć czystsze tuniki, a biada temu, który raczył się piwem podczas służby. Długo miejsca nie zagrzał. Dziewki

służebne, świadczące przeróżne usługi, stanęły przed wyborem: albo natychmiast zmieniają swoje postępowanie, albo jazda za mury, zarabiać na gościńcu. Zakupiono mydło, bo Aldyth wprowadziła powszechny zwyczaj kąpieli. Na podłogach rozłożono dywany, a na odnowionych ścianach zawisły gobeliny.

Uporawszy się z wielką salą, Aldyth już na dobre przejęła rządy w zamku. Nie słuchała nikogo, nawet własnego ojca. Robiła, co chciała. Z własnej woli pozostawała w niezamężnym stanie.

Kilku młodzieńców, Anglików, z łaski króla dopuszczonych do szlacheckiego stanu, prosiło sir Nyle'a o rękę jego nadzwyczaj powabnej córki. Ona im jednak odmawiała - jej ojciec zaś, ku zadziwieniu gminu, przyzwalał jej na to. Wiedział, że źle robi, bo młode niewiasty powinny słuchać rodziców, lecz nie miał sumienia zmuszać córki do czegoś, co było wbrew jej woli. Wynalazł sobie dobre usprawiedliwienie: otóż uznał, że po odejściu Aldyth zamek znów podupadnie, a służba i zbrojni powrócą do złych nawyków. Tu potrzeba kobiecej ręki, powtarzał i za każdym razem utwierdzał się w tym, że podjął mądrą decyzję. Prawda była taka, że ogromnie kochał córkę i chciał dla niej jak najlepszego losu, a sam nie palił się do powtórnego ożenku.

Podejrzewał, że córka czeka na przyjazd Ranulfa. Bał się jednak, że spotka ją rozczarowanie. Krążyły plotki, że syn earla wyrósł już z dziecięcych uczuć, jakimi przed laty darzył Aldyth.

No cóż. Sama będzie musiała się o tym przekonać.

- Czego chciałeś ode mnie, ojcze? - zapytała. W jej

pięknych przejrzystych oczach skrzyły się iskierki wesołości. Sir Nyle mógłby przysiąc, że podobnie jak Merda czasami bez trudu czytała w jego myślach.

- Ja? Eeee... no tak. Przychodzę z pytaniem, czy nie zechciałabyś wybrać się do Kingsclere? Zobaczyłabyś swoich braci i pokłoniła się synowi naszego pana. Na pewno przywiózł jakieś wieści z Londynu.

- Och! - Aż pokraśniała, co wzbudziło lekki niepokój jej ojca. - Bardzo... bardzo bym chciała zobaczyć Warina i spytać, jak mu się wiedzie. Za Godrikiem też tęsknię. No i dobrze coś wiedzieć o naszym nowym królu. Słyszałam, że zwą go Rudym, ze względu na kolor włosów.

Patrzyła przy tym w ziemię i starannie dobierała słowa.

Ojciec nie dał się zwieść pozorom. Mimo to odpowiedział grzecznie, że lord Ranulf z pewnością dobrze poznał następcę Zdobywcy, ponoć całkiem innego niż królewski rodzic.

Ruszyli następnego dnia, zaraz po posiłku. Podróż z Sherborne do Kingsclere nie trwała długo.

Październikowa aura nie szczędziła blasku. Promienie słońca, zawieszane w przejrzystym powietrzu, malowały złociste plamy na kolorowych liściach. Wiewiórki skakały z gałęzi na gałąź, gromadząc zapasy na zimę. Jedna z nich, wyjątkowo uparta, walczyła z twardym orzechem. Na ziemię i na głowy podróżnych posypały się różnobarwne liście. Aldyth śmiała się serdecznie, obserwując zwinne zwierzątko.

W drodze przez las nie spotykali innych ludzi. Jedy-
nym śladem, że w okolicy rzeczywiście ktoś mieszka,
były szalasy wypalaczy węgla drzewnego, widoczne
czasami w prześwitach. Aldyth zdawała sobie sprawę,
że śledzą ich oczy innych, mniej zacnych mieszkańców
gęstwiny. Jednak obecność zbrojnej straży skutecznie
studziła zapędy wszelkiego autoramentu obwiesiów.

Po pewnym czasie wjechali między pola. Tu i ów-
dzie stały jeszcze stogi - pozostałość po żniwach. Chłopi
korzystali z resztek słonecznej pogody i - rozebrani
do pasa - od świtu do nocy pracowali na roli. Ich po-
chylone plecy świeciły od potu. Przerywali robotę jedy-
nie w połowie dnia, żeby zjeść nieco sera i popić cien-
kim piwem. Z ciekawością patrzyli na przejeżdżający
orszak. Najśmielszy z nich, widząc piękną niewiastę na
białej klaczy, odważył się pomachać. Lady Aldyth zer-
nęła na ojca, czy przypadkiem nie patrzy w jej stronę,
a potem odpowiedziała młodemu zuchwalcowi lekkim
skinieniem ręki.

Już od dobrej chwili jechali w milczeniu, aż wreszcie
Aldyth pierwsza się odezwała:

- Ciekawa jestem, czy w ogóle rozpoznam Warina.
Zmęśniał na pewno od czasu, gdy pojechał do Kings-
clere. Chyba nie tęskni za domem.

- W samej rzeczy. Pewnie też nie pragnie, żeby mu
przypominano, iż kiedykolwiek tęsknił. - Sir Nyle par-
sknął śmiechem. - Choć na samym początku dał im się
nieźle we znaki. Earl Etienne wspomniał nawet, że twój
brat był jedynym Anglikiem wśród gromady Norma-
nów. Oj, nie miał on wśród nich najłatwiejszego życia.

Ale z drugiej strony, dość szybko pokazał, że w jego żyłach płynie dobra angielska krew.

Uśmiechnął się do swoich wspomnień. Niejeden młody Norman chodził z rozbitym nosem - co nie budziło sprzeciwów earla - zanim Warin wywalczył mocną pozycję w grupie.

- Jak znajdziemy Godrica? W dobrym zdrowiu? - zapytała Aldyth. Godric był jej starszym bratem, urodzonym w tym samym roku co Ranulf. Zakończył służbę w charakterze pazia i pozostał w Kingsclere jako giermek.

- Mam nadzieję. Kiedy widziałem go ostatnio, wydawał się mocno niezadowolony. Dalibóg, nie wiem, czemu pała niechęcią do Normanów, skoro nie znał innego życia.

- Zwłaszcza że ty sam poszedłeś z nimi na ugodę.

- Przyjaźni się z wieloma Anglikami, którzy wciąż krzywym okiem patrzą na zwycięzców. Pamiętaj, córko, że miałem dużo szczęścia, trafiając pod opiekę tak łaskawego pana jak earl Etienne. Obdarzył mnie przyjaźnią. Zostałem kasztelanem w czasie, gdy wielu z naszych straciło swe majątki. Obawiam się, że Godric już od lat postrzega mnie jako zwykłego zdrajcę.

- Głupi jest, jeśli myśli, że Anglia może być taka jak przed bitwą pod Hastings! - z przejęciem zawołała Aldyth.

Od dawna chciała w sposobniejszej chwili porozmawiać ze starszym bratem. Godric powinien wiedzieć, że jego zachowanie budzi uzasadniony niepokój ojca. W tej chwili jednak nic nie mogła zdziałać, więc skiero-

wała myśli ku bardziej przyziemnym sprawom. Co włoży na wieczorną ucztę? W jakiej sukni ma dzisiaj przywitać Ranulfa? Co powie mężczyźnie, którego pokochała?

Tymczasem kiedy znaleźli się przed zamkiem Kingsclere, pan jej serca nawet się nie pojawił, nie mówiąc już o serdecznym powitaniu. To earl Etienne i lady Nichola wyszli, aby ich przywitać i pozdrowić. Do kolacji została jeszcze dobra godzina, więc podróżni mogli się umyć i pokrzepić kubkiem grzanego wina. Z wdzięcznością przyjęli poczęstunek, tym bardziej że pod koniec drogi niebo zasnuło się chmurami i powiał zimny wichur.

Aldyth, choć z utęsknieniem wyglądała Ranulfa, zamierzała od razu skorzystać z okazji, by zmyć z siebie końską woń i kurz, który osiadł na skórze i włosach podczas drogi. Pomyślała, że włoży zieloną suknię i upnie włosy wstążkami kupionymi u wędrownego kupca, na pamiątkę odległych czasów.

- Och. Przepraszam, milady. Chyba się zamyśliłam - wyjąkała, gdy nagle zdała sobie sprawę, że żona earla coś do niej mówi.

- Powiedziałaś jedynie, że wyrosłaś na prawdziwie piękną niewiastę, Aldyth - spokojnie powtórzyła lady Nichola.

- Jak to się dzieje, że jeszcze nie wyszłaś za mąż?
- wtrącił Etienne. - Podejrzewam, że wszyscy młodziecy z Sherborne tłumnie wala do zamku, padając do stóp ojca i prosząc o twoją rękę.

Aldyth, milcząc, spłonęła rumieńcem i wbiła wzrok w ziemię.

- W rzeczy samej, to prawda, milordzie - odpowiedział za nią sir Nyle. - Mogłaby wybierać do woli w chętnych do żeniaczki. Sądzę jednak, że boi się mnie zostawić samego na gospodarstwie, które tak udatnie prowadzi. Ja z kolei, przyznaję, lubię jej towarzystwo.

- Fe, milordzie, spójrz na nią, ależ ją speszyłeś! - zmitygowała męża lady Nichola. - Poślałam po Warina. Myślę też, że i Godric będzie na wieczery - zwróciła się do gości. - Wiem, że tego chcecie. Och, jeden już przyszedł!

W drzwiach komnaty pojawił się młodzieniec o kasztanowych włosach, takich samych jak u Aldyth. Ruszył szybkim krokiem ku nowo przybyłym, ale zaraz przypomniał sobie o manierach i złożył głęboki ukłon w iście francuskim stylu.

- Tak już lepiej - z uznaniem powiedział earl Etienne.

Aldyth z niemym podziwem spoglądała na brata. Prawie dorównywał jej wzrostem. Miał długie nogi i ręce, przez co przypominał żrebaka. Na pewno się jeszcze nie golił. Kiedy mówił, w jego głosie pobrzmiwały dziecięce tony, lecz po francusku przemawiał jak urodzony Norman.

- Wiele się nauczyłeś, synu - pochwalił go sir Nyle w tym samym języku, a potem rozwarł ramiona i przeszedł na angielski:

- Ale dość tego! Przywitaj się z siostrą i ze mną!
Warin rzucił szybkie spojrzenie na swojego pana

i najwyraźniej uzyskał niemą aprobatę, bo podskoczył się witać jak uszczęśliwiony młodziak. Z werwą opowiadał o nowych doświadczeniach, o niebezpiecznej zabawie, jaką było celowanie kopia w kukłę, w dodatku w pełnym galopie. Źle trafiona kukła obracała się i waliła buzdyganem nieszczęsnego jeźdźca.

- I coraz lepiej radzę sobie z łukiem, ojczy - dodał.
- Ze stu kroków trafiam w sam środek tarczy. A ty, Aldyth, musisz zobaczyć mojego szczeniaka! Pochodzi z najlepszej myśliwskiej sfory! Sam milord mi go podarował. Wabi się Roland, na pamiątkę bohatera romanisu. Pokażę ci też sokoły. Lord Etienne mawia, że tylko ja zachowuję się na tyle cicho, abym mógł bez przeszkód wchodzić do ptaszarni.

- Teraz wyraźnie zabrakło ci tej umiejętności - roześmiał się Etienne.

Warin z trudem starał się opanować.

- Najlepsze zostawiłem, rzecz jasna, na koniec.

- To znaczy? - z uśmiechem zapytała siostra.

- Jako paź pojedę wraz z lordem Ranulfem na dwór królewski! - wypalił.

- Jestem dumny z ciebie, mój synu - powiedział sir Nyle i poklepał go po ramieniu. - Dobrze się sprawiłeś.

- Twoi bliscy są bez wątpienia strudzeni podróżą - wtrącił earl. - Na pewno chcą się wykapać przed wieczszą. Odprowadź ich na pokoje, a potem wracaj do nas. Pomożesz w przygotowaniach. Reszta może czekać.

Sir Nyle wstał z fotela, żeby odejść, lecz Aldyth

chciała znać odpowiedź na jeszcze jedno pytanie, dręczące ją od momentu przybycia do Kingsclere.

- Czy R... lord Ranulf zje z nami wieczerzę, milordzie? Chciałam... Chcieliśmy mu powinszować objęcia baronii i posłuchać o koronacji nowego króla.

Czuła, że się czerwieni na samo wspomnienie imienia rycerza.

Earl niespokojnie popatrzył na żonę.

- Owszem, dołączy do nas - odparł sucho.

Aldyth słuchała tego ze zdumieniem. Niepewnie spojrzała na lady Nicholę, ta jednak przez chwilę jakby nie potrafiła znaleźć odpowiedniego słowa.

- Boję się, moja droga, że pobyt u króla trochę... zmienił Ranulfa - powiedziała wreszcie. - Stał się... dworzaninem.

- Znam inne określenie - burknął earl Etienne. Umilkł jednak pod karcącym spojrzeniem żony. Aldyth patrzyła na nich z zakłopotaniem. Nic nie rozumiała.

ROZDZIAŁ DRUGI

Chociaż parująca i pachnąca woda w drewnianej bałii stanowiła nie lada pokusę, Aldyth śpieszyła się z kąpielą. Starannie się wytarła i włożyła zieloną suknię, zarezerwowaną na specjalne okazje. Pilno jej było wrócić do zamkowej sali. Może spotka Ranulfa, zanim domownicy zasiądą do wieczerzy? Może uda się z nim zamienić dwa słowa? Bardzo chciałyby zająć miejsce tuż przy nim za stołem.

Niestety, na dole, w tłumie obcych twarzy, rozpoznała jedynie swojego ojca. Sir Nyle był prostym człowiekiem i nie poświęcał zbyt wiele czasu na ablucje. Skinał na córkę, żeby usiadła koło niego, na podwyższeniu, gdzie przyszło mu samotnie czekać na wieczerzę. Nie było gości wyższych rangą, więc podróżni z Sherborne dostąpili zaszczytu, aby zasiąść przy głównym stole, po prawicy earla i hrabiny Kingsclere.

Niżej kłębili się poddani. Salę wypełniał gwar rozmów; okrzyki i pozdrowienia krzyżowały się w powietrzu. Nagle jednak wszystko ucichło na widok gospodarzy. Earl, w towarzystwie żony i dwóch córek, Adeli i Agaty, wyłonił się z korytarza i dostojnym krokiem zbliżył się do stołu.

Miejscowy kapłan wygłosił krótką mowę dziękczyn-

ną za dary boże i wezwał wszystkich do modlitwy. Na skinienie earla służba zaczęła roznosić półmiski z pieczonym mięsiwem, pajdy chleba, misy gotowanych jarzyn i pieczone jabłka. Znowu narastał z wolna szmer rozmów.

Godric pojawił się przy głównym stole. Z gracją przyklęknął obok gospodarzy. Jako giermek miał obowiązek dbać o swego pana i panią. Nie mógł tknąć potraw dopóty, dopóki oni nie skończyli posiłku. Uśmiechnął się na widok ojca i siostry. Obiecał, że później, gdy będzie miał wolną chwilę, na pewno z nimi porozmawia.

- Dobrze wygląda - zauważyła Aldyth.

Godric wyraźnie urósł. Pod błękitno-szkarłatną tuniką przeżyły się mięśnie. Włosy miał dłuższe niż przeciętny normański młodzieniec, ale świeżo umyte i wyszczotkowane. Jasne wąsy, których Aldyth dotąd nie widziała, ocieniały jego górną wargę. Śniada cera wyraźnie świadczyła o tym, że wiele czasu spędzał na powietrzu.

- Dobrze - przytaknął ojciec. - Może wyrósł już z młodzieńczego buntu? Patrz! Tam jest Warin!

Aldyth zwróciła głowę we wskazanym kierunku. Warin ostrożnie dźwigał wielki flakon wina. Starał się bardzo uważnie napełniać kieliszki, ażeby nie poplamieć śnieżnobiałych obrusów. Na moment przerwał swe zajęcie i uśmiechnął się do siostry. Odpowiedziała mu równie serdecznym uśmiechem. Doprawdy, aż pęczniała z dumy, patrząc na swoich urodziwych braci.

Lecz gdzie był Ranulf? Miejsce po lewej ręce earla

i hrabiny ciągle pozostawało puste. Czyżby nie zamierzał zjeść z nimi wieczerzy?

Aldyth, choć z trudem, powstrzymała się od pytań. Nie umiała jednak zapanować nad zdenerwowaniem. Ledwie spróbowała wybornych potraw i półsłówkami odpowiadała na wszelkie próby nawiązania rozmowy. Raz po raz zerkąła w stronę wysoko sklepionych drzwi prowadzących do sieni.

Przy drugim daniu na salę wkroczył niedźwiedzio-waty olbrzym z opaską na oku. Zajął miejsce przy niższym stole. Aldyth patrzyła na niego ze zdumieniem. Przez całe swoje młode życie nie widziała jeszcze kogoś tak wysokiego. Ciekawiło ją, czy stracił oko w jakiejś bitwie czy w pojedynku. Olbrzym miał rudą brodę i także zmierzwione włosy, co jeszcze bardziej upodobniało go do niedźwiedzia.

Ów niecodzienny widok sprawił, że Aldyth początkowo nie zauważyła człowieka, który pojawił się pośród gości w ślad za olbrzymem. Spojrzała nań dopiero wówczas, kiedy podszedł w stronę podwyższenia.

Kroczył niespiesznie, niemal tanecznym, choć nie-dbałym krokiem. Uwagę biesiadników przyciągały zwłaszcza jego dziwaczne ciżmy ze szkarłatnej skóry, z noskami podkreconymi na kształt baranich rogów. Zatrzymał się na chwilę i wypielegnowaną dłonią przygładził utrefione czarne włosy. Potem musnął palcami małą bródkę i wąsy.

Ciemne oczy z wyraźnym znudzeniem spoglądały na zgromadzonych. Ubrany był w czarną, aksamitną tuni-

kę, zdobioną wizerunkiem srebrnego jednorożca, herbem Kingsclere.

Któż to? - z niesmakiem pomyślała Aldyth, kiedy elegancik zjawił się przy stole. Wyczuła, że earl Etienne zeszywniał ze zgrozy. Na sali powiało chłodem.

- Wybacz, ojcze, że się spóźniłem - rzekł przybysz od niechcienia. - Nie umiałem się zdecydować, który pierścień dziś włożę.

Na podkreślenie swoich słów uniósł rękę, ukazując masywny sygnet z błyszczącym ogromnym rubinem.

Żył nabrzmiały na skroniach gospodarza.

- Mamy gości, Ranulfie - zadudnił grobowym głosem. - Może byś się przywitał? Nie mnie, lecz raczej im winieneś przeprosiny za swoje zachowanie.

Aldyth wytrzeszczyła oczy. Więc ten fircykowaty rycerz miał być jej Ranulfem? Chłopcem, którego męstwo i rozwaga od lat przyprawiały ją o szybsze bicie serca? Krew odbiegła jej z twarzy, gdy mruknął coś do sir Nyle'a, a następnie stanął tuż przed nią.

Uniósł do ust jej rękę. Aldyth mimo woli spojrzała mu prosto w oczy.

- Ach, witam, droga lady. Sporo lat upłynęło od naszego ostatniego spotkania- powiedział. W jego ciemnych oczach tańczyły iskierki rozbawienia. Wyraźnie cieszył się jej zakłopotaniem. - Wyrosłaś, pani, na prawdziwą mademoiselle, choć przyznaję, że w przeszłości także byłaś ładna, nawet uwalana błotem.

- Dz-dziękuję, milordzie - wyjąkała po chwili milczenia. Nie umiała wymyślić nic lepszego. Dandys zdawał sobie z tego sprawę i najwyraźniej to go też bawiło.

Na szczęście sam postanowił wybawić ją z kłopotu.

- Przerwałem ci posiłek, pani. Porozmawiamy później.

Odszedł, by zająć puste miejsce po lewej ręce ojca. Nałożył sobie mięsiwa z tacy podsuniętej mu przez Godrica i natychmiast wdał się w cichą rozmowę z mnichem, siedzącym po jego drugiej stronie.

Aldyth nie mogła zebrać myśli. Czowała na sobie wzrok lady Nicholi.

- Obawiam się, że nasz syn uległ pewnej odmianie - szepnęła hrabina. - Także byłam zdumiona, kiedy przybył z Londynu, ubrany w tak przedziwny i zabawny sposób. Zapewnił mnie, że to najnowsza moda na dworze Wilhelma Rudego.

- Wszyscy szlachetni młodzieńcy tak się prezentują? - Aldyth nie mogła ochłonąć, zaskoczona zarówno wyglądem, jak i zachowaniem Ranulfa.

- Tylko ci, którzy nie szanują samych siebie - wtrącił potępiającym tonem lord Etienne. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby zniżyć głos. - Fuj! Zdobywca na pewno przewraca się w grobie. Cóż to za rycerze poprzebierani w damskie fatałaszkę? Falujące rękawy, głupie buty i włosy pachnące piżmem. Ohyda.

Syn, słysząc to, odwrócił się do ojca. Znieruchomiał z ręką nad misą i powiedział uprzejmie:

- Nowy władca, a zatem nowa moda. Zawsze tak było, panie ojczu. Podejrzewam, że twój własny rodzic psioczył na wygolone karki, modne, gdy sam byłeś młody.

Twarz earla spąsowiła.

- Mój ojciec od dawna spoczywał w mogile, kiedy nasz książę stał się królem Anglii! To jednak nie ma nic do rzeczy. Mój strój nie budził wątpliwości, że jestem mężczyzną!

Lady Nichola uspokajającym gestem położyła mężowi rękę na kolanie. Nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

Pół sali z pewnością dosłyszało jego gniewne słowa, bo gwar przycichł. Aldyth patrzyła na Ranulfa. Zbladł, lecz spokojnym ruchem uniośł dłoń, żeby stłumić ziewnięcie.

- Ojcze, błagam... - powiedział zmęczonym tonem.
- Płozysz gości.

Etienne wciąż ignorował nieme prośby żony.

- Ty zaś tego nie robisz swym niecznym wyglądem? A dlaczegoż to Rudy zasiada na tronie? Przecież to nie najstarszy z synów Zdobywcy!

- Mam go za to potępiać? - spytał Ranulf. - Stary król Wilhelm sam wybrał go na następcę. Oddałbyś może tron Robertowi, który nie potrafi władać własną marchią?

- Przynajmniej udowodnił, że ma męską krzepę i spłodził jednego albo dwóch bękartów! Wątpię, czy twój Rudy chociaż to potrafi! Spójrz na siebie! - Etienne zagniewanym wzrokiem obrzucił upierścienione palce i długie włosy syna. - Sam pewnie nie zdołałbyś tego zrobić. Być może twój brat Richard przejmie po mnie schedę, jeśli nie pójdzie w twoje ślady.

Tego było już za wiele. Przy biesiadnym stole zapanowała głęboka cisza. Ranulf wstał, odsuwając z ha-

łasem krzesło. Z jego twarzy zniknął wyraz rozleniwienia. Rękę wsparł na biodrze, jakby szukając miecza.

- Ostrożnie, milordzie. Takie słowa niektórzy mogliby uznać za obrazę majestatu. Jeśli zaś chodzi o mnie, to nawet cię prosiłem, byś mi pozwolił sprowadzić moją faworytę, by mogła mi grzać łożę, jak to czyni w Londynie. Odmówiłeś, podobno ze względu na matkę. A przecież widok Vivienne i dzieci poczętych z miłości zadałby kłam wszelkim złośliwym plotkom i rozproszył twoje obawy, panie ojcze.

- Normańska dziewczka pod jednym dachem z twoją matką? Niedoczekanie! - ryknął earl. Ranulf szedł już do wyjścia. Nawet nie odwrócił głowy.

Do końca wieczery Aldyth siedziała ze wzrokiem wbitym w blat stołu. Nikt nie miał pojęcia, jak wrócić do rozmowy.

Wreszcie odeszła do swoich pokoi, wymówiwszy się bólem głowy. Nie musiała zresztą udawać. Serce jej się ścisnęło na widok cierpienia malującego się na pobludłej twarzy lady Nicholi.

Niespokojnie krążyła po małej komnacie. Wciąż prześladował ją widok Ranulfa w groteskowych butach, z falującą fryzurą do ramion. Jak śmiał w jej obecności wspomnieć o ladacznicy, z którą nie tylko dzielił łożę, lecz miał kilkoro dzieci!

Jak ona sama mogła się tak pomylić? Przez tyle lat kochała go niespełnioną miłością. A słyszała przecież, że prawie żaden szlachcic nie staje przed ołtarzem bez wcześniejszych doświadczeń z niewiastami. To tylko od oblubienicy wymagano, aby była czysta i niewinna.

Mężczyźni mieli swoje potrzeby, które musieli zaspokajać przed ślubem lub z dala od żony. Kościół określał to mianem grzechu. Z grzechu należało się wyspowiadać i - obiecawszy poprawę - czekać na odpuszczenie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie chwalił się kochanką przed matką albo prawowitą żoną.

Nie chcę go więcej widzieć, pomyślała. Po chwili zdała sobie sprawę, że nie dotrzyma przyrzeczenia. Kochała go niemal od dzieciństwa - i wciąż nic się nie zmieniło. Gdzieś tam, pod płaszczykiem dworskiej galanterii, ciągle tkwiło troskliwe serce i rozsądny umysł. Umysł chłopca, którego kiedyś tak dobrze poznała. Przy wieczery Ranulf sam obiecał, że z nią porozmawia. Chyba się ucieszył ze spotkania. Może więc, gdzieś na dnie serca, przechował dawne uczucie?

Aldyth na pewno je zachowała. Co więcej, uważała za swój obowiązek zawrócić rycerza na właściwą drogę. Wierzyła, że prędzej czy później przekona go o swojej miłości. Na pewno wolałby poślubić córkę kasztelana, niżli wciąż żyć w grzechu z kochanką ze dworu. Dałaby mu prawego dziedzica. Zajęłaby się także pozostałymi dziećmi. One tu nic nie zawiniły. Gdyby tylko zechciał, bez fochów przyjęłaby je pod swe skrzydła, choćby z tego powodu, że miały jego krew w żyłach.

Jutro go odnajdzie. Sprawdzi, czy pamięta.

Usłyszała delikatne pukanie. Przez moment spoglądała na drzwi komnaty. Zastanawiała się, kto przyszedł. A może go odesłać, żeby nie zobaczył jej zapłakanej twarzy? Najmniej chciała widzieć ojca.

Znowu pukanie. Zdawała sobie sprawę, że musi odpowiedzieć. Miała nadzieję, że to służebna przysłana przez hrabinę. Bez jej pomocy nie rozsupłalaby rzemieni spinających *bliaut*. Otworzyła więc drzwi. W progu stał Godric z flaszką wina i dwoma rzeźbionymi kulkami z drewna w ręku.

- Mogę wejść? Pomyślałem sobie, że chętnie się na pijesz, aby łatwiej zasnąć - powiedział.

Gestem zaprosiła brata do środka. Wzięła głęboki oddech i ukradkiem otarła policzki.

- Cieszę się, że cię widzę, Godricu. Marzyłam o tym, aby z tobą pogawędzić, lecz już nie mogłam wytrzymać w tłumie gości - skłamała.

- Zniechęciło cię to smętne przedstawienie grane przez Normanów - powiedział z przekąsem.

Skinęła głową w milczeniu. Nie mogła powstrzymać się od płaczu. Łzy popłynęły jej po policzkach. Godric przygarnął ją do siebie i zamknął w braterskim uścisku.

- Cicho, siostrzyczko - powiedział po angielsku takim tonem, jakby przemawiał do małego dziecka. - Wiem, że ci bardzo ciężko, bo przecież go kochałaś. Sama widzisz, że teraz to już pieśń przeszłości.

Uniosła głowę.

- Wiedziałeś?

Była przekonana, że nikt nie ma pojęcia o jej tajemnicy.

- Wiedziałem - potwierdził Godric z bolesnym uśmiechem. - Dzisiejszego wieczora miałaś wszystko wypisane na twarzy. Lecz nie obawiaj się, na pewno ni komu nic nie powiem. Ranulf nie jest dla ciebie, jak

zresztą każdy najeźdźca. To niewłaściwa partia dla dobrej angielskiej dziewczyny. Wybierz któregoś z naszych, Aldyth. Normanowie nie wszystkich wrzucili do chlewu. Zresztą, majątek nie jest najważniejszy. Niedługo Anglia powstanie i zepchnie normańskich władców z powrotem do morza!

Zakończył swój wywód z taką pasją, że aż się przestraszyła i na parę chwil zapomniała o własnych kłopotach.

- Ach, Godricu, sądziłam, że już dawno zmieniłeś swoje stare poglądy. Przecież wiesz, że Anglia nigdy nie będzie taka jak za króla Harolda. Bracie, od dnia narodzin jesteśmy poddanyymi Normanów!

- Ba! Cóż znaczy jedno pokolenie? Mamy dość siły, aby ich przepędzić, a tych, co stawiają opór - zwyczajnie zaszlachtować. Pod Senlac nie wybito wszystkich patriotów. Nauczyłem się, Aldyth, udawać głupca i czekać na właściwy moment. Na razie, niech sobie myślą, że nami władają.

Popatrzyła na niego w migotliwym blasku świecy. Zachowywał się dziwnie. Takim go nie znała. Miała wrażenie, że rozmawia z całkiem obcym człowiekiem, przypominającym brata tylko powierzchownością. Ten ponury fanatyk nie mógł być kiedyś radosnym urwipółciem baraszkującym pomiędzy zbrojnymi na ojcowskim zamku.

- Uważaj, Godricu. Chyba nie doceniasz wpływów i potęgi Normanów. Przeszłość już nie powróci.

Chciał coś wtrącić, ale przerwała mu stanowczym ruchem ręki.

- Wybacz, braciszku, lecz bardzo boli mnie głowa. Zmęczyła mnie podróż. Bądź tak dobry i przyślij mi pokojówkę. Chciałabym się przebrać i położyć.

Godric zrozumiał, co przez to chciała naprawdę powiedzieć.

- Porozmawiamy jutro, jak dobrze wypoczniesz. Dobranoc.

Lekko pocałował ją w czoło i wyszedł.

Aldyth z pewnością byłaby zaskoczona, wiedząc, że Ranulf równie niespokojnie krążył po swojej sypialni. On jednak nie był sam.

- Na Boga, Urse, nie wiem, czy dłużej wytrzymam tę maskaradę - powiedział do olbrzyma, który obserwował jego nerwowe kroki. - Zbiera mi się na mdłości. Nie za dużo ode mnie wymagają?

Gdzieś znikła dworska ogłada i znużenie. Ranulf poruszał się miękko, z utajoną siłą i szybkością, niczym dzikie zwierzę zamknięte w klatce.

- Dzisiaj było najgorzej - przyznał Urse. - Ufam, że ich ostatecznie przekonałeś. Teraz musisz już tylko podtrzymać tę iluzję. Grasz znakomicie. Rudy z pewnością zechce zatrzymać cię przy sobie.

Ranulf zadrżał.

- Jezu litościwy! Mój własny ojciec przeklina dzień, w którym mnie spłodził. Matce nie mogę spojrzeć w oczy. Pewnie teraz klęczy na gołych kolanach, błagając Boga, żeby mnie nawrócił na drogę czci i wiary! Jakże chciałaby mieć wnuczęta z prawego łoża.

- Nie wątpię, lecz podejrzewam, że najmocniej tobą wstrząsnęła obecność lady Aldyth.

Ranulf odwrócił się na pięcie i uderzył pięścią w po-
bieloną ścianę.

- A żeby cię zaraza, bretoński obwiesiu! Jesteś zbyt spostrzegawczy. Owszem, najbardziej mnie dotknęło jej spłoszone spojrzenie. Później nie chciała na mnie pa-
trzeć. Kto by pomyślał, że do tej pory nie wybrała sobie
męża? Że przyjedzie tu właśnie dzisiaj? Sądziłem, że
zapomniała o mnie już przed laty, kiedy walczyłem
z Francuzami w służbie starego króla. Przywykłem do
myśli, że została żoną jakiegoś Anglika i że ma już dzie-
ci. Choć muszę przyznać, że nie potrafiłem o niej zapo-
mnąć.

Urse tylko mruknął coś pod nosem.

- Nie twierdzą, że jestem mnichem. - Ranulf dobrze
zrozumiał tę uwagę. - Nie nadaję się na świętego.
Wbrew temu, co myśli ojciec, uważam się za męż-
czyznę. Z drugiej strony, w każdej podwice widziałem
Aldyth z Sherborne - szmaragdowe oczy i długie włosy
barwy kasztanu.

- Jesteś zupełnie pewien, że coś ci grozi tutaj, pośród
domowników? - zapytał Urse. - Nie mógłbyś dopuścić
rodziców do tajemnicy?

- Nie. Z ich nieświadomym udziałem mój nowy wi-
zerunek ma w sobie więcej siły. Prawda wyszłaby na
jaw, nawet mimochodem, gdyby zrozumieli, że tylko
udaję. Ojciec nieraz podejmuje gości w Kingsclere.
Możnowładców, co umieją słuchać i patrzeć. A służba
lubi gadać. Wiedziałem, że mi ciężko będzie okłamać

ojca i matkę, nie myślałem jednak, że spotkam tu Al-dyth. Zhańbiłem się w jej oczach.

- Moim zdaniem zbyt prędko zamierzasz zrezygnować - wtrącił Urse. - Wystarczy, że ją lekko podkarmisz pochwałami, a zaraz zaczniesz mrużyć.

- Niepotrzebna mi kotka - uciął Ranulf. - Al-dyth jest damą, córką kasztelana we włościach mojego ojca, i należy jej się szacunek.

Urse wzruszył ramionami.

- Więc weź ją za żonę. Założę się, że potrafi dotrzymać tajemnicy.

- Nie. - Ranulf ruszył w dalszą wędrowkę po komnacie. - Gra, którą rozpocząłem, może być niebezpieczna. Nie mogę sobie pozwolić na luksus miłości. Nie wiem jeszcze, dokąd pojedę i jakie otrzymam rozkazy. Nie chcę także, by Al-dyth padła ofiarą królewskiego gniewu, gdy prawda wyjdzie na jaw.

- Może się zdarzyć, że maskarada nie potrwa długo - z zadumą powiedział Urse. - Rudy na równi z uciechami życia uwielbia przyjemności wojny. Życie wojownika czasami bywa krótkie. Wejdz w jego łaski i przekazuj wieści prawdziwemu panu o wszystkim, co w tym czasie dzieje się na dworze. Spraw się, a na pewno nie minie cię nagroda.

- Wiem - przytaknęła Ranulf - lecz żadne zaszczyty nie wynagrodzą mi utraty Al-dyth.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ranulf rzucał się przez całą noc na łożu, rozmyślając nad słowami druha. Muszę udawać nawet w domu? - zapytywał sam siebie. Wobec rodziców, wobec ukochanej? Lady Aldyth na pewno umiałaby dochować tajemnicy. Nie mógł zasnąć. Powiedz im, powiedz im, powiedz - bez przerwy kołatało mu w głowie.

Kusząca myśl.

Z jakąż ulgą zabrałby gdzieś na bok matkę i ojca, żeby wyznać prawdę. Żeby im powiedzieć, iż to, co widzą, to tylko pozory, które znikną z chwilą, gdy Wilhelm Rudy zostanie pozbawiony tronu. Matka przestałaby się zamartwiać bez powodu, a ojciec mrużyć jak ranny lew, uwięziony w sieci.

Właśnie dlatego nie mógł ich w nic wtajemniczyć.

Ojciec na pewno wziąłby sprawę do serca i zaczął odgrywać komedię przed obcymi. Głośno naśmiewałby się z jego strojów i zachowania, lecz nie unikałby towarzysztwa i nie patrzył spode łba. Widywano by ich, jak ramię przy ramieniu przechadzają się po murach obronnych albo po tarasie. Pewnie nieraz lord Etienne objąłby syna, sądząc, że nikt ich nie widzi i że są zupełnie sami. Niechby nawet w tym momencie spostrzegł ich zwykły sługa, to wiadomo przecież, że służba uwielbia gadać.

Wieść poniosłaby się do sąsiadów - a stamtąd jeszcze dalej, do uszu możnowładców, których Ranulf próbował oszukać.

Nie, nie wolno mu rozmawiać ani z ojcem, ani z matką. Lady Nichola z pewnością chciałaby uspokoić męża, aby nie martwił się o syna, i z dobrego serca nie zachowałaby powierzonej jej tajemnicy.

Pomyślał o Aldyth.

Jej widok na nowo rozbudził lekko zblakłe wspomnienia. Ranulf westchnął w ciemnościach, zdumiony, że tak łatwo mógł porzucić pamięć o niej dla uciech rycerskiego życia. Był daleko - na królewskim dworze, na polach bitew we Francji. Wszystko razem sprawiło, że o niej zapomniał.

Tak, na pewien czas zapomniał o miłości. Kiedyś Aldyth z Sherborne była chudą, piegowatą dziewczynką. Łaziła za nim krok w krok i sprawiła, że ją pokochał. Teraz wyrosła na piękną pannę o włosach jak dojrzwały kasztan, oczach niczym szmaragdy i figurze o niemal idealnych kształtach. Była mu przeznaczona, wiedział to, a musiał ją odrzucić.

Zacisnął zęby z wściekłością. Nie chodziło o zwykłe pożądanie. To mógł zaspokoić dosłownie w każdej chwili. Dziewki służebne z Kingsclere dawały do zrozumienia, że chętnie znajdą się w łóżu earlowego syna. Żadna z nich nie mogła równać się z Aldyth. Och, gdybyż ją posiadał.

Ta myśl sprawiła, że uleciał duszą aż pod niebiosa. Gdyby mógł choć na chwilę odrzucić przebranie i dać jej rozkosz, utulić w ramionach. Ale to niemożliwe.

Urse znał powody. Miłość mogła zniweczyć całe przedsięwzięcie, a gniew władcy z pewnością dotknąłby też żony albo kochanki głównego winowajcy.

O świcie Aldyth obudziła się z głębokiego snu, który spadł na nią wraz ze zmęczeniem. Czyżby przespała mszę? Przecież tak bardzo pragnęła pomodlić się za powodzenie swoich planów! Szybko wyskoczyła z łóżka i ochlapała twarz lodowatą wodą.

Spała mocno, bo bardzo długo nie mogła zasnąć. Nie potrafiła powstrzymać natłoku myśli. Zastanawiała się, co powie Ranulfowi przy następnym spotkaniu. Chciała z nim porozmawiać chwilę na osobności. Oczarować go swoim wdziękiem; udowodnić, że będzie dobrą żoną i lepszą kochanką niż wszystkie normańskie dziewczęta razem wzięte.

Swoją drogą, ciekawe, jak też wygląda ta Vivienne? Smukła i ładna, a może drobna, piersiasta i zmysłowa? Aldyth na ogół była dumna ze swoich kasztanowych włosów, lecz zdarzały jej się momenty zwątpienia. Przy normańskich ognistych brunetkach czuła się jak szary wróbel w stadzie wspaniałych bażantów. Nie mogłaby i nie umiałaby rywalizować z nimi o względy mężczyzny. A jednak musiała. Boże Wszechmogący, pomysłą, dopomóż mi w tym zamierzeniu!

Służąca przyniosła jej gorące mleko, zmieszane z odrobiną piwa. Aldyth chętnie opróżniła kubek, ale to nie poprawiło jej nastroju. Z coraz większym rozczarowaniem myślała o Ranulfie.

Którą suknię wybrać na dzisiejsze spotkanie? Prze-

patrzyła przywieziony kufer. Która z nich najlepiej podkreśli jej wdzięki, kolor oczu i włosów? Lniana *chainse*, barwiona szafranem czy wełniana *bliaut* z długimi rękawami?

Prawda, trzeba się spieszyć. Starannie rozczesła włosy, a potem spłotła je w dwa warkocze. Na to włożyła *couvre-chef*, czyli króciutką woalkę. Szczerze mówiąc, wolałaby iść do Ranulfa z odkrytą głową i rozpuszczonymi włosami, ale to była sztuczka niewiast hm... lżejszych obyczajów, na przykład pokroju *Vienne*.

Z dziedzińca dobiegały przeróżne odgłosy. Aldyth podbiegła do wysokiego okna i wyjrzała. Gromada służących krzątała się pilnie. Wynosili z kuchni tace z pasztetami i bochny razowego chleba. Z zamkowej piekarni dolatywał smakowity zapach. Kowal zmagał się przed kuźnią z narowistym koniem, a w zbrojowni dźwięczały zbroje. Po drugiej stronie rozległ się jęk dzwonu, wzywającego na poranne nabożeństwo do małej kamiennej kaplicy.

- Uff - westchnęła z ulgą Aldyth.

A jednak zdążyła. Szybko dokończyła toaletę. Lubiła słuchać melodyjnego głosu kapłana z *Kingsclere*, śpiewającego mszę po łacinie. Brzmiało to całkiem inaczej niż monotonne zawodzenie niepiśmiennego angielskiego mnicha z *Sherborne*. W tutejszej kaplicy czuła się bliżej Boga, a dzisiejszego dnia to miało szczególne znaczenie.

Zanim zbiegła ze schodów i przeszła przez dziedziniec, msza już się zaczęła. Aldyth po cichu stanęła w ostatnim

rzędzie wiernych. Ojciec i bracia byli znacznie bliżej ołtarza, lecz ona wołała pozostać sam na sam ze swoimi myślami. Może w tym świętym miejscu znajdzie rozwiązanie zagadki przemiany Ranulfa?

On sam nie przyszedł na mszę. Nic dziwnego. Skoro żył w grzechu, to zapewne nie przywykł wstawać z ciepłego łóżka tylko po to, by przyjąć sakramenty. Odrzucał wiarę na wzór swojego pana i króla Wilhelma Rudego.

Nie pojawił się też na śniadaniu. Aldyth z trudem przełknęła kilka kęsów chleba i popiła je rozwodnionym winem. Powiedziała ojcu, że chce spędzić trochę czasu w towarzystwie lady Nicholi, zarzuciła na ramiona lekką pelerynę i wyszła.

Oczywiście nie zamierzała widzieć się z hrabiną. Przynajmniej nie teraz. Szukała Ranulfa. Nie było go na dziedzińcu ani w spiżarni, ani w zbrojowni. Pytała sokolnika, karmiącego ptaki, ale ten odpowiedział, że go wcale nie widział. Aldyth mocniej owinęła się peleryną i wyszła na mury. Pusto.

A może jednak samotnie modlił się w kaplicy? Na wszelki wypadek zajrzała, chociaż wiedziała, że tam go nie zastanie. Nikt nie klęczał w chybotliwym blasku świec stojących na ołtarzu.

Gdzież go szukać? Czyżby do tej pory gnił w łóżu? Już dawno po wschodzie słońca! Dokładał lenistwo do swych licznych grzechów? Ma iść do jego sypialni? Nie może. Co zrobi, jeśli nie jest sam?

W ciągu godziny obeszła cały zamek. Zostało jej tylko jedno miejsce - stajnie. Nie zaglądała do nich, po-

dejrząc, że fircykowaty Ranulf nie zechce brudzić swoich pięknych butów w końskim łajnie.

I właśnie tam go znalazła. Stał z jej bratem, Warinem. Zaglądali do zagrody szarego ogiera.

Warin zauważył ją pierwszy.

- Aldyth! Chcesz zobaczyć mojego kuca? I szczeniaka? Kotka się okociła! Chodź popatrzeć!

Ranulf wyraźnie zdziwił się na jej widok. Sądził, że po wczorajszych zdarzeniach przy wieczerzy będzie go unikała jak trędowatego. Tymczasem z jej zachowania wnosił, że raczej przyszła do niego niż do brata.

Miał serdeczną ochotę przyjacielskim gestem zwichrzyć włosy chłopaka. Lubił go, niezależnie od tego, że Warin był bratem Aldyth. W porę jednak przypomniał sobie o wielkopańskich manierach.

- Ach - rzekł z przesadną gestykulacją - dzień dobry, Aldyth. Właśnie przyszedłem spojrzeć na mojego wierzchowca. Mój dobry Warinie, powiedz stajennemu, że za jego uchem dostrzegłem dwie małe plamki błota. To znaczy, za uchem konia. Stajenny mnie nie obchodzi.

Przemawiał takim tonem, jakby ta odrobina brudu na końskiej skórze stanowiła życiową tragedię.

- Ach, prawda. Seneszał cię szukał. Z jego głosu wnosiłem, że był mocno wzburzony. Cóż za prostak!

Zmarszczył nos z niesmakiem.

- Tak, panie. - Warin obrzucił spojrzeniem siostrę i lorda Ranulfa, a potem odszedł szybkim krokiem. W stajni zapanowała cisza, przerywana jedynie kłaskaniem kopyt.

Ranulf napawał oczy widokiem dziewczyny.

- Dzień dobry, lady Aldyth - powtórzył. - Cóż to za uczta dla spragnionych oczu podziwiać twoją urodę! Wszystkie barwy jesieni, można powiedzieć, zamknięte w powabnym ciele, *ma chere*.

Prawił jej komplementy, ani na chwilę nie wychodząc z roli.

Zamknął przegrodę. Aldyth musnęła wzrokiem jego szkarłatną pelerynę, spiętą na ramieniu kunsztownie rzeźbioną broszą. Zerknęła w, dół. Dzisiaj także włożył ciżmy z zawiniętymi noskami, w dodatku ozdobione skomplikowanym złotym haftem.

- Dziękuję, milordzie - powiedziała ostrożnie. - Daleko mi jednak do ciebie.

Wskazała na zwisające, obszyte brokatem rękawy jego tuniki.

- Och, chodzi ci o to? - Wykonał wystudiowany ruch dłonią. - Paziowie jego królewskiej mości chadza ją lepiej odziani - wyjaśnił lekceważąco. - To strój, który można nosić wyłącznie na prowincji, ale nigdy, przenigdy na królewskim dworze.

Wlepiła w niego zdumione spojrzenie i przygryzła wargi, jakby zastanawiając się, co powiedzieć. Ranulf spostrzegł kątem oka, że zacisnęła pięści.

- Dlaczego stoisz i nic nie mówisz, moja droga Aldyth? Nie podobają ci się moje szaty? A może buty? - zapytał od niechcienia.

- Szaty? Buty? Nie, milordzie. Chodzi o coś innego. Podszedł bliżej.

- A o co, Aldyth? Nie znajdujesz słów, żeby poroz-

mawiać ze starym przyjacielem? Może zmieniłem się na gorsze w twoich pięknych oczach?

Dał jej okazję, żeby powiedziała wreszcie, jak bardzo go nienawidzi. Chciał mieć to już za sobą.

- Nie, milordzie. Jestem bardzo szczęśliwa z naszego spotkania i... i...

- I?

- I wybacz mi śmiałość, Ranulfie, ale chyba powinienś wiedzieć, że miłość, którą cię darzyłam niegdyś, dotąd nie wygasła. Wciąż cię kocham.

Wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. Zupełnie nie spodziewał się takiego wyznania. Czy to sprawka earla, czy może lady Nicholi? Oni jej tu kazali przyjść? Wykorzystali niewinne dziewczę, żeby ratować niewdzięcznego syna?

Aldyth była blada. Oczy świeciły jej nienaturalnym blaskiem. Drżała na całym ciele, lecz śmiało spoglądała w twarz rycerza.

- Moja droga... Ależ mnie zaskoczyłaś!

- Milordzie, z pokorą przyjmę twoje słowa, jeżeli teraz powiesz, że nic do mnie nie czujesz - powiedziała z mocą. - Chciałam jednak, żebyś poznał prawdę, zwłaszcza... .. zwłaszcza po wczorajszej wieczery...

Mówiła mu, że go kocha, chociaż on usilnie starał się zniszczyć swój dawny wizerunek rycerza i bohatera? Zapewniała go o miłości po tym, jak głośno się przechwalał kochanką i dziećmi z nieprawego łoża?

- Nie słyszałaś, co mówił mój ojciec, miła? Oskarżał mnie, że jestem niegodny imienia chrześcijanina!

- Znam cię, Ranulfie - powiedziała, patrząc mu pro-

sto w oczy. - Twój strój i fryzura mogą być czymś dziwnym w oczach earla, lecz ja wiem, że jesteś dobrym, prawym człowiekiem o łagodnym sercu. Człowiekiem, który przed ślubem nie stroni od uciech życia, bo jest przecież mężczyzną, lecz jako mąż na pewno...

Ach, więc to tutaj jest pies pogrzebany! Aldyth usiłowała skłonić go do małżeństwa. Chciała uchronić go przed nim samym i uratować jego duszę przed wiecznym potępieniem. Musiał jak najszybciej wyprowadzić ją z błędu. Dla jej własnego dobra musiał ją przekonać, że już jest za późno. Że nie wolno mu wrócić z raz obranej drogi.

Lecz przedtem - jeden pocałunek. Później odejście ze złamanym sercem.

- Kochanie... - szepnął.

Ujął ją pod brodę i pocałował w usta. Chciał tę chwilę zapamiętać na resztę życia.

Aldyth pachniała liliami. Miała miękkie i ciepłe wargi, słodsze niż najprzedniejszy miód, podawany w pałacach Londynu. Ranulf całował ją lekko, lecz po chwili poddał się uczuciom.

Było w niej coś niewinnego. Nie miała doświadczenia, ale ten brak nadrabiała szczerym entuzjazmem. Westchnęła z cichą radością. Wydawała się tak delikatna i krucha. Chciałby całować ją bez przerwy. Chciałby teraz przyklęknąć na kolano i prosić ją o rękę. Niestety, nie mógł.

Uniósł głowę. Otworzył oczy i napotkał jej czułe spojrzenie.

- Ranulfie... Wciąż pamiętasz! W dalszym ciągu mnie kochasz.

Obdarzył ją leniwym uśmiechem.

- Kto by nie kochał takich ust, dziecinko? Z chęcią smakowałbym je dłużej.

Ujął jej twarz w obie dłonie i wymusił następny pocałunek. Tak - wymusił, bo tym razem niewiele to miało wspólnego z czystym i głębokim uczuciem, a więcej z pożądaniem. Aldyth jednak ufnie rozchyliła usta. Serce waliło jej jak oszalałe.

Pochwycił ją w ramiona, a ona w odpowiedzi objęła go za szyję. Całował ją bez wytchnienia po czole, po policzkach. Poczul, że delikatnie gładzi go po włosach. Zadrzał. Tym razem na pewno nie udawał.

- Och, kochana, jesteś słodsza od pszczelego miodu - wyszeptał z twarzą przy jej twarzy.

Wyraźnie słyszał jej szybki, urywany oddech.

Niby przypadkiem przesunął rękę w dół, do jej obojczyka, a potem w stronę jędrnej piersi. Spodziewał się oporu, krótkiej szamotaniny, próśb lub gniewu. Nic z tego. Aldyth jak zaczarowana poddawała się jego pieścizotom, nawet kiedy dotknął kciukiem jej twardego jak muszelka sutka.

Zatem za wszelką cenę chciała zbawić jego duszę? Była gotowa na każde wyzwanie? Ranulfa zadziwiła jej determinacją, choć z drugiej strony musiał przyznać w duchu, że on też nie pozostawał obojętny na jej wdzięki. Żadna kurtyzana na królewskim dworze nie budziła w nim takiego pożądania. Przy żadnej nie był tak szybko gotów do amorów.

Tuż po przyjeździe do Kingsclere spędził noc ze służebną dziewczką. Ładniutka była. Cóż z tego, skoro tak naprawdę widział w niej wymarzoną i zapamiętaną Aldyth? Teraz, kiedy prawdziwą Aldyth miał w zasięgu ręki, musiał zachować się jak łajdak. Musiał ją skrzywdzić - o ironio, tylko dlatego, że ją kochał.

Pogładził ją po plecach i sięgnął nieco niżej, aż do pośladków. Oburącz z całej siły przycisnął ją do siebie.

- Aldyth... - szepnął namiętnie. - Czujesz, jak cię pragnę?

Dał krok w przód i przyparł ją do ściany stajni. Szarpnął się raz i drugi, nie bacząc na parskanie zaniepokojonego ogiera.

Dobrze. W oczach Aldyth zamigotał cień strachu. Próbowwała umknąć, lecz jej nie pozwolił. Położyła mu dłoń na piersiach i odepchnęła delikatnie.

- Ranulfie, nie.

Zarumieniła się, była przecież zupełnie niedoświadczona.

Ranulf jednakże postanowił grać swoją rolę do końca.

- Masz rację, kochana. Nie w ten sposób. Znajdźmy sobie jakąś cichy kącik, wolną przegrodę dla koni. Zlegniemy tam i spokojnie oddamy się przyjemnościom.

Cierpiał w duchu, mówiąc te słowa. Za nic nie chciał, aby jej miłosna inicjacja miała miejsce w stajni, nawet na najczystszy sianie.

Odepchnęła go trochę mocniej.

- Nie, mój panie. Źle mnie zrozumiałeś. Zaczekam

do dnia ślubu. Wejdę do małżeńskiego łóża jako dziewica.

Czas na najgorsze, pomyślał z bólem serca. Teraz musiał jej zadać cios.

- Małżeńskiego? - zapytał ze zgrozą. Znów był sobą - to znaczy wykwinłym dworzaninem, szukającym jedynie przelotnych rozkoszy życia. - A kto mówi o małżeństwie?

- Pomyślałam... - zaczęła z wahaniem.

- Myślałaś, że chcę cię poślubić? Chyba żartujesz!

Roześmiał się. Zabrzmiało to okrutnie nawet w jego własnych uszach.

- Nie mam zamiaru się żenić. Niby po co? Nie, Al-dyth. Popełniłem błąd, przyznaję. Byłem przekonany, że pragniesz mi się oddać. Myślałem, że szukasz kogoś, kto w doświadczony sposób wprowadziłby cię w arka na miłości.

Zawiesił głos, a potem dodał od niechcenia:

- A może jeszcze to przemyślisz, ślicznotko?

Owinął na palcu kasztanowy kosmyk.

- Klnę się na Wenus, że zaznasz ode mnie wyłącznie rozkoszy. Gdy posmakujesz, będziesz chciała więcej. A jak zobaczę, że jesteś pojętną uczennicą, może nawet zabiorę cię do Londynu.

Widział łzy w jej oczach i przeklinał dzień, w którym się narodził.

- A co z Vivienne, milordzie? Na pewno nie zechce się dzielić.

Wzruszył ramionami, tak jakby to nie miało żadnego znaczenia.

- Myślałeś, że zlegnę z tobą dla czystej przyjemności? - sztywno zapytała Aldyth.

- „Przyjemność” to w tym przypadku bardzo dobre słowo. Zwłaszcza po pierwszym razie. Możemy też to śmiało zrobić choćby w mojej sypialni, skoro się upierasz, by znaleźć odpowiednie łożo. O tej porze nikt tam nie zachodzi.

- Nie masz w sobie ani krztyny przyzwoitości, normański piękniśiu!?! - krzyknęła. - Sądźisz, że każdą złapiesz na lep słodkich słówek!?

Popatrzył na nią ze smutkiem, ale jednocześnie poczuł nieopisaną ulgę, że nareszcie ma to już za sobą. Że wzbudził w niej złość i niechęć.

- Po prostu jestem realistą, moja droga. Mimo humorów ojca wciąż pozostaję dziedzicem i spadkobiercą jego dóbr i tytułów. Ty zaś jesteś jedynie córką angielskiego kasztelana. Jeśli kiedyś zechcę się ożenić - a wiem, że to niezbędne - wynajdę sobie pannę o lepszej proveniencji. Dzisiaj chciałem ci wyświadczyć grzeczność. Nie brak ci urody, Aldyth, lecz całujesz jak smętna dziewica. Po jednej nocy spędzonej ze mną nabrałabyś doświadczenia.

Uderzyła go w twarz. Echo siarczystego policzka rozległo się w całej stajni.

- Oto, co naprawdę myślę o twojej propozycji, ty normańska świniuo!

Miała zamiar odwrócić się i uciec, lecz w tej samej chwili w drzwiach zamajaczyła jakaś postać.

Był to Godric. Na pewno nie widział tego, co się stało, ani nie słyszał obraźliwych słów Ranulfa, lecz zauważył ślady łez na policzkach siostry.

- Przepraszam za to nagłe najście, sir Ranulfie. Skłonił się z szacunkiem, ale jego niebieskie oczy były zimne jak dwa sople lodu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Po pewnym czasie Ranulf dziękował opatrności, że na czas zesłała mu Godrica, bowiem pod wpływem gniewu Aldyth przeżył chwilę słabości i miał szczerą ochotę złapać dziewczynę za rękę i wyznać jej całą prawdę.

- Siostrze? Milordzie? Czy... coś się stało? - spytał Godric.

Zmarszczył brwi i przeniósł wzrok na Ranulfa. Bogu dzięki, że młodzik nie miał u pasa miecza, bo chyba doszłoby do nieszczęścia.

- Nie... nic - wyjąkała Aldyth. - Wybacz, milordzie, ale na mnie już pora - dodała.

Przeszła obok brata i uciekła ze stajni.

- Milordzie? - nie ustępował giermek.

Ranulf zdawał sobie sprawę, że ani na chwilę nie może wypaść z roli fircykowatego dworzanina. Nie wierzył, aby Godric umiał dotrzymać tajemnicy, więc nie mógł mu zdradzić, czemu służy cała maskarada. Z drugiej strony, znał niechęć tego młodzieńca do Normanów, więc wiedział, że musi się w dwójnasób pilnować. Chłopak na pewno nie był głupi. Domyślił się, co zaszło między nim a Aldyth.

- Słucham cię, przyjacielu - mruknął Ranulf ze stłumionym ziewnięciem.

Zauważył grymas pogardy na ustach Godrica. Młodzieniec najwyraźniej był zadowolony, że siostra umknęła bez szwanku.

- Eee... doszły mnie wieści, milordzie, że jesteś nie zadowolony z opieki nad swoim wierzchowcem. Przy szedłem ci powiedzieć, iż zaraz się tym zajmę.

Ranulf obrzucił go chłodnym, nieprzystępnym spojrzeniem. Od razu domyślił się prawdy. To Warin powiadomił brata, że Aldyth została sam na sam w stajni z synem earla

- To bardzo miło z twojej strony, choć dziw mnie bierze, że takimi rzeczami kłopotujesz się osobiście. - Na podkreślenie swoich słów Ranulf wykonał elegancki ruch ręką. - Wydaje mi się, że mój pan ojciec ma zgoła inne, ważniejsze zadania dla giermka.

Godric skłonił się.

- To prawda, milordzie. Z drugiej strony, wiem jednak, że w tej chwili lord Etienne nie potrzebuje moich usług. Skorzystam więc ze sposobności, by porozmawiać z siostrą.

Zobaczył coś u stóp Ranulfa i pochylił się, żeby podnieść. Była to woalka Aldyth. Spadła jej zapewne w momencie pocałunku.

Rzucił Ranulfowi ostrzegawcze spojrzenie, odwrócił się na pięcie i odszedł.

- Co za łotr! Czym cię tak zdenerwował, Aldyth? - zaniepokoił się Godric, wchodząc do komnaty siostry i widząc ją zapłakaną. - Przysięgam na grób matki, że mu nie popuszczę, jeśli skrzywdził cię w jakiś sposób! - dodał z mocą.

- Nic się nie stało - zawołała prędko, przestraszona jego groźną miną. - Opowiedział mi smutną historię. O naszym wspólnym znajomym, który na nieszczęście zmarł w zeszłym roku.

- Nie traktuj mnie jak głupca - uciął Godric. - Nie miałabyś spuchniętych ust od samego słuchania. A oto twoja woalka, leżała na ziemi, u eleganckich stóp sir Ranulfa!

- No dobrze, Godricu - skapitulowała.

Wzięła pogniecioną woalkę i strzepnęła z niej źdźbło słomy.

- A teraz się uspokój. Przyznaję, że flirtowaliśmy chwilę. Pocałował mnie... i chyba się trochę zapomniał. Powtarzam jednak: nie zaszło między nami nic złego. Uwodzenie stało się tak powszechnym zwyczajem na królewskim dworze, że część szlachty uważa wręcz za swój obowiązek demonstrować opanowanie tej sztuki niemal przy każdej okazji. Uderzyłam go w twarz i wyraźnie dałam do zrozumienia, że nie będę niczyją zabawką.

Uważnie spojrzała na brata, nie całkiem przekonana, czy to wyjaśnienie przyjmie za dobrą monetę.

Poskutkowało, przynajmniej częściowo. Godric opamiętał się z wyraźnym trudem.

- Dzięki niech będą wszystkim świętym w niebie. Możesz być pewna, że zabiłbym go w obronie twojego honoru. Czyż nie zrozumiałaś po wczorajszej wieczery, że powinnaś unikać tego zdrajcy? Teraz, skoro już wiesz, kim stał się naprawdę, liczę na to, że będziesz mądrzejsza. Nie zbliżaj się do niego sama. Co zrobisz,

gdy następnym razem nie zdążę przyjść w porę? Ten łajdak nie cofnie się przed niczym. Gotów cię nawet zgwałcić.

Aldyth nie podzielała obaw brata. Wciąż była przekonana, że ze strony Ranulfa nie grozi jej nic złego. Niby po co miał na nią nastawać? Przecież bez większego trudu mógł znaleźć setki innych niewiast. Cóż, sądziła, że zna go lepiej.

- Dobrze, braciszku. - Nie zamierzała się z nim teraz kłócić, chociaż nie podobało jej się, że przemawiał do niej jak do dziecka. - Nie obawiaj się. Już więcej nigdy nie podejdziesz zbyt blisko do tej żmii.

Godric westchnął.

- Przepraszam, Aldyth. Sądzisz pewnie, że uzurpuję sobie rolę ojca, a ja tylko pragnę cię uchronić przed krzywdą.

Wyciągnął ręce. Padła mu w objęcia, ale nie płakała, choć miała na to ogromną ochotę. Byłoby dobrze, gdyby Godric uwierzył, że najgorsze niebezpieczeństwo już minęło. Nie chciała, żeby zrobił coś głupiego. Nie chciała, żeby z jej powodu wdał się w awanturę z następcą earla. Obawiała się, że w tym przypadku lord Etienne, niepomny na zatarg z synem, potraktowałby ich jak Anglików i wyrzucił ze swoich włości. Ojciec na pewno przypłaciłby to życiem.

Nieoczekiwanie zatęskniła za cichym i spokojnym Sherborne. Tam przynajmniej była daleko od wszelkich trosk i zmartwień. Dla własnego dobra powinna jak najszybciej zapomnieć o Ranulfie. Im prędzej wyjechałaby z Kingsclere, tym byłoby dla niej lepiej.

Nazajutrz Aldyth zaczęła się zastanawiać, jak tu namówić ojca do wyjazdu. Obiad przerwało im przybycie gońca. Jeździec nie strząsnął z siebie nawet pyłu z drogi, lecz od razu podszedł do stołu, przyklęknął na jedno kolano i wręczył Ranulfowi zwój pergaminu, zdobny lakowymi pieczęciami wiszącymi na wstążkach.

Biesiadnicy zaszemrali. Ranulf złamał pieczęcie i przebiegł wzrokiem krótkie pismo. Aldyth spostrzegła z przewrotną dumą, że nie oddał listu siedzącemu obok zakonnikowi. Umiał czytać. W odróżnieniu od wielu normańskich rycerzy rodzina earla nie szczędziła wyśiłków na edukację.

- To od króla, który stanął z dworem w Winchester
- oznajmił Ranulf. - Wzywa mnie do powrotu.

- Och, nie! - z matczynym żalem jęknęła hrabina.

- Przecież dopiero co przybyłeś! Cóż może być tak ważnego, byś musiał już jutro wracać?

- Pani matko, wyruszam najpóźniej za godzinę - łagodnie sprostował Ranulf. - Choć szczerze wątpię, by za pismem króla kryło się coś innego niż zwykła chęć ściągnięcia całego dworu na większe polowanie. Pamiętaj jednak, że jego wola jest najwyższym rozkazem.

- W rzeczy samej - dorzucił Etienne z przekazem.

Ranulf spojrział na niego z lekką, lecz wyraźną przyganą.

- Nie nam kwestionować polecenia władcy, panie ojcze - przemówił i jak to miał w zwyczaju, swoje słowa podkreślił eleganckim gestem, co tylko pogłębiło niechęć earla. - Matko, ojcze, błagam was o wybaczenie. Być może następnym razem zawitam do was na

dłużej. Mam nadzieję, że sir Nyle i nadobna Aldyth nie wezmą mi za złe, że tak krótko mieli okazję widzieć się z Warinem. Ty zaś, paziu, pożegnaj się z bliskimi i spakuj swoje rzeczy.

Chłopiec był tak podniecony perspektywą wyjazdu, że wcale nie martwił się rozstaniem. Wytrzymał jednak na tyle długo, żeby pokłonić się rodzicowi i mocno uścisnąć siostrę. Zauważył przy tym, że niemal nie odrywała wzroku od Ranulfa.

Rycerz skinął na ogromnego Bretończyka, żeby ten także poszedł się pakować. Ucałował matkę i sztywno pokłonił się ojcu. Potem wyszedł, starannie odmierzoną, posuwistym krokiem. Ani razu nie spojrzął za siebie. Aldyth ze ściśniętym sercem patrzyła na niego jak zaczarowana. W głębi ducha była przekonana, że już nigdy się nie zobaczą. Chciała więc na zawsze zachować to wspomnienie - choćby po to, by na przyszłość wiedzieć, jakiego pokroju mężczyzn ma unikać!

Z łatwością przekonała sir Nyle'a do szybszego powrotu do domu. Skoro Ranulf wyjeżdżał i grzecznościom stało się zadość, nie musieli przedłużać pobytu w Kingsclere.

- Na pewno nie chcesz zostać dłużej, córeczko? Może wrócę za jakiś czas, żeby cię odwiedzić do Sherborne?
- zapytał.

Był mocno zdumiony jej nagłą decyzją. Innymi razy o wiele dłużej zostawała na zamku, ciesząc się każdą chwilą, jaką spędzała w uroczym towarzystwie hrabiny.

- Nie, ojczu. Było mi bardzo miło, ale mam wiele do zrobienia w Sherborne. Trzeba zebrać jabłka, na-

suszyć ziół i zaplanować świniobicie na nadchodzącą zimę.

Następnego ranka pożegnali earla i jego żonę. Siedli na konie i ruszyli w powrotną drogę. Wreszcie Aldyth powiedziała ojcu coś, co od poprzedniego dnia kamieniem ciążyło jej na sercu.

- Ojczy, postanowiłam, że nie wyjdę za mąż.

Niewiele brakowało, a sir Nyle wypuściłby wodze z ręki.

- Nie wyjdiesz za mąż? Co to znaczy, Aldyth? Nagle poczułaś w sobie powołanie Boże? Nigdy nie myślałem, że zamkniesz się w klasztorze. Widziałem cię w roli dobrej matki i żony. Lecz jeśli taka twoja wola...

Roześmiała się niewesoło.

- Nie, ojczy! Ani mi w głowie klasztor. Wyobrażasz sobie, jak bym wyglądała jako zakonnica? Jak modłę się całymi dniami i posłusznie wypełniam wszelkie polecenia matki przełożonej? Mam na myśli coś całkiem innego. Nie pociąga mnie stan małżeński. Chciałabym, żeby w moim życiu nic się nie zmieniło. Nie zamierzam opuszczać Sherborne. Będę twoją gospodynią. Nie musisz się więc martwić, że zostaniesz sam na starość. W trudnych chwilach zawsze będę przy tobie.

- Dzięki ci, moja córko, ale nie spieszno mi jeszcze do grobu! - rzekł sir Nyle, nie kryjąc niezadowolenia, a potem westchnął głęboko. - Co więcej, mój umysł jest wciąż rzeński i sprawny. Wiem zatem, że twoje słowa, chociaż podyktowane poczuciem obowiązku, są tylko nieżyciową złudą. Choćbym chciał, nie mogę na zawsze zatrzymać cię przy sobie, dziecko. I tak to trwa-

ło już zbyt długo. Moja w tym wina, że błędzą ci po głowie tak niedorzeczne myśli.

- Ojczy, ja...

Zacisnął usta.

- Niezależnie od naszych chęci nie może być inaczej, Aldyth. Dla niewiasty w tym świecie są tylko dwa miejsca: klasztor lub małżeńskie łóżko. Najwyższy czas, żebyś wreszcie dokonała wyboru.

Aż w głowie jej zawirowało od natłoku myśli.

- Ale dlaczego, ojczy? Dlaczego?

Dlaczego mówił o tym teraz? Przecież nigdy przedtem nie nakłaniał jej do małżeństwa. Nie powiedział jej ani słowa, gdy od czasu przyjazdu do Sherborne systematycznie odrzucała wszystkich zalotników!

Sir Nyle znowu westchnął i potarł czoło. Popędził wierzchowca. Aldyth zrobiła to samo, żeby dotrzymać mu kroku. Oddalili się nieco od eskorty.

- Zbyt długo ci pobłażałem, córko. Już dawno powinnaś mieć męża i dzieci. Wstyd mi, że myślałem przede wszystkim o sobie.

Aldyth położyła mu rękę na dłoni.

- Rozmawiałaś z Godrikiem, prawda?

To było do przewidzenia. Brat, zaniepokojony sceną w stajni, przestrzegł rodzica. Uważał to za swój obowiązek. Nie chciał, żeby jego piękna siostra została nałożnicą jakiegoś Normana pokroju Ranulfa. Teraz za wszelką cenę musiała przekonać ojca, że w ogóle nie chciała się z nikim wiązać.

Co Godric właściwie mu powiedział? Zagłębiał się w szczegóły? To przecież mogło na przyszłość popsuć

serdeczne stosunki między kasztelanem i earlem. A gdyby tak sir Nyle żył dłużej niż lord Etienne... Ojciec lekceważąco machnął dłonią.

- Godric nie powiedział mi nic nowego. Sam o tym myślałem od dłuższego czasu. Starzeję się, moja córko. Co rano czuję rwanie w kościach. Przyjdzie dzień, gdy nie będę cię mógł dłużej chronić.

Poczuła ukłucie w sercu.

- Ojczy, chyba nie jesteś chory? Ukrywasz coś przede mną?

- Nie, Aldyth. Nie martw się. Jestem zdrow na tyle, na ile to możliwe u kogoś w moim wieku. Z drugiej strony, nikt nie jest wieczny.

- Ale, dzięki Bogu, masz przed sobą jeszcze długie lata życia! - zawołała z przejęciem. - Doczekasz dnia, w którym Godric stanie się kasztelanem Sherborne. Będę mu prowadziła dom...

Tu umilkła, tknięta nagłą myślą. Owszem, Godric mógł zostać kasztelanem Sherborne, pod warunkiem że pozbyłby się buntowniczych myśli i zmienił swój stosunek do normańskich panów. W przeciwnym razie...

Sir Nyle nie pozwolił jej na dalsze rozmyślenia.

- Godric na pewno się ożeni we właściwym czasie - powiedział z naciskiem. - Zjedzie z oblubienicą do rodowych włości i uczyni ją tam swoją panią. Nie może być dwóch kasztelanek w jednym zamku, córko. Na prawdę tego nie rozumiesz?

Nowa pani na Sherborne? Aldyth oniemiała. Nie pamiętała już, że przed kilkoma dniami sama marzyła o tym, żeby stać się panią na włościach Ranulfa. Wtedy

bez najmniejszego żalu myślała o porzuceniu ojcowizny.

- W przeszłości odtrąciłaś kilku młodych ludzi, którzy starali się o twoją rękę. Paru z nich do dzisiaj pozostaje w bezzennym stanie. Chcę, żebyś ponownie przemyślała swoją decyzję, córko - ciągnął sir Nyle. Wsunął do ust kawałek wyśmienitego sera, który hrabina ofiarowała im na drogę. - Nie brakuje nam dzielnych rycerzy, którzy chcieliby cię za żonę.

- To sami Normanowie - odpowiedziała z pogardą.

- Myślą pewnie, że propozycją ślubu wyświadczą ogromny zaszczyt skromnej angielskiej dziewczynie. Nie mówiąc o tym, że nęci ich moje wiano, obiecane przez earla. Nie, ojczu. W tym przypadku Godric ma rację. Anglicy powinni przede wszystkim zadawać się z Anglikami.

- Czy twoje poglądy mają coś wspólnego z przemianą młodego sir Ranulfa? - zapytał ojciec, obserwując ją uważnie spod oka.

Umknęła wzrokiem.

- To była zwykła dziecinada. Cielęca miłość z jego strony. Już z tego wyrosłam, ojczu.

Wyglądał na zadowolonego.

- W takim razie, co powiesz o młodym Haroldzie?

Najwyraźniej miał zamiar od razu przejść do rzeczy.

- Za gruby - odpowiedziała, lekko zbity z tropu.

- Masz rację. Dobrze, że mi o tym przypomniałaś. Chociaż to miły chłopak. A na przykład Ailwin z Eastham Farm?

- Ten piegus, co wciąż pije? Ojczu, on nawet nie po-

trafi przyjechać ze swoich włości do naszego zamku bez bukłaka przy siodle. Bardziej go pociąga nasza piwnica niż ożenek!

- Osbert Osbertsson? Ma spore dobra pomiędzy Sherborne i Odiham.

- I sześcioro dzieci po zmarłej żonie. Nic dziwnego, że zmarła, rodząc rok po roku. A w dodatku mieszka z nim jego matka. To straszna sekutnica. Zatrulały mi życie, gdybym nawet sprostała potrzebom Osberta.

- Aldyth... - zaczął sir Nyle ostrzegawczym tonem.

- Ojczy, każdy z nich jest gorszy od poprzedniego! Skoro tak stawiasz sprawę, to już wolę iść do klasztoru!

- Nie, córko, tego od ciebie nie wymagam. Znajdziemy kogoś odpowiedniego - rzucił pojednawczo. Nagle strzelił palcami. - Patrz, prawie zapomniałem. A Turolde ze Swanlea Farm?

- Turolde? - powtórzyła.

Przywołała w pamięci twarz młodzieńca, który tego lata był częstym gościem w Sherborne. Rok lub dwa starszy od niej, z jasną czupryną, o niebieskich oczach i zaraźliwym śmiechem. Ze dwa cale wyższy, mocnej budowy, ale bez śladu tłuszczu. Same mięśnie.

- Turolde ze Swanlea? Nawet go lubię. - Ze zdumie-

niem słuchała własnych stów. - Może, gdybym miała okazję poznać go nieco bliżej. O ile się nie ożenił. Daj mi ze dwa dni na oporządzenie wielkiej sali, a potem niech zjeżdża do nas na jakąś wieczerzę.

Sir Nyle uśmiechnął się szeroko. Wyciągnął dłoń i pogładził córkę po policzku.

- To mi się podoba. Nie chcę cię zmuszać do mał-

żeństwa z kimś, kto nie spełnia twoich oczekiwań. Proszę cię tylko, żebyś wszystkich nie potępiała w czambuł. Daj im przynajmniej jakąś szansę.

Turolde ze Swanlea. Najważniejsze, że pod każdym względem różni się od Ranulfa. Mogła na niego patrzeć bez obawy, że wzbudzi w niej jakąś tęsknotę. Jest Anglikiem, więc mówi normalnie, po angielsku. Ciekawe, czy zna francuski? - pomyślała cierpko.

Bo jeśli nie, to nawet o uczuciach będą rozmawiać ze sobą całkiem innymi słowami.

Nagle coś jej się przypomniało.

- A gdybym tak zechciała go poślubić, to też musisz prosić earla o zgodę?

Sir Nyle spojrzał jej prosto w oczy.

- Oczywiście. Etienne jest moim panem. Wszystko w naszym życiu dzieje się za jego łaskawym przyzwoleniem, za co zresztą pobiera stosowną daninę. Poza tym, z chęcią przyjdzie na twoje wesele. On i lady Nichola traktują cię niemal jak córkę.

Zatem Ranulf na pewno dowie się o jej małżeńskich planach. Choćby od Warina. Na co właściwie liczyła? Że jej dawny ukochany usłyszy od swoich rodziców, jaka była szczęśliwa, stojąc przed ołtarzem? Czy że podejmie odpowiednie kroki, by nie dopuścić do ślubu?

Po co miałby odbierać ją Turoldowi? Cóż by uczynił potem? Zmienił się i sam poprosił o jej rękę?

Nie bądź naiwną gąską, Aldyth! Droga do Sherborne dłużyła jej się w nieskończoność. Ach, gdybyż jej serce słuchało rozumu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Minął tydzień. Aldyth kręciła się po domu, wciąż pokrzykiwała na służbę i doglądała porządków w wielkiej sali. Wreszcie oznajmiła ojcu, że wszystko gotowe. Natychmiast wysłano zaproszenie do Swanlea. Zaskoczony Turolld dowiedział się, że proszą go na ucztę.

Przybył ubrany według najlepszej normańskiej mody i uśmiechał się szerzej niż zwykle, jakby wiedział, co kryje się za pozornie niewinnym zaproszeniem.

Aldyth też starannie wybrała strój, jak wypadało młodej damie, którą ojciec chciał swatać z bogatym ziemianinem.

Nie wystąpiła jednak ani w szmaragdowym *bliaut*, ani w wełnianym przyodziewku. Nie mogła się przebrać. Tyle nadziei łączyła z nimi, gdy jechała spotkać się z Ranulfem. W zamian za to wybrała jasnoniebieską suknię, dobrze podkreślającą kolor jej kasztanowych włosów, upiętych złotą siatką. Suknia - u góry obcisła i lekko fałdowana u dołu - uwidoczniała jej smukłą talię i zmysłowo zaokrąglone piersi.

Sir Nyle tak ustalił porządek przy stole, aby dwoje młodych siedziało obok siebie. Dzięki temu mieli się lepiej poznać. Ojciec Aldyth oczekiwał od córki w pełni świadomej decyzji. Powiedział jej to zresztą bez ogró-

dek podczas przygotowań do uczty. Postanowił, że jeżeli młodzi przypadną sobie do gustu i Aldyth zaakceptuje kandydata na męża, weźmie Turolda na stronę i omówi z nim sprawę wiana i przygotowań do ceremonii zaślubin.

Aldyth i Turolde spotkali się najpierw na dziedzińcu pod czujnym okiem sir Nyle'a. Młodzieniec przywitał pannę uprzejmie i szarmancko, z wyraźnie widoczną rewerencją. Dopiero potem, gdy zasiedli przy stole i podsunął jej półmisek z pieczenią w sosie pieprzowym, po raz pierwszy odważył się spojrzeć jej w oczy.

- Lady Aldyth, przyznaję, że nie spodziewałem się tego zaproszenia. Jeszcze tego lata byłem przekonany, że nie znalazłem przychylności w twoich oczach.

Aldyth ze skupieniem kroić porcję mięsiwa, jakby ta czynność pochłaniała całą jej uwagę. Nie potrafiła kłamać na zawołanie.

- Cóż. Zastanowiłam się, Turoldzie. Chyba zbyt spieszenie odtrąciłam twoją ofertę małżeństwa. Wybaczysz mi?

A Ty, słodki Jezu, wybaczysz mi to kłamstwo? - dodała w myślach.

- Chcesz... mnie za męża? - spytał zmieszany Turolde.

Twarz pojaśniała mu radością w migotliwym świetle pochodni. Zapomniał o powściągliwości i - niepomny na wzrok współbiesiadników - chwycił dziewczynę za rękę. Wysadzany perłami nóż wypadł z jej dłoni i z głośnym brzękiem stuknął o posadzkę.

Aldyth niczym we śnie powoli skinęła głową. Nie

mogła wykrztusić ani słowa na potwierdzenie swojej obietnicy. Turolld uznał to widać za dziewiczą nieśmiałość, bo poweselał jeszcze bardziej.

Siedzący z drugiej strony sir Nyle uśmiechnął się z ukontentowaniem. A zatem załatwione. Nie musiał już się obawiać o przyszłość córki.

- Jutro niedziela, moja miła - powiedział Turolld. - Przed mszą dopełnimy wszelkich formalności. Niech kapłan ogłosi nasze zrekowiny!

Przy niższych stołach wybuchła radosna wrzawa. Czeladź cieszyła się, że ich pani wychodzi za mąż. Nie mniej kusiała perspektywa wesela, tańców i tęgiej pijałyki, która nieodmiennie towarzyszyła hucznej zabawie. Wielu poddanych ceniło Aldyth za jej rozsądek i niezależność, lecz przede wszystkim lubili się bawić. Wiedzieli już, że od weselnego stołu nikt nie odejdzie z pustym brzuchem. Niektórzy podejrzewali nawet, że po rychłym wyjeździe oblubienicy w Sherborne znów zapanują nieco łaskawsze czasy i piwo, tak jak dawniej, poleje się strumieniami.

Ktoś jednak nie podzielał ogólnej radości. Była to Maud, pokojówka Aldyth, córka kucharki Helwise. Siedziała ukryta w cieniu, po drugiej stronie sali, i z narastającą złością obserwowała, jak córka sir Nyle'a odbiera jej młodzieńca, którego uważała za swoją niepodzielną własność.

Ich znajomość rozpoczęła się pod koniec lata, wkrótce po tym, jak Aldyth ostudziła zapędy Turollda.

Pierwszy raz spotkali się na polance w lesie, w połowie drogi między Sherborne i Swanlea. Młody ziemia-

nin, siedzący teraz przy głównym stole, nigdy nie składał swojej lubej obietnic małżeństwa, a jednak Maud była przekonana, że kiedyś się pobiorą.

Ilekoć wracała ze schadzki, wmawiała sobie, że przystojny Turolld jest jej przeznaczony. Po cóż by bowiem chciał się z nią spotykać po nocach pełnych rozkoszy? Czekał zapewne na koniec zbiorów, żeby się jej oświadczyć. Żniwa jednak minęły i nic się nie zmieniło. Potem przyszła wiadomość o ciężkiej chorobie matki Turollda. Maud uznała, że to nie najlepsza pora na wesele. Czekwała zatem cierpliwie, nie unikając częstych spotkań z kochankiem. Kiedy nadeszły pierwsze chłody, widywali się w opuszczonej chacie węglarza.

Matka Turollda wyzdrowiała, ale on wciąż ani słowem nie wspominał o ślubie. Maud martwiła się czasem, że zostanie z dzieckiem. Skwapliwie piła ohydny miksturę, która zdaniem Helwise powinna ją uchronić przed podobnym nieszczęściem. Nawet matce się nie przyznała, kim jest jej kochanek.

A teraz Turolld przymilał się do Aldyth i mówił o zrękowinach. Maud była zdruzgotana. Wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi to nie ona, lecz szlachecka córka miała wejść do domu Turollda i piastować jego dzieci.

Nie może się na to zgodzić, musi przeciwdziałać. Miała zamiar porozmawiać z kochankiem. Przemówić mu do rozumu. Wierzyła, że po prostu zgłupiał na myśl o tym, że mógłby poślubić córkę kasztelana.

W głębi serca już mu wybaczyła i nawet nie przyszło jej do głowy, że mógłby wykorzystać jej młode pulchne

ciało wyłącznie do zaspokojenia swych żądz. Na schadzki zakładała wyzywające suknie i pozwalała mu na wszystko, chociaż często bywał brutalny. Wybaczała mu nawet to, że z jej bólu czerpał satysfakcję. Dla niej było to dowodem prawdziwej miłości, o wiele głębszej niż złudne uczucie, jakie go teraz połączyło z Aldyth.

Datę ślubu wyznaczono na trzeci grudnia. Dla Aldyth dni mijały z szaleńczą szybkością. Nie mogła sypiać. Większość czasu wypełniały jej przygotowania do wesela. Od świtu do nocy pilnowała służby zajętej sprzątnieniem. Przypominała wszystkim, że tłum gości wypełni każdy cal przestrzeni w wielkiej sali.

Nawoływała, że komnaty mają być świeżo pobielone i że należy wymieść pajęczyny z kątów - jakby goście zamierzali sprawdzać, czy rzeczywiście pod sklepieniem jest czysto. Dziesiątki drabin rozstawiono po całutkim zamku.

Świniarek aż się za głowę złapał, kiedy mu powiedziano, ile trzody pójdzie pod nóż na weselną ucztę. Główny pastuch i dziewczyna opiekująca się kurnikiem utyskiwali, że przez resztę zimy w kuchni będą szykować wyłącznie dania z jarzyn.

Aldyth prowadziła długie narady z kucharką. Wreszcie Helwisa zaczęła jej unikać, żeby nie wysłuchiwać „receptur młodej pani tak osobliwych, jakby sam papież zamierzał udzielić jej sakramentu”. W gruncie rzeczy była niezwykle dumna, że przyjdzie jej gotować dla earla i hrabiny z Kingsclere, ale otwarcie wyrzekła na tłuste i udziwnione potrawy Normanów.

Po rozdzieleniu porannych obowiązków Aldyth najczęściej szła do słonecznej komnaty, bo tam, w promieniach poranka, miała najlepsze światło do szycia ślubnej sukni. A suknia miała być koloru wina, przy szyi i na dole ozdobiona angielskim haftem, z szerokimi i powiewającymi rękawami. Szyciem zajmowała się wyłącznie Aldyth. Jej matka była znakomitą szwaczką i nauczyła ją wspaniałej sztuki typowo saskiego haftu. Och, gdybyż tylko godziny spędzane z igłą w ręku powstrzymały ją od myślenia!

Turolld okazał się dobrym narzeczonym i często zaglądał do Sherborne. Raz przywiózł w prezencie parę kociąt, które niedawno przyszły na świat w Swanlea. Jedno było białe, a drugie czarne. Aldyth pokochała je od pierwszego wejrzenia i nadała im stosowne imiona: Śnieg i Sadza. Turolld zapewniał ją ze śmiechem, że po weselu koty wyrosną na myśliwych i uratują Swanlea przed inwazją myszy. Cieszył się, widząc jej zadowoloną minę.

W pogodne popołudnia chodzili czasem na spacery lub wybierali się na przejażdżkę po rozległych lasach i polach oddzielających Sherborne od Swanlea.

Turolld był znakomitym kompanem - zabawiał narzeczoną śmiesznymi opowieściami z lat dziecinnych. Gawędzili także o przyszłym wspólnym życiu i wymyślali imiona dla dwanaściorga dzieci, wymarzonych przez Turollda. Pierwszą szóstkę mieli stanowić synowie, do pomocy w pracach gospodarskich, drugą - córki, do opieki nad ojcem, gdy ten się już zestarzeje. Aldyth wołała wówczas, że po sześciu synach będzie zbyt

zmęczona, aby rodzić córki i że na pewno zestarzeje się wcześniej od niego.

Tuż po zaręczynach zabrał ją do Swanlea i przedstawił matce, wdowie Gundredzie. Stara Angielka o siwych włosach splecionych w ciasne warkocze przyjęła ją bardzo grzecznie, ale bez czułości. Nie była rozczarowana ani też zadowolona z małżeńskich planów syna.

Aldyth pocieszała się myślą, że w miarę upływu czasu jej stosunki z teściową ulegną ociepleniu. Nie chciałaby w późniejszych latach wciąż natykać się na mur obojętności. Może wnuki coś zmienią? - pocieszała się. I wówczas z bólem przypomniawszy sobie, co poprzedza narodziny dziecka.

Tuold nie był jej niemiły. Czasami ją całował, z czułością i delikatnie, gdy wędrowali ramię przy ramieniu skrajem zielonej łąki lub siadywali wieczorami, wpatrzeni w płomień ogniska. Nigdy też nie przekraczał zasad przyzwoitości obowiązujących narzeczeńską parę. Wspominał tylko, że jej pocałunki burzą w nim krew i nie pozwalają zasnąć. Że nieustannie marzy o rozkoszach poślubnej nocy.

Aldyth nie unikała jego pieszczot. Sęk w tym, że nie znajdowała w nich żadnej przyjemności. Nic nie czuła. Ani przyspieszonego bicia serca, ani chęci, aby zatracić się i uczynić pocałunek bardziej zmysłowym.

W objęciach Ranulfa miała wrażenie, że wpadła w sam środek burzy. Jego dotyk rozpalał w niej najdziksze emocje. Chciał ją zhańbić, a mimo to zdarzały się momenty, że żałowała swojego oporu. W ta-

kich chwilach przystałaby na wszystko, byle być tylko jego.

Turolld nie zamierzał jej krzywdzić. Przeznaczył jej rolę powszechnie szanowanej żony i matki. Nie budził w niej pasji, nie wywoływał zakłopotania. U jego boku mogła pędzić spokojny i dostatni żywot w Swanlea. Podejrzewała, że z czasem proza życia stłumi w niej wspomnienia o normańskim piękniu.

- To twój nowy naszyjnik, pani? - Głos Maud wy rwał ją z zamyślenia. Aldyth uniosła głowę.

Pokojówka wskazywała na sznur pereł leżący na toaletce.

- Owszem. To zaręczynowy prezent od Turollda. Piękny, prawda? - spytała.

Zauważyła, że dziewczyna wyraźnie posmutniała. Ostatnimi czasy zdarzało jej się to coraz częściej.

Co ją gnębiło?

Czarnowłosa córka kucharki Helwise nigdy nie należała do najweselszych dziewcząt, lecz mniej więcej w połowie lata stała się radosna niczym skowronek. Zwykle blada, nagle nabrała rumieńców i uwijała się jak fryga. Często znikwała jak dzień długi i nie można jej było znaleźć. Zazwyczaj też po takich eskapadach wracała z suknią poplamioną trawą. Aldyth podejrzewała, że nawiązała bliższą znajomość z jakimś młodzieńcem. Pewnie wieśniakiem prowadzącym gospodarstwo tuż za murami Sherborne.

Ciągła nieobecność pokojówki przysparzała nieco kłopotów jej pani, lecz Aldyth jej nie karała. Wręcz przeciwnie, pomna na własny los, cieszyła się szczęś-

ciem dziewczyny. Miała tylko nadzieję, że dojdzie do wesela, bo przy nieślubnym dziecku za Maud ciągnęła by się opinia ładacznicy.

Niestety, przed zimą coś się musiało popsuć. Maud chodziła jak struta. Stała się o wiele bardziej ponura niż przedtem. Aldyth usiłowała ją czymś zająć. Miała zresztą niejedno do zrobienia przed ślubem. Pokojówka jednak jej unikała. Coraz częściej patrzyła na swoją panią posepnym wzrokiem.

Aldyth doszła do wniosku, że młodzi kochankowie po prostu się pokłócili. Było jej żal dziewczyny, ale z drugiej strony skonstatowała z ulgą, że brzuch Maud nie zaokrąglił się. Pewnie marzyłaś o ślubie, biedaczko - pomyślała ze szczerym współczuciem. Dlatego teraz nie możesz patrzeć na weselne stroje. Postanowiła zatem cierpliwie znosić humory pokojówki.

Nadeszła wigilia ślubu. Goście zjechali na zamek i zasiedli do sutej wieczerzy. Dla najważniejszych z nich, earla i hrabiny Kingsclere, przygotowano honorowe miejsca przy najwyższym stole. Po prawej mieli narzeczonych. Sir Nyle i matka oblubieńca Gundreda zasiedli po lewej. Godric przyjechał wraz z earlem. Był w świetnym nastroju. Tuż po przyjeździe wziął siostrę na stronę i powiedział jej, że się bardzo cieszy, iż wybrała Turola.

- To dobry Anglik - podkreślał. - Sól tej ziemi. Wyśmienity materiał na męża.

Warin nie mógł przybyć, ale przysłał list z życzenia-

mi dla młodej pary. Aldyth podejrzewała, że jego nieobecność może mieć coś wspólnego z Ranulfem.

Wszyscy goście zgadzali się co do tego, że Aldyth i Tuold stanowią wielce dobraną parę. Symbol angielskiej dumy. On, ubrany w szkarłatną wełnianą tunikę, ze starannie wyszczotkowaną czupryną, siedział prosty jak świeca obok oblubienicy. Któryż mąż nie byłby dumny z takiej żony?

Aldyth włożyła szary *bliaut*, a na to narzutkę obszytą wiewiórczym futrem, dla ochrony przed grudniowym chłodem. Warkocze splotła złotą taśmą, lecz następnego dnia zamierzała rozpuścić włosy na ramiona, jak przystało dziewczycy idącej do ołtarza.

Tuold popatrywał na nią rozmarzonym wzrokiem. Rozmyślał o czekających go wkrótce rozkoszach. Czeladź widocznie myślała o tym samym, bo któryś z odważniej szych krzyknął gromko, by oblubieniec pocałował pannę.

Aldyth zmusiła się do uśmiechu i nadstawiła usta. Tuold wycisnął na nich namiętny pocałunek, co goście przyjęli z chóralnym aplauzem. Aldyth wiedziała, że na ju-trzejszej weselnej uczcie takich okrzyków będzie dużo więcej, zwłaszcza gdy zaczną krążyć pękate antałki z piwem. Goście nabiorą odwagi i chęci do sprośnych żartów, aż męzowska komnata wyda się cichym schronieniem.

Kasztelanka wmawiała sobie, że jest w pełni gotowa do nocy poślubnej z Tuoldem. Kochała go. Jakże mogła nie kochać kogoś tak czułego i obdarzonego łagodnym usposobieniem? Choćby szukała całe lata, nie znalazłaby lepszej partii.

Gundreda z lekkim rozbawieniem obserwowała ich pocałunek. Może to zwiastun lepszych stosunków pomiędzy matką i synową?

Z drugiej strony spoglądała na nią lady Nichola. Widząc, że Aldyth patrzy w jej stronę, uśmiechnęła się promiennie i w niemym toaście uniosła kielich z winem. Dlaczego jednak chwilę przedtem w jej niebieskich oczach zamigotał cień zakłopotania?

Hrabina często udawadniała swoim zachowaniem, że traktuje Aldyth niemal jak rodzoną córkę. Czy domyślała się, że dziewczyna kocha Ranulfa? Jeśli tak, to dlaczego nie zachęcała jej do dalszych starań? Co sobie myślała teraz, widząc Aldyth całującą się z innym mężczyzną? A może jednak znała prawdziwe powody jej decyzji? Może wiedziała, że w gruncie rzeczy wino leżała po stronie Ranulfa?

Aldyth znowu zwróciła się do Turolda. Obrzuciła spojrzeniem jego wesołą, rumianą twarz i złociste włosy. Starła się na zawsze usunąć z pamięci widok innej twarzy i ciemnych oczu, gorejących prawdziwym pożądaniem.

Dość wcześnie opuściła gości, tłumacząc się zmęczeniem. Tuold był nawet rad, że udała się na spoczynek.

- Dobrze wypocznij, moja duszko - powiedział, po czym zniżył głos do namiętnego szeptu. - Bowiem jutro nie zaśniesz już tak łatwo!

Drzwi sypialni wisiały na dobrze naoliwionych zawiasach, więc tylko lekki szmer dał znać Aldyth, że nie jest już sama.

- Lady Aldyth... - powiedział ktoś od progu.
- Ach, to ty, Maud. - Aldyth wezwała ją ruchem dłoni i uśmiechnęła się, chociaż w gruncie rzeczy nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę. - Nie widziałam cię podczas wieczery.

- Bo... nie przyszedłam na nią.

Dziewczyna uparcie trzymała się cienia, jakby próbowała coś ukryć. Stała profilem, z dłonią zaciśniętą na dębowej framudze.

- Tak? - zachęcającym tonem powiedziała Aldyth. Na chwilę przestała szcztokować włosy. - Chodź tu do mnie. Przy kominka jest o wiele cieplej. Pewnie zmarzłaś na korytarzu. Cieszę się, że cię widzę, bo ostatnio niepokoiło mnie trochę twoje zachowanie. A gdy nie przyszedł na ucztę...

- Nie przyszedłam, bo Turol mi zabronił - wypaliła Maud.

Stała w blasku ognia padającym z kominka.

Aldyth jęknęła z nagłego przerażenia. Prawe oko dziewczyny ginęło pod opuchlizną, a na podbródku widniał czarny siniec. Dolną wargę miała obrzmiałą i pokaleczoną.

Aldyth zerwała się z miejsca i podeszła bliżej, aby dokładnie obejrzeć twarz Maud.

- Turol ci zabronił? Co to znaczy? Kto cię tak po bił?

Dziewczyna skuliła się, jakby pragnęła uniknąć dotyku. Aldyth opuściła ręce.

Maud spojrzała na nią zdrowym okiem.

- Turol powiedział, że nie chce mnie widzieć na

wieczery - powiedziała wyzywającym tonem. - Że mam cierpliwie czekać w chacie węglarza, aż zjedzie z tobą, pani, na stałe do Swanlea. Pomyślałam jednak, że powinnaś wiedzieć.

- O czym, Maud? Pytam raz jeszcze: kto cię pobił? Pokojówka wyprostowała się z przewrotną dumą.

- Kto? A któż inny, jak nie Tuold? Ten sam, który był mi kochankiem przez te wszystkie miesiące! Ten sam, któremu jutro oddasz swoją rękę!

Aldyth przez chwilę nie wierzyła własnym uszom. Potem jednak z coraz większym zdumieniem przypatrywała się stojącej przed nią dziewczynie. Coś ścisnęło ją w żołądku. Miała wrażenie, że narasta tam bryła lodu.

- Chadzałaś do Tuolda? Był twoim kochankiem? - wykrztusiła wreszcie.

- Wciąż nim jest - chłodno sprostowała Maud. - Jeszcze wczoraj zaciągnął mnie do łóża.

Aldyth dopiero teraz spostrzegła, że dziewczynie brak jednego zęba.

Przez chwilę nawet nie myślała o zdradzie Tuolda i o skutkach tego wydarzenia.

- Wziął cię, a potem pobił? - zapytała niemal bez tchu.

- Tak. Sama sobie na to zasłużyłam. Byłam zazdrosna o ciebie, pani. Pomyślałam sobie, że po ślubie nie zechce mnie już widywać. Ale on na sam koniec dał mi do zrozumienia, że nic się praktycznie nie zmieni. Ukażał mnie za brak wiary.

Odważne słowa!

- Nie zmieni? - jak echo powtórzyła Aldyth. - A potem kazał ci się ukrywać, żebym nie zobaczyła twojej pokiereszowanej twarzy? Miałam o niczym nie wiedzieć?

Mówiła spokojnym tonem, nie zdradzającym jej prawdziwych uczuć.

- A jednak przyszedł do mnie. Dlaczego, Maud?

W głębi duszy wierzyła, że dziewczyna po prostu szukała wsparcia i ochrony. Następne słowa Maud rozwiąły jej złudzenia.

- Chcę, żebyś wiedziała, pani. Byłaś taka dumna, kiedy chodziliście razem na spacer. Wiedz zatem, że twój Tuold mnie pierwszą obdarzył prawdziwym uczuciem. Nic tego nie odmieni.

Aldyth mimo woli groźnie uniosła rękę. Maud skuliła się ze strachu. Aldyth ochłoneła w porę. Nigdy dotąd nie uderzyła nikogo ze służby. Nie musiała więc robić tego nawet teraz. A jeśli dziewczyna mówiła szczerą prawdę, to nie należało jej karać.

- Idź do siebie. Dowiem się, czy nie kłamiesz. Zajmę się tobą później.

Nie obejrzawszy się, wyszła z komnaty.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lord Etienne, hrabina, sir Nyle i Gundreda zniknęli już w swoich pokojach. Przy wielkim stole siedział jedynie Turolld w towarzystwie Godrica. Patrzyli na rozbawioną czeladź tęgo popijającą z dzbanów. Niektórzy zbrojni już chrapali z głową wspartą o misę.

Turolld uśmiechał się. Jutrzejszy dzień miał być spełnieniem jego marzeń. Wraz z ręką Aldyth zamierzał przejąć prawo do jej włości i prędko wkraść się w łaski teścia. Pragnął, aby sir Nyle traktował go jak syna. Sam też postanowił być mu wiernym. Przynajmniej do czasu. Kiedy Anglia odzyska niepodległość, nie będzie liłości dla zdrajców. Dla nikogo, kto współpracował z Normanami.

Swanlea należało do bogatych gospodarstw. Turolld nie narzekał zatem na brak stawy, lecz nigdy dotąd nie brał udziału w tak wystawnej uczcie jak dzisiejsza. Co ciekawsze, wiedział od Aldyth, że to jedynie przygrywka przed weselnym przyjęciem.

Zauważył, że jego przyszła żona wolała ostrzejsze potrawy, przyrządzane w normańskim stylu. Po pierwszym toaście, który wznieśli korzennym trunkiem, on zażądał mocnego piwa, ale ona wybrała wino, jakby była Normanką pokroju earla Etienne lub lady Nicholi.

Dobrze, dobrze, moja maleńka, myślał Tuold, klepiąc się po wyduętym brzuchu. Już od jutra zmienisz upodobania! Jako córeczka kasztelana zdraycy, bratającego się z najeźdźcami, mogłaś sobie popijać wino i zapomnieć, że jesteś Angielką. Ale z tym koniec. Jeszcze nie wiesz, co cię naprawdę czeka. Będziesz mi żoną, posłuszną przy stole i w łóżu, w każdym momencie życia.

- Chciałam z tobą pomówić, Tuoldzie.

Zamrugął niespokojnie. Aldyth stała tuż przed nim, jakby przywołała ją myślami. Zamrugął jeszcze raz i pięścią przetarł powieki, załzawione od niewyspania i dymu wiszącego w sali. Wciąż ją widział - lecz nie był to najprzyjemniejszy widok. Aldyth miała wyraźnie zagniewaną minę.

Co się stało? Każda dziewczka denerwuje się w noc przed własnym ślubem, ale to jeszcze nie powód do złości. A może to moja głupia matka zbyt głośno utyskiwała na chłód panujący w sypialni?

- Tuoldzie, musimy porozmawiać.- powtórzyła Aldyth stanowczo. Jej podniesiony głos dotarł wreszcie do zamroczonego piwem rozumu włościanina. Oj, po ślubie nauczę ja cię, jak z szacunkiem zwracać się do mężczyzny!

- Cóż cię zmartwiło, gołąbeczko? - Wstał, opierając ręce na stole.

- Prawdziwa miłość nie daje zasnąć - wtrącił nie mniej pijany Godric.

Tuold puścił do niego oko.

- Pomówmy lepiej bez świadków. - Aldyth ogarnęła

spojrzeniem brata i tłum zaciekawionych twarzy przy niższych stołach.

- Widzisz, przyszły szwagrze? - wymamrotał Godric, nie zwracając uwagi na siostrę. - A nie mówiłem?

Turolf patrzył jednak wyłącznie na narzeczoną.

- Oczywiście, najmiłsza - zgodził się skwapliwie. - Już ci służę.

Dobrze wiedział, że w każdej chwili zmusi ją do pokory - choćby pięścią, jak zwykł to czynić z Maud. Przez całe swoje życie nie spotkał niewiasty, która by się oparła takim argumentom. Piwo sprawiło, że czuł się pewniejszy siebie.

Aldyth wzięła latarnię. Przeszli przez dziedziniec do pustej i zimnej kaplicy.

- Co to ma znaczyć, Aldyth? Sądziłem raczej, że chcesz mnie prosić...

- Tutaj będziemy sami - przerwała mu. Zapaliła kilka świec stojących przy ołtarzu. Cienie schowały się po kątach. - To najlepsze miejsce do wyznań, a ja chciałabym poznać prawdę.

- O czym ty mówisz? - W jego głosie zabrzmiał ton ostrzeżenia. W kaplicy było zimno, nie miał więc najmniejszej ochoty na bzdurne pogawędki.

- Mówię o mojej pokojówce Maud. Od jak dawna darzysz ją względami? Kiedy zamierzasz jej powiedzieć, że się żenisz i wszystko skończone? Może w ogóle jej nie powiesz? Resztę życia chcesz spędzić w grzechu?

Turolf zdawał się zmieniać w mozaicę tańczących cieni. Jeszcze chwilę temu był jowialnym, zadowolono-

nym z życia biesiadnikiem. Teraz, dosłownie w mgnieniu oka, przeistoczył się w demona.

Aldyth była tak zaskoczona tą przemianą, że nie zauważyła pierwszego ciosu. Pięść Turollda trafiła ją w bok głowy. Ze zdumieniem spostrzegła, że leży na podłodze. Turolld pochylał się nad nią z twarzą zastygłą w maskę gniewu.

- Nie mów mi, co mam robić, Aldyth - warknął groźnym tonem. Zionął piwem. Zebrało jej się na mdłości. - Jestem mężczyzną. Mężczyzna ma prawo robić to, co mu się podoba!

Odsunęła się prędko. Zdawała sobie sprawę, że tak samo jak Ranulfowi musi mu wybaczyć przedmażeńskie grzeszki.

- Owszem, Turolldzie. Do tej pory pozostawałeś w bezzennym stanie. Ale od jutra...

- Od jutra będę twoim panem i władcą w oczach Boga i wszystkich obecnych świadków. Zaręczam ci, że zawsze będziesz mi powolna.

Jego głos huczał echem pod sklepieniem kaplicy.

- Wyrosłaś na rozpieszczoną i zepsutą dziewczkę! Za pomniałaś, gdzie miejsce niewiasty na tym świecie. Ale przypomnisz sobie, obiecuję.

Był pijany. Niebezpiecznie pijany. Aldyth zdawała sobie sprawę, że powinna z udaną pokorą przyjąć jego słowa i poszukać schronienia u ojca lub kogoś z krewnych. Błagać ich, żeby jak najszybciej unieważnili zaręczyny i nie dopuścili do ślubu.

Coś jednak w niej pękło. Wbrew logice zlekceważyła groźne błyski w oczach Turollda. Nie patrzyła na jego zacisnięte pięści.

Z trudem uniosła się na nogi.

- Wybacz, lecz moim zdaniem popełniliśmy straszny błąd. Nie mogę wyjść za ciebie. Co prawda, nie wiem, w jaki sposób odwołać zrekowiny, ale...

- Nie, moja Aldyth. Na to już jest za późno. Poślubisz mnie. Sam tego dopilnuję!

Wymierzył jej siarczasty policzek. Zatonęła. Wnętrze kaplicy zatańczyło jej przed oczami. Z trudem zachowała przytomność.

- Nie zmusisz mnie do małżeństwa, Turoldzie!
Znow ją uderzył. Jak przez grubą zasłonę słyszała jego słowa:

- Nie zmuszę? A może tu i teraz udowodnię ci swoją władzę?

Brutalnie, z całej siły przygarnął ją do siebie.

Zaszlochała z przerażenia.

- Nie! Nie możesz mnie zgwałcić w kaplicy! To świętokradztwo! Zostaniesz ekskomunikowany!

Coś z tego przeniknęło do jego zamroczonego mózgu, bo zwolnił uścisk. Chwycił ją za włosy na karku, aż jęknęła z bólu i zbliżył twarz do jej twarzy.

- Poślubisz mnie z samego ranka, jak zostało zaplanowane - powiedział groźnie. - Dopilnuję, że byś dzisiejszej nocy nikomu się nie skarżyła. Te raz do łóżka. Musisz wyglądać kwitnąco przed ołtarzem.

Miała ochotę się roześmiać. Jak mogła wyglądać „kwitnąco” z sińcami na poobijanej twarzy? Nic nie powiedziała, kiedy wyciągał ją z kaplicy.

Liczyła na to, że spotkają kogoś w drodze na komna-

ty. Kogoś, kto natychmiast stanie w jej obronie. Ojciec, Godric. Nawet zwykły pacholek wystarczy!

Dziedziniec był opustoszały. Nic dziwnego, wszak uczta trwała do późnej nocy. Lecz Godric jeszcze na pewno siedział w wielkiej sali. Boże, błagała w myślach Aldyth, niech tylko nie zaśnie! Tuold nie zdołałby jej skrzywdzić w jego obecności. A lord Etienne i lady Nichola? Zajmowali wielką komnatę, w której zwykle sypiał sir Nyle. To przecież następne drzwi, zaraz za jej sypialnią. Mogłaby zabębnić pięściami w ścianę, krzykiem wezwać ratunku.

Tuold jednak nie wrócił do głównej wieży zamku. Skierował się w stronę budynku, w którym mieściły się pokoje księdza, rządcy i kilka innych, przeznaczonych głównie dla gości. Nie zaprowadził jej też do siebie, lecz zapukał do izby matki.

Musiał pukać dość długo, a nie chciał robić hałasu. Wreszcie w progu stanęła zaspana Gundreda. Ze zdumieniem spojrzała na syna i jego branke.

- Wpuść nas, matko. Jak tylko zamkniesz drzwi, wszystko ci wytłumaczę.

- Co...

- Powiedz mu, pani, żeby natychmiast mnie puścił - zaczęła Aldyth, lecz Tuold zakrył jej dłonią usta.

- Wpuść nas! - powtórzył.

Starsza kobieta spojrzała na Aldyth, a potem bez słowa spełniła polecenie syna.

Zapaliła świece od żaru tłącego się jeszcze w kominku.

- Cóżś uczynił, Tuoldzie? Wystraszyłeś ją o dzień

za wcześniej? - zapytała z niezadowoleniem. - A przecież tak cię ostrzegałam! Zobacz, w dodatku zostawiłeś ślady!

Kościstym palcem przesunęła po sonej przędze na policzku Aldyth.

- Każ mu mnie puścić, Gundredo! - zawołała dziewczyna, gdy tylko Turolld zdjął dłoń z jej ust. - Nie poślubię twojego syna! Nie bój się, nie zdradzę jego tajemnicy przed gośćmi. Nie powiem im, że nie będzie wesela, bo pan młody okazał się zwykłym brutalem i łajdakiem.

Turolld uniósł rękę, żeby znów ją uderzyć, ale powstrzymał go skrzekliwy rozkaz Gundredy.

- Cicho, Aldyth! - szepnął złowieszczym tonem. - Zaknebluj ją, matko.

Aldyth patrzyła z przerażeniem, jak Gundreda wyciąga ze swoich bagaży czysty skrawek tkaniny, żeby spełnić prośbę syna.

- Tutaj spędzisz dzisiejszą noc, moja ukochana - powiedział, zaciągając węzeł. - Gdyby ktoś spytał, powiemy, że do późna rozmawiałaś z Gundreda o tajnikach małżeńskiego pożycia i że w końcu zasnęłaś. Matka odprowadzi cię rano do kaplicy. Będzie ci towarzyszyć do końca ceremonii. Potem już nic nie stanie nam na drodze. Zasmakujemy prawdziwego szczęścia.

Wyszczrzył zęby w wilczym uśmiechu.

Jak mogła być taka ślepa? Przecież to szalenieć! Gwałtownie potrząsnęła głową. Chciała powiedzieć: „I tak nie wyjdę za ciebie. Krzyknę: Nie! na pytanie

księdza", ale wydała z siebie tylko niezrozumiały bełkot.

- Nie próbuj robić scen przed ołtarzem. Pamiętaj, że mam sztylet w rękawie i poderżnę ci gardło, zanim zdążysz powiedzieć o mnie coś złego. Pewnie potem zawisnę za morderstwo. - Znów się uśmiechnął. - Nic ci to jednak nie pomoże, skoro już wcześniej spoczniesz w grobie.

Aldyth patrzyła na niego, zdjęta przerażeniem. On zaś mówił dalej, o wiele łagodniejszym tonem:

- Aldyth, Aldyth. Ta mała sprzeczka nie powinna doprowadzić do niezgody między nami. Zapomnimy o gorzkich słowach, gdy tylko nauczysz się szacunku wobec męża. A kiedy zaznasz rozkoszy w moim łóżu -jak to było udziałem Maud - przestaniesz protestować.

- Wystarczy, mój synu - odezwała się Gundreda. - Musisz stąd wyjść. Masz tu następną szarfę. Zwiąż jej ręce i zostaw mi swój sztylet. Popilnuję naiwnej narzeczonej.

Po chwili Tuold chwiejnym krokiem zniknął na korytarzu. Gundreda popchnęła Aldyth w stronę łóżka, a sama usiadła na stołku.

- Możesz spać spokojnie, bo ja będę czuwać – powiedziała skrzekliwie.

Aldyth wiedziała, że nie zaśnie. Musiała się jakoś uwolnić! Nie mogła przecież przez resztę życia być zdana na łaskę brutalą! Co tu zrobić?

Zdołałaby się pozbyć więzów, bo pijany Tuold nie związał jej zbyt mocno. Starsza kobieta jednak wpijała w nią wzrok jak jastrząb.

Aldyth jęknęła pod kneblem, żeby zwrócić uwagę Gundredy i zadygotała.

- Zimno ci? Jutro mój młody ogier na pewno cię rozgrzeje - zachichotała starucha, ubawiona własnym dowcipem. - A na razie masz koc.

Okryła ją.

Branka westchnęła z ulgą. Teraz, pod osłoną koca, mogła rozplatać węzły krępujące jej nadgarstki. Przytknęła oczy, jakby naprawdę zamierzała zasnąć.

Co dalej? Do kogo miała się zwrócić? Do ojca? Kochał ją, lecz wyraźnie dał jej do zrozumienia, że wybór jest bardzo prosty - albo mąż, albo klasztor. Skoro nie było innych kandydatów do jej ręki, pewnie optowałby za klasztorem. Godric? Nie, on uważał Turolda za prawego Anglika. Do niedawna też była o tym przekonana. Więc kto? Lady Nichola?

Z drugiej strony, zrękowiny traktowano poważnie. Zerwanie takiej umowy pociągało za sobą długą, skomplikowaną i kosztowną procedurę. Sir Nyle nie dysponował odpowiednią gotówką. A jeśli earl Etienne odmówi im swego wsparcia? Dzisiaj sama się przekonała, że Turolld potrafi być mściwy. Mógłby użyć majątku i wpływów, by przekonać władze Kościoła, że małżeństwo jednak powinno być zawarte. Jedynym słusznym rozwiązaniem będzie szybka ucieczka.

Ba, ale dokąd? Samotna niewiasta stawiała się łatwym łupem dla dwunożnych wilków. Gdybyż tak można było nie zrywać więzi z rodziną. W tej samej chwili przypomniała sobie o Warinie. Wyjechał przecież wraz z lordem Ranulfem na królewski dwór. Pisał do niej, że

cieszy się jej szczęściem, lecz w rzeczywistości nigdy nie poznał Tuolda. Nie miał więc wobec niego żadnych zobowiązań. Mógłby jej pomóc.

Już! Rozsupłała ostatni węzeł i uwolniła się z więzów. Teraz pozostawało tylko czekać, aż Gundreda zapadnie w drzemkę. A potem w drogę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wczesnym rankiem, ubrana w wełnianą tunikę i pelerynę skradzioną jednemu ze śpiących zbrojnych, Aldyth dotarła do jaskini, w której niegdyś bawiła się z Ranulfem i Godrikiem. Tuż obok wiał się szlak wiodący na południe przez wapienne wzgórza. Wejście do jaskini zasłaniały gęste krzewy. Tu postanowiła przecze-kać trochę i zmienić swój wygląd.

Za pomocą hubki i krzesiwa, zabranych po drodze z zamku, zapaliła świecę. Postawiła ją na kamieniu obok kawałka srebrzonego szkielka, które teraz służyło jej za zwierciadło. Przykucnęła. Przez chwilę spoglądała na ciemny siniak, szpecący policzek. Potem wyjęła ostry nóż i odrzuciła kaptur peleryny. Zawahała się, bowiem przez wiele lat była naprawdę dumna ze swych włosów. Zaraz jednak stanął jej przed oczami Tuold i z westchnieniem przeciągnęła nożem po warkoczu.

Jakiś czas potem wschodzące słońce oświetliło postać szczupłego chłopaka, ubranego w zgrzebną pelerynę, tunikę, rajstopy i grube buty, podążającego traktem do Winchester.

- Ty suko! Co z nią zrobiłeś? Gdzie ją ukrywasz?

Odpowiadaj albo klnę się na wszystkich świętych, że nie ujdiesz z życiem! - pieklił się Turoid.

Stał rozkraczony nad dziewczyną, którą przed chwilą rzucił na podłogę kuchni. Zupełnie nie zwracał uwagi na lament jej matki, kucharki.

Maud dyszała ciężko. Nawet gdyby chciała, nie mogła mu odpowiedzieć. Usta miała pełne krwi. Końcem języka wyczuwała dziurę po dwóch wybitych zębach. Chyba złamał jej szczękę.

Uniosła się na łokciu i zamglonym wzrokiem spjrzała na kochanka. Widziała jedynie rozmazaną plamę.

Wypłuła krew i wybite zęby.

- Powiedziałam jej prawdę! - wydyszała. - Przyznaję. Bardzo się z tego cieszę. Nie pomogłam jednak jej uciec. Przysięgam ci, Turoidzie, że nic o tym nie wiem!

Wrzasnęła ze strachu, kiedy pochylił się w jej stronę.

- Kłamiesz! Zmuszę cię, żebyś wyśpiewała prawdę! - huknął.

- Dość tego! Tknij ją raz jeszcze, a gorzko tego pożałujesz! - rozległ się jakiś głos. Turoid poczuł na karku zimny dotyk stali.

Tuż za nim stał sir Nyle, z mieczem w ręku, sprowadzony zapewne przez Helwise. Biedna kucharka była przekonana, że jej córka lada chwila zginie z rąk rozwścieczonego kochanka. Turoid powoli odjął rękę od szyi dziewczyny.

- O co ten cały zgiełk? - zapytał sir Nyle. - Aldyth zniknęła, a ty zajmujesz się służebną dziewczką?

- Bo to właśnie ona jest odpowiedzialna za ucieczkę

twojej cennej córki, panie - wycodził Turolld. - Nakłamała jej na mój temat!

Kasztelan obrzucił Maud ciężkim spojrzeniem i westchnął.

- Co powiedziałaś? - spytał napiętym tonem.

- Samą prawdę, łaskawy panie! - wyjąkała. - Że to łobuz i brutal, nic więcej... i że na pewno dla niej się nie zmieni!

- Ty ladacznico! - ryknął Turolld. Nie dbał już o to, co sobie pomyśli sir Nyle. - Sama włąziłaś mi do łóża!

- Cisz! - zadudnił kasztelan. - Wynoś się, Turolldzie, razem ze swoją matką. Niech twoja noga więcej nie postanie w tych progach!

Turolld łypnął na niego spod oka Sir Nyle spokojnie wytrzymał to spojrzenie.

- Pójdę - mruknął ziemianin. - A kiedy znajdę Aldyth, to sprawię, że gorzko pożałuje, iż się narodziła. Jesteśmy zaręczeni. To niemal równoznaczne z małżeńską przysięgą. Co moje, należy do mnie. Nie próbuj jej ukrywać.

Sir Nyle nie spuszczał go z oka, dopóki nie wyszli z kuchni. Potem zawezwał kilku zbrojnych. Wydał im polecenie, aby odprowadzili Turollda i Gundredę na trakt wiodący do Swanlea. Rad był, że lord Etienne i lady Nichola wyjechali odrobinę wcześniej do Kingsclere. Wprawdzie earl obiecał się przyłączyć do poszukiwań Aldyth, dobrze jednak, że nie widział tej gorszącej sceny.

Och, Aldyth. Jak mogłem cię popychać w ramiona tego brutala? Gdyby tylko w odpowiednim czasie choć

trochę przejrzał na oczy, nie musiałyby się teraz samotna tułać po świecie.

Wybacz mi, córeczko, światłości mego serca. Zamiast cię bronić, wyrządziłem ci najczarniejszą krzywdę! Najśłodszy Jezu, weź ją pod opiekę, gdziekolwiek się znajduje!

Tejże nocy napisał długi list, w którym wyjaśniał Godricowi swą pomyłkę. Kilka dni musiał czekać na odpowiedź. Godric obiecał tylko, że będzie szukał siostry. Ani słowem nie wspomniał, czy uwierzył w oskarżenia wobec Turola.

Pięć dni później, w strumieniach zimnego deszczu, Aldyth stanęła pod zachodnią bramą zamku Winchester.

- Odejdź, żebraku! - zawołał strażnik stojący w drzwiach wartowni. Odezwał się po francusku, lecz zaraz dodał po angielsku, z silnym obcym akcentem:

- Nie jesteś ładny na tyle, żeby szukać służby u króla!

Pozostali wybuchnęli śmiechem. Siedzieli pod dachem i grali w kości. Aldyth podeszła bliżej bramy. To była jej pierwsza próba rozmowy z obcymi, podczas wędrówki w obawie przed pościgiem unikała bowiem uczęszczanych traktów i spotkań z ludźmi.

- Błagam cię, panie - odpowiedziała po francusku, nienaturalnie grubym głosem. - Nie szukam służby, lecz muszę się zobaczyć z moim kuzynem Warinem, który tutaj przybył wraz z lordem Ranulfem z Kingsclere.

Wartownik spojrział na nią kosym okiem. Wyciągnął rękę i przejechał palcem po jej policzku.

- Wpuszczę cię, jak się trochę ogarniesz. Cały jesteś spryskany błotem, młodzieńcze.

- Dajże mu spokój, Fulk! - zawołał ktoś. - Przecie mówi, że nie chce być paziem Rudego. Wpuść go i wracaj, bo cię zaraz ominie kolejka, a trzeba ci wiedzieć, że dopisuje mi szczęście!

- Dobra, dobra. Cóż, chłopcze, nie znam każdego z paziów po imieniu, ale wiem, gdzie znajdziesz komnaty lorda Kingsclere. Tam stanął, w zachodniej baszcie.

Krzyknął do kogoś na murach. Chwilę później ciężka krata podjechała w górę, wpuszczając Aldyth do zamku.

W parę minut znalazła komnatę. Zastukała w ciężkie dębowe drzwi. A co będzie, jeśli to Ranulf otworzy? Swoim przebraniem mogła zwieść strażnika, spieszącego na powrót do kompanów, ale co z tymi, którzy ją znali?

- To ty, milady? Lady Vivienne? - rozległo się z komnaty. Głos Warina. Lady Vivienne, pomyślała Aldyth. Nałożnica Ranulfa.

- Nie, Warinie. To nie Vivienne. Ale znasz mnie - odpowiedziała prawie basem.

Rozległ się szczeł odsuwanych skobli. Warin stanął w progu. Miał na sobie strój pazia, ze srebrnym jedno-rożcem. Ze zdumieniem spoglądał na przybysza, w którym nie rozpoznał siostry.

- Jesteś sam? - zapytała. Nie chciała zdradzić swo-

jej tożsamości dopóty, dopóki nie była pewna, że nic jej nie grozi.

- Tak, ale... Hej, nie wolno ci tu wchodzić! To komnata mojego pana! - zawołał, wyciągając rękę.

Aldyth zręcznym ruchem wsunęła się do środka i zamknęła za sobą drzwi.

Izba nie należała do najbardziej okazałych. Był w niej kominek, stół i para krzeseł. Drugie drzwi, jak się domyślała, prowadziły do sypialni Ranulfa. Bez namysłu podeszła do ognia, żeby rozgrzać zziębnięte ręce.

- To ja, Aldyth - powiedziała z prostotą i zsunęła kaptur.

Brat wybałuszył na nią oczy w bezgranicznym zdumieniu. Jeszcze go nie wiedziała tak zaskoczonego.

- Aldyth? Co ty tu robisz? Byłem pewien, że wyszłaś za Turolda! - Podszedł bliżej i z niedowierzaniem dotknął jej krótkich włosów. - Ależ jesteś cała przemoczona! Co najlepszego zrobiłaś z warkoczami?!

Uśmiechnęła się mimo woli na widok jego oburzenia.

- Obciąłam je, żeby podczas podróży do Winchester uchodzić za chłopca. To dla mojego bezpieczeństwa. Widzisz, Warinie... nie mogłam poślubić Turolda. W przeddzień wesela odkryłam, że wcale nie jest łagodnym i miłym człowiekiem, za jakiego go miałam przedtem. Okazał się brutalem i zwykłym lubieżnikiem.

- Uderzył cię? - spytał Warin i delikatnie dotknął jej policzka. Wzdrygnęła się z bólu i bez słowa skinęła głową. Siniak mówił sam za siebie.

- Nie mogłaś zwrócić się do ojca? - Warin

z wyraźnym zaniepokojeniem popatrzył na jej zgrzebny przyodziewek. - Musiałaś obciąć włosy i ubrać się jak pastuch?

- Nie - odparła Aldyth. - Ojciec mocno nastawał na to małżeństwo. Nie jestem pewna, czy zgodziłby się zerwać zaręczyny. Już kiedyś dał mi wybór: mąż lub klasztor. Turoidem był oczarowany. Na pewno by mi nie uwierzył. Z drugiej strony, obawiam się zemsty. Mój niedoszły małżonek nie cofnie się przed niczym!

- Nigdy nie spotkałem Turoida ze Swanlea, chociaż słyszałem o nim od Godrica.

- Godric go wychwala, bo nie jest Normanem! - ucięła. - Też by mi nie uwierzył, Warinie - dodała ciepłym tonem. - Sam widzisz, że mogłam przyjść tylko do ciebie.

- Do lorda Ranulfa! - zawołał z entuzjazmem. - Miałaś zupełną rację. Na pewno ci pomoże.

Westchnęła. Zupełnie zapomniała, że Ranulf w oczach jej młodszego brata wyrastał na bohatera. Niedosięgnięty wzór rycerza. W gruncie rzeczy, dlaczego miało być inaczej? Przecież Warin nie zasnął od niego żadnej krzywdy.

- Nie, Warinie. Lord Ranulf nawet nie powinien wiedzieć, że tu jestem, rozumiesz? Poznałam go trochę lepiej, gdy zjechał do Kingsclere. Nie byłabym bezpieczna. - Zadrżała nagle. - Gdzie jest teraz?

- W New Forest - uspokoił ją Warin. - Wyjechał z królem na polowanie. Nie wróci dzisiejszej nocy. Ale... jak mam ci pomóc, siostrzyczko? Nie chcę, żebyś wyszła za tego okrutnika, lecz z drugiej strony...

- Znajdź mi jakąś kryjówkę - wtrąciła. - Jakieś zajęcie w Winchester. Mogę być stajennym albo...

- Ależ siostrzo! - zaprotestował. - Przecież jesteś damą. Powinnaś się obracać pośród dziewcząt szlacheckiego urodzenia. Znam miejsce...

- Nie! - zawołała. - Nawet jeśli zaufam Ranulfowi i innym dworzanom, to wiem, że Turoid przede wszystkim tam mnie będzie szukał. Boję się go, braciszku, i to bardzo.

Warin zamyślił się głęboko. Aldyth kichnęła nagle i zadygotała.

- O kryjówce pomyślimy później - zdecydował, przejmując inicjatywę. - Teraz musisz się przebrać i ogrzać, w przeciwnym razie dostaniesz zapalenia płuc. Idź do sypialni milorda, ściągnij te mokre łachy i okryj się jakimś kocem.

Pomyślał o wszystkim. Przed upływem godziny Aldyth siedziała w balii pełnej gorącej wody. Co za ulga dla zmęczonych mięśni! Warin wyszedł ponownie, aby zdobyć suche ubrania.

Rozejrzała się po sypialni. Tu także był kominek. Nad podwójnym łóżem wisiał niebieski baldachim z suto marszczonymi draperiami. Ciemna wełniana tunika leżała na trójnogu.

Wszystko wskazywało na to, że Ranulf zażywał kąpieli w tej samej balii co ona. Sprawilo jej to dziwną przyjemność. Uśmiechnęła się do własnych myśli.

Wyszła dopiero wówczas, gdy woda zaczęła stygnąć. Owinęła się kocem i siadła przed kominkiem, żeby wysuszyć włosy.

Jakże dziwnie się czuła z tak krótką fryzurą! Nie pocieszył jej nawet fakt, że włosy wyschły w minutę. Nie chciała patrzeć w srebrne lustro, leżące na kufrze. Utrata wspaniałych warkoczy była dla niej symbolem losu, który ją czekał. Uciekając z Sherborne, pozbyła się wszystkiego - domu, niemal całej rodziny i nawet prawa do tego, by zwać się lady Aldyth. Ciężko jej było na sercu.

Usłyszała szmer głosów w przyległym pokoju. Ktoś zapukał lekko, a potem do sypialni wszedł Warin, a za nim nieznamiona dama, która trzymała w rękach kobiece stroje.

Aldyth szczerzej otuliła się kocem.

- Nic się nie bój - wesoło uspokoił ją Warin. - To tylko lady Vivienne. Zna naszą tajemnicę. Pomogła mi znaleźć suknie. Da ci też dobre schronienie, póki nie zdecydujesz, co dalej poczniesz.

- Lady Vivienne. - Aldyth zmusiła się i skinęła głową na powitanie.

Zatem tak wyglądała kochanica Ranulfa, matka jego dzieci z nieprawego łoża. Że też to właśnie ona musiała być świadkiem jej nieszczęść i poniżenia!

Lady Vivienne była średniego wzrostu i ciemnej karnacji, jak większość Normanek. Czarne włosy spletała w dwa grube warkocze, związane złotą wstążką. Jej talię - zbyt wąską jak na dwójkę dzieci - opasywało kilka złotych łańcuszków. Uwagę przyciągały jej pełne i kształtne piersi. Aldyth od razu poczuła do niej niechęć.

Vivienne uśmiechnęła się, ukazując perłowe ząbki.

- Witaj, Aldyth! Zaiste, dzielna z ciebie dziewczyna! - powiedziała, podchodząc bliżej. Popatrzyła na posiniaczony policzek Aldyth.

- Warin opowiedział mi o twojej ucieczce przed potworem niegodnym imienia mężczyzny. Aż nie mogłam uwierzyć, że samotnie wybrałaś się w tak daleką drogę. To musiało być straszne, kochanie.

Głos Vivienne, zmiękczonej francuską wymową, był równie przyjemny dla ucha jak jej widok - dla oczu.

- I było... - bąknęła Aldyth.

Wbrew sobie miała szczerą ochotę podziękować jej uśmiechem za przemiłe słowa. Zachowanie Vivienne podziało ją jak balsam na jej zbolowaną duszę. Nie mogła jednak zapomnieć, że rozmawia z kochanką Ranulfa.

- *Eh bien*, zostawimy cię teraz, żebyś mogła spokojnie się przebrać. Pożyczyłam te stroje od pазia. Potem przyjdź wraz z Warinem do mojej komnaty. Zjemy razem wieczerzę.

- Dobrze, lady Vivienne. I... dziękuję! - zawołała Aldyth za odchodzącą. Wieczerza! Na sam dźwięk tego słowa kiszki zaczęły jej grać marsza. Przez cztery dni nic nie jadła poza chlebem i serem, nie licząc skromnej stawy, którą poczęstowali ją mnisi w przydrożnym klasztorze. Miała nadzieję, że lady Vivienne nie uzna jej za obżartucha.

Dwoje dzieci Vivienne, dwuletnia dziewczynka o włosach czarnych jak u matki i roczny chłopaczek, spało smacznie koło kominka pod opieką starej piastunki noszącej imię Marie.

Aldyth, najedzona do syta i opita wyśmienitym winem, sennie kiwała się w fotelu. Jakby z ogromnej dali słyszała głos Normanki.

- Nie wiem, czy uda jej się zwieść bystrzejszego obserwatora - mówiła lady Vivienne do Warina, odsuwając od siebie półmisek z pozostałościami po tłustym kapłonie. - Cóż z tego, że owinie się czymś w talii? Spójrz na te drobne rysy i przeguby. Choć z drugiej strony, na królewskim dworze jest wielu chłopców, a zatem...

Aldyth splonęła rumieńcem, rozmawiali bowiem, jakby jej tu nie było.

- Och, moja *pauvre petite*. Musisz mi wybaczyć! - zawołała Vivienne. - Wprowadziłam cię w zakłopotanie.

- Nic się nie stało, milady - zapewniła ją Aldyth. - Dziękuję za smakowitą wieczerzę.

- Proszę bardzo, kochanie. Warin jest moim najlepszym przyjacielem, więc z chęcią dopomagam jego dzielnej siostrze. Wspomniał mi jednak, że nic nie możemy powiedzieć Ranulfowi. To prawda, Aldyth? Moim zdaniem, lord Ranulf byłby zachwycony, gdybyś pozostała ze mną, a przy jego udziale nasze dalsze plany...

Aldyth wzdrygnęła się na myśl, że miałyby codziennie oglądać Ranulfa podczas słodkich pogawędek z normańską kochanką.

- Nie! Wybacz mi pani, ale to niemożliwe! Ranulf nie może wiedzieć, że tu jestem! - krzyknęła, zrywając się na nogi. - Przepraszam za to nagłe najście. Jutro rano wyruszę w dalszą drogę.

- Uspokój się, moje słonko. - Lady Vivienne także

wstała i serdecznie otoczyła ją ramieniem. - Jesteś zmęczona, a ja tylko niepotrzebnie cię denerwuję. Przebac mi. Ranulf niczego się nie dowie, jeśli taka twoja wola. Z drugiej strony, zna cię, więc z łatwością może cię rozpoznać. Kiedy wróci z New Forest, niełatwo nam będzie utrzymać was z dala od siebie. Obiecuję, że zrobię co w mojej mocy. Nie wiem, co między wami zaszło, lecz jestem przekonana, że pomogłby ci, o nic nie pytając. To dzielny i dobry człowiek.

Aldyth odwróciła głowę. Z nerwów i wyczerpania chciało jej się płakać. Przecież nie mogła powiedzieć tej cudownej kobiecie, co się naprawdę wydarzyło podczas pobytu Ranulfa w Kingsclere. Miała otwarcie przyznać, że próbował ją uwieść?

- Nie odważyłabym się prosić go o tak wiele - szepnęła, zaciskając pięści.

- *Eh hien.* Warinie, odprowadź siostrę do komnaty milorda. Niech się położy i porządnie wyśpi. W gruncie rzeczy dobrze się składa, że Ranulf wyjechał na łowy, prawda? Droga Aldyth, z samego rana poczujesz się o wiele lepiej.

Wyszli. Vivienne odprowadziła ich wzrokiem. Chłopiec i dziewczyna - uparta, chociaż ledwie żywa ze zmęczenia i ślaniająca się na nogach.

Vivienne od razu domyśliła się, z kim ma do czynienia. To była ta sama Aldyth, o której opowiadał jej Ranulf po powrocie z Kingsclere. Dziewczyna, którą kochał nad życie niespełnioną miłością. Nie mógł jej pojąć za żonę, póki w służbie lennego pana pozostawał szpie-

giem na królewskim dworze. Nie miał czasu dla siebie, dopóki na tronie Wilhelma I Zdobywcy nie zasiadał najlepszy z jego wielu synów.

Uśmiechnęła się lekko, wpatrzona w kominek. Ona także wiedziała, co znaczy skrywana miłość. Jej wybrankiem był prawdziwy olbrzym, giermek Ranulfa, Urse de Caradeuc. Kochała jego groźne rysy i przepaskę na oku. Nie wiedziała, czy Urse odwzajemnia jej uczucie, chociaż z drugiej strony nigdy nie okazywał jej jawnej niechęci. Wręcz przeciwnie, często śmiał się i żartował w jej towarzystwie. Gdyby nawet darzył ją miłością, cóż by to zmieniło? Wszak oficjalnie uchodziła za kochankę Ranulfa.

Ranulfowi zaś zawdzięczała w życiu aż tak wiele, że nigdy nie poprosiłaby go o zwolnienie z zawartej między nimi tajnej umowy.

Wszystko zaczęło się przed rokiem, pewnej ciemnej nocy, gdy znalazł ją zakrwawioną pod schodami wiodącymi do komnat dworaków obecnego króla. Była wdową po normańskim rycerzu, który zmarł od zakażonej rany. Zamiast powrócić do Normandii, została z dwójką dzieci na dworze, król bowiem obiecał jej znaleźć bogatego męża. Z ufnością przyjęła wezwanie na wieczerzę, urządzaną przez władcę dla kilku przyjaciół. Sądziła, że tam pozna odpowiedniego kandydata. Zamiast tego dostała się w łapy dwóch podpitych baronów. Pobili ją, gdy stawiała opór, a co gorsza, zgwałcili wśród kpín i śmiechów pozostałych współbiesiadników.

Było to dla niej, kobiety szanowanej, matki i wdowy, straszliwe i upokarzające przeżycie.

Ranulf zabrał ją do siebie, opatrzył i za jej zgodą rozpuścił wieść, że zostali kochankami. W ten sposób ją obronił od dalszych napaści, bo należał do grona najbliższych doradców króla. Dostała nawet oddzielną komnatę w Winchester, w której mogła zamieszkać z piastunką i dziećmi.

Jej wybawca o nic nie prosił. Wiedziona wdzięcznością, była chętna mu oddać nawet samą siebie, lecz on odmówił. Co więcej, powierzył jej swoją najgłębszą tajemnicę i poprosił, by od tej pory stała się dlań drugą parą oczu. Jako niewiasta czasem słyszała o rzeczach niedostępnych dla męskich uszu. Jako kochanka - kręciła się wśród kurtyzan, rozprawiających często o wpływowym przyjaciułach Wilhelma II Rudego. Znosiła Ranulfowi wszelkie plotki na temat króla i jego dworaków - nawet te najmniej ważne.

Kiedy odrzucił jej zaloty, była rozczarowana. Potem jednak zjawił się Bretończyk Urse i to on na dobre zawładnął jej sercem. Wierzyła, że któregoś dnia Ranulf pomyślnie zakończy misję i nic już nie stanie na przeszkodzie jej szczęściu, a de Caradeuc nareszcie pozna jej uczucia.

Teraz zyskała szansę, żeby w inny sposób odpłacić Ranulfowi za wszystko, co dla niej zrobił. Nie chciała, aby służąc słusznej sprawie, zaprzedał własne szczęście. Starła się zniechęcić do siebie Aldyth, a tym samym trzymać ją z dala od niebezpieczeństwa, lecz Vivienne była przekonana, że tej dziewczyny tak łatwo nie można wystraszyć. Mademoiselle, która miała wystarczająco dużo odwagi, aby w chłopcym przebraniu uciec od

narzeczonego i przewędrować szmat drogi, bez trudu mogła sprostać dworskim intrygom.

Zwłaszcza że kochała Ranulfa. O tym Vivienne była przekonana.

Postanowiła lepiej poznać uciekinierkę. Zdobyć jej zaufanie i przekonać dyskretnie, że Ranulf, który chadza w wyszukanych strojach i zachowuje się pretensjonalnie, nie jest prawdziwym Ranulfem. I że w stajni - tak, o tym też wiedziała - po prostu udawał.

Reszta już zależała od Aldyth.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Aldyth obudziła się godzinę po wschodzie słońca, wypoczęta i pełna życia. Zdążyła zapomnieć o zmęczeniu i długiej, niebezpiecznej samotnej wędrówce, zakończonej dopiero wczoraj. Zapomniała także o strachu, który ją przygnał do Winchester. W blasku nowego dnia ujrzała wszystko w innym świetle. Pojawiła się nadzieja na pomyślne zakończenie smutnej przygody. Nie dbała nawet o to, że z kasztelanki miała stać się paziem.

Przecież nie będzie do końca życia ukrywać się w Winchester. Ziewnęła i przeciągnęła się na miękkim łożu Ranulfa. Przyjdzie czas, że Turolid przestanie jej szukać. Na pewno znajdzie sobie jakąś inną żonę. Sam zażąda unieważnienia poprzednich zaręczyn. I wówczas ona będzie wolna. Im szybciej to zrobi, tym lepiej. Chciałaby jeszcze zobaczyć ojca w dobrym zdrowiu. Teraz jednak musi znaleźć sposób, aby go powiadomić, że jest bezpieczna.

- Dzień dobry, siostrzyczko. - Warin przyniósł świeżo pieczony chleb, gomólkę sera i wino zmieszane z wodą. Postawił wszystko na stole, obok łóżka. - Nareszcie się obudziłaś, śpiochu! Usłyszałem, że się wierzysz, więc wszedłem. Nie myśl sobie jednak, że co dziennie dostaniesz śniadanie do łóżka!

Aldyth roześmiała się.

- Już dawno tyle nie spałam. Pościel lorda Ranulfa jest bardziej miękka od liści w lesie i pryczy, na której raz nocowałam u mnichów. Wyjdź na chwilę, to się ubiorę, a potem zjemy razem.

Warin wrócił po kilku minutach.

- Po śniadaniu pójdziemy do lady Vivienne - oznajmił. - Znalazła pracę dla Edwarda.

- Dla Edwarda? - zapytała Aldyth, odłamując kawałek chleba od bochenka.

- To twoje nowe imię. Sam je wybrałem... chyba że wolisz inne. Jako chłopiec nie możesz nazywać się Aldyth - powiedział z rozbrajającą logiką. Ukroił kawał sera i wepchnął go sobie do ust. - Edward ci się nie podoba?

- Nie mów z pełnymi ustami - napomniwała go machinalnie. Sama nie pomyślała o nowym imieniu. - Nikt mnie o to nie pytał, może być zatem Edward. Muszę się przyzwyczaić.

Popatrzyła na brata.

- O tej porze widziałeś się z lady Vivienne?

- Była na mszy, jak zwykle.

- Chodzisz na mszę? To bardzo dobrze - powiedziała z wyraźną aprobatą.

W głębi serca była zaskoczona, że kochanka Ranulfa bywa w kaplicy. Jak łączyła zasady wiary ze swoim codziennym życiem?

- Lord Ranulf mi kazał. Ale naprawdę to lubię.

Aldyth parsknęła śmiechem.

- Szuka łaski Bożej poprzez wstawiennictwo pazia?

Warin popatrzył na nią z naganą.

- To naprawdę nie jego wina, że rzadko bywa w kościele. Król zwykł przed świtem ruszać na polowanie w towarzystwie dworzan i przyjaciół.

Z rezygnacją machnęła dłonią.

- Rozumiem. Żadnych złośliwych uwag na temat lorda Ranulfa. Wypij wino do końca i chodźmy. Bardzo jestem ciekawa, co tam lady Vivienne wyszukała mi do roboty.

Na dziedzińcu kłębił się tłum. Z jednej strony sunęły długie oddziały zbrojnych, odzianych w dźwięczące kolczugi, z drugiej - szlachetni panowie w szubach obszytych futrem i strojne damy.

- Wciąż chodzisz jak dziewczyna, siostrzyczko! - szepnął Warin, kiedy wyszli na załaną słońcem uliczkę, wiodącą do wewnętrznego zamku, gdzie mieściły się komnaty lady Vivienne. - Przestań kołysać biodrami! Spróbuj tak. - Wykonał kilka sztywnych kroków.

Aldyth, w krótkiej tunice sięgającej powyżej uda, czuła się niemal naga. Mimo to spróbowała naśladować brata.

- To trudne! Nawet nie przypuszczałam, że chłopcy poruszają się inaczej niż dziewczęta.

Poczerwieniała, przypomniawszy sobie kocie ruchy Ranulfa. Chodził z gracją, lecz nie zapominał, że jest rycerzem i mężczyzną.

- Jak mi idzie?

Warin obrzucił ją krytycznym spojrzeniem.

- Trochę lepiej.

Lady Vivienne bawiła się z córeczką.

- Pójdiesz na służbę do kaplicy, Aldyth... hmm... to znaczy, Edwardzie. To bardzo blisko. Jest tam brat Osbert, który opiekuje się relikwiami. Czeka na ciebie. Prawdę mówiąc, z wdzięczności niemal całował mnie po rękach. Ma już swoje lata i wzrok mu nie dopisuje. Biedaczysko, zamartwia się, że przez to nie poświęca relikwiom dostatecznej uwagi. Lecz dla ciebie to nader pomyślna okoliczność. Na wpeł ślepy, nie zauważy, że jesteś niewiastą.

- Mam służyć w zamku? Spodziewałam się raczej, że odeślesz mnie, pani, do miasta. Tutaj o wiele częściej będę na oczach Ranulfa. - Aldyth złożyła ręce na podłoku.

Vivienne wybuchnęła perlistym śmiechem.

- Gdzie znajdziesz lepszą kryjówkę przed poganami króla, jeśli nie w kaplicy, wśród świętych ksiąg i relikwiarzy? Spać będziesz w przyległym skrytorium, tam, gdzie mnisi piszą ustawy i odezwy w imieniu władcy. Osbert wie, że odebrałaś odpowiednie nauki i że umiesz posługiwać się piórem. Idź już. Wspomniałam mu, że zjawisz się niebawem.

Brat Osbert, mrużąc powieki, przyjrzał się Edwardowi.

- Chyba się nada - powiedział do Warina. - A nie jesteś przypadkiem jakimś zbiegłym klerikiem, he? Co, Edwardzie? Nie pochodzisz od pańszczyźnianych chłopów? Nie uciekłeś z klasztoru, który cię przyjął i wychował? - Poklepał Aldyth po głowie, jakby szukał ton-

sury. - W rzeczy samej, gdyby tak było, to nie mógłbym cię przyjąć - dodał z nagłą troską.

- Nie, ojczu. Nic z tych rzeczy - odpowiedziała śmiało.

Jest tylko zbiegłą oblubienicą. Wyciągnął drżące dłonie i ujął ją za ręce.

- Dzięki świętemu Swithinowi, że masz drobne i delikatne palce. To bardzo dobrze. Bardzo dobrze. Ostatniego pazia, który tu pracował, Bóg obdarzył łapskami niedźwiedzia. Kiedy chciał odkurzyć wnętrze relikwiarza, wyłamał ząb z czaszki świętego Gildasza. No, ale dość tego. Chodź ze mną, czas do pracy. Swoje rzeczy przyniesiesz później. Trzeba dbać o relikwie, chociaż Jego Królewska Mość nie raczył ich oglądać.

Odwrócił się i poszedł do skryptorium.

Aldyth z trudem powstrzymywała się od śmiechu. Z rozbawieniem spojrzała na Warina i podreptała za starym mnichem.

Osbert prawie nie jadł i był przekonany, że wszyscy wokół także nie potrzebują stawy. Przetrzywał Aldyth przez porę przeznaczoną na popołudniowy posiłek. Kazał jej odkurzać i starannie ustawiać przeróżne skrzynki i bogato rzeźbione puzderka, w których leżały szczątki dawno zmarłych świętych.

Sam potrafił ich wszystkich wyliczyć z imienia. Część relikwiarzy zawierała fragmenty tkanin, część pukle włosów, a w małym, kunsztownie rzeźbionym flaconie przechowywano ponoć kroplę mleka z piersi Marii Dziewicy. W oddzielnym puzdrze, wykładanym miękkim aksamitem, leżała drzazga z Prawdziwego

Krzyża. W pozostałych skrzynkach były głównie pozostałości kości.

Aldyth wolała jednak nie zaglądać do środka. Podziwiała za to precyzyjną robotę wielu rzemieślników, snycerzy i jubilerów, zdobiących relikwiarze srebrem, złotem, perłami, ametystami i szafirami.

Kiedy już wszystko odkurzyła i porządnie poustawiała, zadowolony brat Osbert powiedział:

- Chodź teraz do skryptorium, Edwardzie. Lady Vivienne wspomniała, że potrafisz czytać i pisać. Jeśli zobaczę, że to prawda, to tam także się przydasz.

Weszli do sąsiedniej izby, w której kilku mnichów pochylało się nad pulpitemi, skrobiąc coś gęsiami piórami na żółtym pergaminie. Jakiś chłopak w zgrzebnej brązowej tunice właśnie szorował podłogę. Z zaciekawieniem spojrzął na przybyłych.

Umiejętności Aldyth wzbudziły podziw mnichów. W nagrodę dostała do przepisania akt nadania majątku ziemskiego. To jej zabrało resztę popołudnia. Pracowała jednak z zapałem, znajdując przyjemność w czytaniu skomplikowanych łacińskich zdań, zapisanych prawniczym językiem. Oryginalny dokument miał być wysłany do jakiegoś barona w Dorset.

Za oknami pomału robiło się ciemno. Aldyth zaburczało w brzuchu - tak głośno, że słyhać to było zapewne aż na końcu sali.

Główny mnich uśmiechnął się.

- Dobrze ci dzisiaj poszło, Edwardzie. Możesz już iść na kolację.

- Dziękuję, bracie.

Spodziewała się, że nie zastanie jeszcze Ranulfa i będzie mogła spożyć wieczerzę z Warinem.

Wielka sala była pełna po brzegi. Czeladź i dworzanie zasiadali przy zastawionych stołach. Panował ścisk, lecz Aldyth spostrzegła Warina, siedzącego za lady Vivienne.

Dama wystudiowanym ruchem wezwała nowego paza do siebie.

- Jak minął ci pierwszy dzień? - zapytała.

Aldyth uśmiechnęła się.

- Całkiem spokojnie, choć nie przywykłam do słuchania rozkazów. Jestem ci wdzięczna za pomoc, lady Vivienne.

- Nie ma za co. Spróbuj pieczeni, Al... Edwardzie.

Chwilę trwało, zanim Aldyth zaspokoila głód.

- Myśliwi już powrócili? - spytała ostrożnie Warina W obecności Vivienne nie chciała używać imienia Ranulfa.

- Nie, ale przyjechał goniec z wieścią, że zjadą dzisiejszej nocy - odparł, zajęty obgryzaniem nogi tłustego kapłona.

Zdaży więc zjeść i wymknąć się do skryptorium. W tej samej chwili spostrzegła, że wyjątkowo wielki kęs mięsa powędrował do ust Warina.

- Bracie, pamiętaj o dobrym wychowaniu - powiedziała mimo woli.

- Edwardzie, zachowujesz się jak wredna starsza siostra - odparł Warin i uśmiechnął się na widok jej zakłopotania. - Nie bój się, nikt cię nie słyszał. Zamiast mnie strofować, lepiej mnie naśladow. Chłopcy nie jedzą tak wytwornie.

Fanfary ogłosiły przybycie króla. Wszedł Rudy. Nie wyglądał na władcę. Gruby, z obwisłym brzuchem i długimi włosami. Za nim tłoczyła się reszta towarzystwa, jeszcze w myśliwskich strojach.

Aldyth bezwiednie poszukała wzrokiem Ranulfa. Dostrzegła go niemal od razu. W krótkiej tunice i w pelerynie, z rozwianą czupryną, wyglądał jak dziki lis, który wychynał z gąszczy. Śmiał się z jakiegoś dowcipu rzuconego przez króla. Odrzucił głowę do tyłu i błysnął białymi zębami.

Potem zerknął na lady Vivienne i pomachał do niej. Nie poszedł w ślad za królem do najwyższego stołu, tylko zdecydowanym krokiem ruszył w stronę kochanki.

- Muszę uciekać! - szepnęła przerażona Aldyth.

- Zostań! - odpowiedział Warin. - Szybciej cię zobaczy, jak wstaniesz od stołu!

- Pochyl się - dodała Vivienne. - Nawet nie spojrzysz na siebie.

Uśmiechnęła się do Ranulfa.

Aldyth schyliła głowę nad misą. Czuła się niczym zając, sparaliżowany strachem na widok myśliwskiego psa.

- Witaj, milordzie - usłyszała głos Vivienne. - Jak tam dzisiejsze polowanie?

- Witaj, najśodsza - padła odpowiedź, tuż nad skuloną Aldyth. Ranulf stanął przy stole. - Król przywiózł bogate trofea.

Sięgnął nad ramieniem kochanki, żeby wziąć z patery czerwone i soczyste jabłko.

- Mam przecucie, że za tym kryje się coś więcej - zachęcająco powiedziała lady Vivienne.

Aldyth zerknęła na nich kątem oka. Normanka opierała się o tors Ranulfa, a on czule położył dłoń na jej ramieniu.

Ów widok niczym strzała przeszył serce Aldyth. Zaciśnęła pięści pod stołem. Nie wiedziała, jak długo jeszcze to wytrzyma.

- Posiadłaś dar jasnowidzenia? - przemówił Ranulf do Vivienne. - Król popisał się celnym strzałem, lecz ja miałem więcej szczęścia. Zabiłem dzika, który zniechcący wypadł z krzaków, pędząc wprost na Rudego.

- Jego Wysokość na pewno był z ciebie zadowolony.

- A i owszem. Co u ciebie słyhać, kochanie? Może dzisiejszej nocy mi pokażesz, jak bardzo jesteś ze mnie dumna?

To łotr! To łajdak! Nawet nie zniżył głosu, składając kochance grzeszną propozycję! I to w obecności dziecka! Aldyth rzuciła okiem na Warina, ale ten w ogóle nie przejmował się frywolnym zachowaniem swego pana. Wręcz przeciwnie, próbował przyciągnąć uwagę Ranulfa.

- Z całą rozkoszą... - zaczęła Vivienne.

- Kimże jest ten młodzieniec siedzący obok Warina i zezujący złym okiem na mnie? - przerwał jej nagle Ranulf. Z uwagą popatrzył na Aldyth.

- Kto? Ach, to Edward, milordzie.

- To mój kuzyn, lordzie Ranulfie, z Pevensey! - pośpiesznie zawołał Warin. - Przybył... przybył na służbę.

- Wyraźnie mnie nie lubi - mruknął Ranulf. - Ciekawym, dlaczego?

Szybkim ruchem położył rękę na ramieniu Aldyth.

- Dlaczego masz tak gniewną minę, młody Edwardzie z Pevensey? Nie podoba ci się barwa mojej peleryny?

Aldyth zebrała się w sobie, żeby nie zadrzeć pod jego dotykiem. Potem skromnie opuściła wzrok, jak przystało na pазia.

- Nie, milordzie - powiedziała grubym głosem. - Źle mnie oceniasz. Nie krzywię się na ciebie. Po prostu... słabo widzę.

Dobrze zdawała sobie sprawę, że jej tłumaczenie na miłą czuść fałszem. Spodziewała się jednak, że Ranulf porzuci dalszą indagację i zwróci całą uwagę na kochankę.

Przez chwilę wydawało się, że tak będzie naprawdę. Rycerz już odwracał głowę, by spojrzeć na Vivienne, lecz nagle zamarł w pół ruchu.

- Aldyth! Na wszystkich świętych, co ty tutaj robisz?! I co, na Boga, zrobiłaś ze swoimi włosami?!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Aldyth bez słowa patrzyła w jego oczy czarne niczym bezksiężycowa noc i gorejące gniewem. Serce waliło jej jak młotem. Głos uwiązał jej w gardle.

- Milordzie! Bała się Tur... - zaczął Warin, lecz Ranulf go uciszył krótkim ruchem ręki.

- Pytałem twoją siostrę. Słucham cię, Aldyth.

Kiedy wciąż milczała, zwrócił się do Vivienne.

- W tej chwili muszę sięść przy królu, lecz zamierzam wysłuchać jej racji, zanim odeślę ją do ojca. Widzę, że skończyłaś jeść, milady. Wyświadczy mi tę łaskę i zabierz obecną tu Aldyth do mojej komnaty. Przypilnuj jej do mojego powrotu.

„Zanim odeślę ją do ojca”. Zabrzmiało to jak wyrok śmierci. Nie mogła tam przecież wrócić! Nie mogła wpaść z powrotem w okrutne łapy Turolda!

Lady Vivienne coś mówiła półgłosem, po francusku. Aldyth skorzystała z okazji, zerwała się z miejsca i pomknęła między stołami w stronę wyjścia. Zamierzała opuścić zamek, ukryć się gdzieś w mieście, przeczekać do rana, a potem uciec... uciec.

Ranulf złapał ją tuż przy drzwiach.

- Dokąd tak pędzisz? Przecież bramy zamku są zamknięte do rana!

W jego głosie nie było śladu gniewu - już prędzej rozbawienie. Aldyth bezskutecznie usiłowała oswobodzić rękę z jego stalowego uścisku.

- Puść mnie, milordzie. Nie masz prawa mnie więzić!

Uniosła zaciśniętą pięść.

- Cicho, Aldyth. Ludzie patrzą. Chcesz, żeby rozpoznali twoje przebranie? - rzucił ostrzegawczo.

Rozejrzała się. Nie kłamał. Od najbliższego stołu spoglądało na nich kilku starszych giermków. Nawet paru rycerzy zauważyło zajście i uśmiechało się znacząco. Aldyth przestała się szarpać.

- Musisz mnie puścić, lordzie Ranulfie – powiedziała ściszym głosem. - Nie... nie mogę wrócić do Sherborne. Zostaw mnie. Nie sprawię żadnego kłopotu. Odejdę i już nigdy w życiu mnie nie zobaczysz.

Nie cofnął ręki. Stał i wyraźnie bawił się w najlepsze.

- Ciekawe. Słyszałem, że miałaś wyjść za mąż. Nagle zjawiasz się tutaj z obciętymi włosami i oznajmiasz gromko, że za nic nie wrócisz do domu.

- Milordzie, błagam. - Sama nie wiedziała, czego się boi bardziej: powrotu do Sherborne czy diabelskich ogników tańczących w jego oczach.

W tej samej chwili stanęli przy nich lady Vivienne i Warin. Zbliżał się także królewski doradca, z zaintrygowanym wyrazem twarzy.

- Milady, spełnij moją prośbę i odprowadź Edwarda na pokoje. Wkrótce do was dołączę. Gdyby zaś sprawiał wam kłopoty, to pamiętajcie, że Urse jest w stajni. Przybędzie na każde wezwanie.

Ranulf z uśmiechem spojrział na dworzanina.

- Nic się nie stało. Nowy paż zapomniał o zasadach dyscypliny.

- Pójdź, Edwardzie - poleciła ostro lady Vivienne, czując na sobie uważny wzrok dworzanina. - Na drugi raz chętniej słuchaj pana, to unikniesz kary. Dzisiaj jednak na pewno dostaniesz za swoje.

Ogień płonący w kominku ogrzewał wnętrze komnaty. Całą trójką czekali na powrót Ranulfa. Warin tarł oczy.

- Widzę, że jesteś zmęczony - powiedziała Normanka. - Idź spać. Obudzę cię, gdyby lord Ranulf czegoś potrzebował. Nie bój się, twoja siostra na pewno nie dozna krzywdy.

Warin z ociąganiem położył się na posłaniu przy drzwiach. Po chwili już chrapał.

Lady Vivienne wstała i napełniła winem dwa kubki. Jeden podała Aldyth. Z drugim w rękę usiadła obok niej na krześle.

- Moja droga, powinnaś chyba coś wiedzieć o Ranulfie. Pamiętaj jednak, że to tajemnica.

- Możesz mi ufać, milady - odparła Aldyth, zachodząc w głowę, co też może usłyszeć od pięknej nałożnicy.

- Myślę, że mogę - rzekła Vivienne. - Widzisz... jedynie z nazwy jestem kochanką Ranulfa. Nie dzielę z nim łoża.

Aldyth rozchyliła ze zdumienia usta. Nie tego się spodziewała.

- Dlaczego? - wykrztusiła. - Czy on... czy... - Nie mogła wypowiedzieć tego strasznego słowa.

- Czy woli chłopców? - podpowiedziała jej Vivienne.
- Ależ skądże! To prawdziwy mężczyzna. Rzecz w tym, że jestem wdową, zdaną na humory królewskich łapserdaków. Bezbroną wobec ich poczynań. Lord Ranulf... Cóż, powiedzmy, że chciał mnie ochronić. Po prostu z dobroci serca. Nie żądał nic w zamian.

Aldyth miała zupełny mętlik w głowie.

- Po co mi o tym mówisz, milady?

Vivienne uśmiechnęła się.

- Bo wydaje mi się, że uważasz Ranulfa za wcielenie zła i hipokryzji. W duchu zarzucasz mu, że zszedł na najgorszą drogę i że zapomniał o swoich dawnych ideałach. Zapewniam cię, że tak nie jest. To tylko pozory.

- Co takiego? - zająknęła się Aldyth.

Lady Vivienne ujęła ją za rękę.

- On mnie nie kocha, moja miła. Ja zresztą także kocham kogoś innego. Wierzę jednak, że Ranulf - tu ścisnęła jej palce - kiedyś odnajdzie szczęście.

Aldyth przyłożyła dłoń do czoła, żeby zebrać myśli. Chciała zadać kolejne pytanie, lecz w tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł.

Nie, nie Ranulf, chociaż tego oczekiwała. Był to Urse.

Lady Vivienne wstała, żeby go powitać. Widząc jej promienny uśmiech, Aldyth zrozumiała, że to właśnie on był panem serca damy. Giermek Ranulfa. Wiedział

o tym? A jakże mógłby nie wiedzieć, skoro patrzyła na niego z tak ogromną miłością?

- Witaj, milady - powiedział wesołym tonem. - A cóż to za przemiłe szczenię? - zapytał, wskazując na Aldyth.

Vivienne pokrótce zapoznała go z przebiegiem wydarzeń. Aldyth słuchała tego z zakłopotaniem.

- A jeśli chcesz wiedzieć, dlaczego przebrała się za chłopaka, to musisz poczekać na swojego pana. Nie będzie dwa razy powtarzać tej samej historii.

- Zatem poczekam. Nie opuściłbym tego fragmentu za żadne skarby świata! - Urse z bukłakiem wina usadowił się wygodnie na stołku. - Muszę przyznać, lady Aldyth, że ładny z ciebie chłopak.

Potem wdał się w pogawędkę z lady Vivienne. Rozmawiali tak do późnej nocy, aż prawie świeca zgasła.

Minęły ponad dwie godziny, zanim na korytarzu rozległ się cichy brzęk ostróg. Aldyth natychmiast ocknęła się z drzemki.

- No dobrze, Aldyth. Uciekłem spod opieki króla tak szybko, jak tylko zdołałem. Zapędził nas do gry. Wszystkich, bez wyjątku. - Pochylił się nad nią niczym zjawa z piekieł, piękny jak Lucyfer i tak samo groźny. - Warin mówił, że czegoś się boisz. Czego? Może małżeństwa, rozpieszczona panno? Władzy męża? Na wszystkich świętych, byłem przekonany, że tego ci trzeba!

- Nie zlekąłem się małżeństwa! - odpałiła, rozszłoszczona jego mentorskim tonem. - Uciekłam z Sher-

borne, bo mój oblubieniec okazał się potworem... jeszcze gorszym od ciebie!

Skwitował to głośnym śmiechem.

- Gorszym ode mnie? Aż trudno uwierzyć, że znalazł się ktoś taki, kto by miał więcej grzechów na sumieniu, moja mała Aldyth. Jak to możliwe?

- Turoid wziął sobie kochankę.

- Kochankę? Cóż z tego? Ja też mam kochankę. - Wskazał na lady Vivienne. - Tak samo jak większość mężczyzn, którzy mają w żyłach krew, a nie wodę.

Aldyth uznała, że teraz nie pora zdradzać się z tym, co przed paroma godzinami usłyszała od Vivienne.

- Chętnie się, że po ślubie nie zmieni przyzwyczajęń! Bił mnie, kiedy protestowałam. Chciał mnie zgwałcić w kaplicy, w przeddzień ślubu! Uciekłam.

Wyraz rozbawienia zniknął z twarzy Ranulfa. Przesunął palcem po śladach sińców na jej policzku. Wydawało się, że dopiero teraz je zauważył.

- Nie mogłaś zwrócić się do ojca? Albo do Godrica?

- Nie, milordzie - odparła. - Czułam, że nie mogę.

- Nie przyszłaś też do mnie.

Świeca zamigotała, rzucając ruchome cienie na jego wyrazistą twarz. Urse i lady Vivienne byli pogrążeni w rozmowie.

- Jakżebyś śmiała, Ranulfie, po tym, co zaszło między nami? - cicho spytała Aldyth.

Zamyślił się. Zatknął kciuki za pas i milczał przez długą chwilę.

- Rzeczywiście - westchnął. - Umykając przed jednym potworem, wpadłabyś w szpony drugiego.

Znam tylko jedną odpowiedź: musisz się schronić w klasztorze.

- Nie! Nigdy! - krzyknęła. - Nie zmusisz mnie do tego! Znowu ucieknę!

- Spokojnie, mały narwańcu. - Pogładził ją po ramionach, jakby miał do czynienia z wystraszonego sokołem. - To tylko na pewien czas. Spotkam się z twoim ojcem i pomówię z biskupem o unieważnieniu kontraktu.

- Nie pójdę do klasztoru! Mam znosić rozkazy od jakiejś przeorowskiej i starych zakonnic? Skąd wiesz, że biskup zwolni mnie z przyrzeczenia? A jeśli Turolid się zabierze mnie z klasztoru? Zakonnice go nie powstrzymają!

Przypatrywał się jej przez moment.

- Dobrze zatem, nie zamknę cię w klasztorze. Może pojedziesz do mojej matki, do Kingsclere? Na pewno...

Aldyth pokręciła głową.

- Turolidowi nie wolno ufać, milordzie. To człowiek zdolny do wszystkiego. Aż strach myśleć, co mógłby uczynić, wiedząc, gdzie jestem. A dlaczegoż nie mogę zostać z tobą i dalej grać roli pazia?

Nie spuszczał z niej wzroku.

- Mojego pazia? Wykluczone! Zresztą mam już jednego. Pamiętasz? To twój brat. W dodatku mnie nienawidzisz od dnia spotkania w stajni. Teraz chciałabyś mieszkać ze mną pod jednym dachem?

Aldyth nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Coś się przecież zmieniło, przynajmniej od chwili, w której lady Vivienne zdradziła jej w tajemnicy, że Ranulf wca-

le nie był takim demonem, jakim się wydawał. Nie chciała siedzieć w zatęchłej kaplicy i sypiać w skryptorium. Chciała być bliżej niego.

- Błagam, milordzie! Pozwól mi zostać! Błagam cię w imię rycerskich zasad! - krzyknęła i rzuciła mu się do stóp.

- Zapomniałaś, Aldyth, że nie dbam o zasady? - zapytał, patrząc na nią z góry. - Czy to nie ty nazwałaś mnie normańską świnią? Zapewne byłaś bliżej prawdy, niżli ci się wydaje.

Na jego twarzy zagościł ironiczny uśmiech. Aldyth wybuchnęła płaczem, przekonana, że wszystko stracone.

- Błagam, milordzie. Tak się boję! Pozwól, że zostanę! Nie będę ci sprawiać kłopotu! Zrobię wszystko, o co poprosisz!

- Wszystko? - spytał kpiąco i ujął ją pod brodę.

- Na litość boską, milordzie! - nie wytrzymała lady Vivienne. - Powiedz tak lub nie, ale przestań ją dręczyć!

Aldyth nie zwróciła najmniejszej uwagi na jej słowa.

- Wszystko. - Tym razem nie skłamała.

- Lordzie Ranulfie...-powiedziała Vivienne.

Ranulf westchnął głęboko.

- Chyba zwariowałem, że się na to zgadzam. Możesz zostać. Ale... - dodał podniesionym głosem, bo zapłakana Aldyth ujęła go pod kolana - potraktuję to tylko jako czasowe rozwiązanie. Wkrótce pojedę do domu i słowem lub mieczem zmuszę tego Turoldea, aby rzekł się ciebie. Jeśli przyjmie mą propozycję, to mam

dosyć złota, żeby wybić mu z głowy wszelką myśl o zemście.

- Dziękuję, Ranulfie. Na pewno nie pożałujesz. Przysięgam ci, że będę znakomitym paziem, choćby takim jak Warin.

- Mam nadzieję, że lepszym - roześmiał się krótko. Zrzucił maskę sędziego i stał się jowialnym, wesołym baronem.

- Młodziak zjada więcej niż Urse i nie dba o moje szaty. Spójrz tylko na rąbek tej peleryny!

Pochylił się, żeby jej pokazać maleńkie rozdarcie, niewidoczne z daleka.

- Z samego rana ją zaceruję, milordzie! - obiecała.
- Będzie jak nowa!

- Hmm. Muszę przyznać, że nawet mi się to podoba - rzekł z namysłem. - Warin zajmie się końmi, a ty moją garderobą. Męskie stroje pełnią istotną rolę na dworze.

- Tak, milordzie.

Przesunął dłońią po jej krótkich włosach i cmoknął z dezaprobatą.

- Od dzisiaj zacznij je zapuszczać. Są krótsze niż moje.

- Tak, milordzie.

Och, gdybyż tak istniało magiczne zaklęcie lub mikstura na porost włosów! Aldyth wstydziła się. W oczach Ranulfa wyglądała teraz zapewne jak zabiedzony wróbel.

Cofnął rękę.

- Późno już. Urse wskaże ci, gdzie znajdziesz pościel. Przygotuj sobie pościelanie obok Warina. - Odwró-

cił się do lady Vivienne. - Teraz, milady, chodźmy do twoich komnat. Przed snem chcę otrzymać obiecaną nagrodę - powiedział miękkiem i uwodzicielskim tonem. Kłamca, pomyślała Aldyth. Lady Vivienne na odchodnym mrugnęła do niej za plecami Ranulfa. Nie, mi-lordzie. Dzisiejszej nocy bez wątpienia nie spędzisz w łożu swej „kochanki”.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ranulf był święcie przekonany, że popełnił niewybaczalną pomyłkę. Pluł sobie w brodę, że uległ podszeptom serca i zezwolił Aldyth na dłuższy pobyt w Winchester.

Przed jej nieoczekiwanym pojawieniem się w zamku sądził, że udało mu się zapomnieć o Aldyth. Wystarczyło jednak, iż raz spojrzął w zielone oczy i już wiedział, że to nieprawda, że jego uczucie jest wciąż żywe. Kochał ją. Kochał w przeszłości, kiedy oboje byli jeszcze dziećmi, kochał teraz, gdy ona wyrosła na piękną młodą kobietę, i będzie kochał zawsze. Nie mógł jej jednak tego powiedzieć. Ani nawet dać do zrozumienia. A przecież nie mógł się z tym zdradzić. W Kingsclere starał się ją do siebie zniechęcić, ukazać się w jak najgorszym świetle. Nadal musiał ją oszukiwać, choć zrzędzeniem losu przyszło im jeść ten sam chleb i mieszkać pod tym samym dachem.

Po tygodniu pobytu obecność Aldyth stała się dla niego zarazem źródłem największej radości i największej zgrzyoty. Patrzył, jak się krzątała po jego kwaterze - sprzątała, przynosiła strawę, szyła i cerowała - niczym prawdziwa żona. Żał mu ścisłał serce. Ot, choćby wczoraj spotkał ją przypadkiem, jak kładła świeżo po-

ściel na łożu. Jakże chciał od razu chwycić ją w ramiona, paść na prześcieradła i posiąść! Zamiast tego odwrócił się na pięcie i wyszedł z komnaty. Któryż mężczyzna był zdolny znosić takie katusze?

Wieczorami było mu łatwiej, bo przychodzili inni. Czasami lady Vivienne, codziennie - Urse i Warin. Chłopak wciąż się uśmiechał, jakby uznał Ranulfa za prawowitego członka rodziny. Ranulf aż się przeżegnał. O, święta naiwności! Młokos zapewne myślał, że tutaj, w Winchester, piękna Aldyth na zawsze jest wolna od kłopotów. Boże wszechmogący, cóż to za raj głupców!

Ranulf uniósł głowę i w świetle poranka spojrzął na Aldyth poprawiającą haft na myśliwskim stroju. Jej robota budziła podziw wśród dworzan Rudego, choć oficjalnie była dziełem rąk Vivienne.

Pękła nić. Aldyth zakłęła cicho. Ranulf uśmiechnął się pod wąsem. Dziewczyna, nieświadoma, że ktoś na nią patrzy, odgarnęła z czoła kasztanowy pukiel i zmrużyła oczy, żeby nawlec kościaną igłę.

Niepotrzebnie kazał jej zapuścić dłuższe loki. Pod ręką lady Vivienne jej fryzura odzyskała połysk i nie przypominała już wroniego gniazda. Aldyth wyglądała teraz wręcz prześlicznie - oczywiście jak na chłopaka. Gdyby miała dłużej pozostać w przebraniu, niezbędne byłyby nowe postrzyżyny. Jako paż mogła praktycznie bez przeszkód poruszać się po pałacu. Z dłuższymi włosami nie uniknęłaby zdemaskowania. Wielu dworaków króla czyhałoby na jej niewinność.

Głośny brzęk pucharu wyrwał go z zamyślenia.

- Milordzie! Bądź łaskaw słuchać, kiedy coś do ciebie mówię! - z wyrzutem zawołała lady Vivienne.

Dopiero teraz zauważył, że od kilku chwil usiłowała wciągnąć go w rozmowę.

- Pokornie błagam o wybaczenie, lady Vivienne. Trochę się zamyśliłem. O co pytałaś?

Przechwyciła jego spojrzenie i ze znaczącym uśmiechem popatrzyła na Aldyth.

- No tak... - mruknęła pod nosem.

Wścibska baba! Przejrzała jego myśli i jeszcze się uśmiechała! A cóż w tym zabawnego?

- Cały zamieniam się w słuch - burknął. - Przestań stroić miny jak królewski błazen i powiedz, o co ci chodzi - dodał niezbyt uprzejmym tonem.

Nie obruszyła się na te ostre słowa.

- Mówiłam, lordzie Niedźwiedziu Obudzony z Drzemki, że dziś rano miałam rzadką okazję widzieć się z królem. Chciał, żebyś przyszedł do niego tak szybko, jak to możliwe.

- Wyśmienicie! - Ranulf rad był, że znajdzie jakieś zajęcie, które chociaż na chwilę pozwoli mu zapomnieć o Aldyth.

- Zobaczymy się później - powiedział, poderwał się i wyszedł, trzaskając drzwiami.

- Jak tam twój nowy paż? - łaskawie spytał król. - Dobrze się sprawuje?

Z zadumą patrzył na leżącą przed nim na stole wielką mapę Normandii. Brzegi pergaminu były przyciśnięte

kałamarzem, kubkiem piwa, tłustym udem kapłona i kawałkiem twardego sera.

- Tak, panie - odparł Ranulf.

Poczuł się trochę nieswojo, że Rudy tak szybko zauważył obecność Edwarda na dworze. Paziowie króla - jak choćby obecny tutaj Perrin z Petersfield - byli delikatnej, niemal dziewczęcej postury. Nie chciałby, żeby Aldyth dołączyła nagle do tego grona wybrańców.

- To świetnie. Można rzec: wyśmienicie. Pewnie zabierzesz go ze sobą w podróż na kontynent? - zapytał Rudy i roześmiał się na widok zaskoczenia wasała.

- Na kontynent? - powtórzył Ranulf.

- Owszem. Zdecydowaliśmy, że w naszym imieniu udasz się do Normandii i zobaczysz, co knuje mój starszy brat, księżę Robert. Dochodzą nas różne plotki. Jak wiesz zapewne, starsze rody nie były zadowolone, że król Wilhelm przekazał Anglię właśnie w moje ręce. Woleliby, żeby Robert zagarnął zgoła wszystko - tron Anglii i księstwo Normandii na dodatek. W ten sposób mogliby kontrolować wszelkie jego poczynania. Twoja wizyta pewnie potrwa długo, lecz chyba nie masz nic przeciwko temu, żeby spędzić święta w Rouen? A Robertowi powiedz, że się pokłóciliśmy. On uwielbia takie intryki. Rozpływaj się w pochwałach nad blaskiem Rouen i patrz pilnie na boki. Chcę wiedzieć, kto z kim śpi i tak dalej - zakończył ze złośliwym uśmiechem.

Ranulf skinął głową. Co za ironia losu... szpieg miał grać rolę szpiega.

- Kiedy mam ruszać, Wasza Wysokość? - zapytał.

W głowie kłębiło mu się od natłoku myśli. Rozkaz

Rudego był jak dar niebios. Aldyth, oczywiście, nie mogła pojechać. Powinna zostać tutaj, w jakimś bezpiecznym miejscu. Może powróci do skryptorium? Przed wyjazdem trzeba było jeszcze uruchomić wszelkie znajomości, zwłaszcza w hierarchii kościelnej, i rozpocząć przygotowania do anulowania zaręczyn. Może łatwiej i szybciej zapomni, kiedy ich rozdzieli woda Kanału? Może znajdzie dość siły, by z nią ostatecznie zerwać? Nie chciał, żeby czekała Bóg wie jak długo, aż on zakończy swą misję.

- Jedziesz do Normandii? Beze mnie? - zapytała godzinę później, przy posiłku, który zjedli razem w komnacie Ranulfa. Wargi jej drżały. Odwróciła głowę, ale i tak zobaczył błysk łez w szmaragdowych oczach.

- Rzecz jasna, że bez ciebie. To zbyt niebezpieczne. Na dworze księcia Roberta aż roi się od łajdaków, a wzdłuż traktu wiodącego z wybrzeża czyhają bandyci.

- Lecz to ci nie przeszkadza zabrać mojego brata? - zapytała z przekąsem. Wydęła usta i dramatycznym ruchem wskazała na Warina. - Narażasz go.

- Aldyth! - zawołał przestraszony i zakłopotany Warin.

- To mój paż. I chłopiec - podkreślił Ranulf. Cios był celny, bo w oczach dziewczyny zamigotały złe błyski.

Wszystko, co mówił, było prawdą, ale największa groźba czaiła się zupełnie gdzie indziej. Już wyobrażał sobie pierwszą noc po wylądowaniu. Zamknięci sami w jakiejś gospodzie w Honfleur, w małej izbie

z pojedynczym łóżkiem. Poczł narastające požądanie. Nie. Musiał grać dalej; musiał rozżłścić ją do tego stopnia, żeby z utęsknieniem wyczekiwała na jego wyjazd.

- Ja też jestem chłopcem. Przynajmniej oficjalnie - powiedziała wyniośle i opiekuńczym ruchem przygarnęła brata do siebie.

- Aldyth! - Warin aż się skręcił. - Puść mnie! Nie jestem dzieckiem! Już dawno wyrośłem z pieluch!

- Wybacz mi, Warinie. Wiem o tym. Ale ja też chcę jechać. Dlaczego każecie mi wracać do zakurzonych kości i ksiąg pełnych łaciny?

- Przedstawiłem ci inną propozycję - przypomniał jej Ranulf. - Zaopiekuj się dziećmi Vivienne. Stara Marie z wdzięcznością przyjmie każdą pomoc.

- A one pokochały cię od pierwszego wejrzenia - dodała lady Vivienne. - Będę o wiele spokojniejsza, wiedząc, że zostawiam je pod twoją pieczę.

Ranulf zabierał ją ze sobą. Jeżeli chciał zachować opinię fircyka, to nie mógł przecież pozostawić kochanki w Anglii.

- Nie martw się, siostrzyczko. - Warin uspokajającym gestem położył rękę na jej ramieniu.

Aldyth najwyraźniej zamierzała w dalszym ciągu protestować, ale przerwało jej łomotanie do drzwi.

- Lordzie Ranulfie! Jesteś tam?

Ranulf popatrzył na Aldyth. Dziewczyna zbladła jak kreda, zerknęła na drzwi, a potem na niego i wyszeptwała bezgłśnie: „Godric”.

Ranulf ruchem głowy wskazał jej sypialnię. Posłu-

chała go bez jednego słowa. Uciekła z komnaty i skryła się pod łóżkiem. Rozległo się ponowne łomotanie.

Lady Vivienne otworzyła drzwi. Chwilę później rozległo się echo ciężkich kroków. Aldyth zamarła. Do komnaty weszły dwie osoby.

- Godric! - zabrzmiał radosny okrzyk Warina.

Czy uwierzył jej, kiedy powiedziała, że starszy brat stanie po stronie Turola? Czy chłopiec będzie na tyle mądry i lojalny, żeby jej nie zdradzić?

- Witaj, Godricu. Co za niespodzianka! - leniwym tonem przemówił Ranulf. - Mam nadzieję, że nie jesteś zwiastunem złych wieści. Mój ojciec i matka zdrowi?

- Zdrowi, milordzie. Przybyłem tutaj za łaskawym zezwoleniem earla. Niech mi będzie wolno przedstawić. Oto pan Turol ze Swanlea, narzeczony mojej siostry.

Turol był tutaj, w sąsiednim pokoju! Aldyth zakryła usta dłonią, aby powstrzymać okrzyk przerażenia. Powoli podpełzła do nogi łóżka. W wąskiej szczelinie widziała teraz fragment drugiej komnaty i dwie pary zakurzonych butów.

- Milordzie... - zabrzmiał zniechęcony głos.

Nie dosłyszała odpowiedzi Ranulfa.

- Milordzie, wiesz zapewne, że moja siostra zniknęła z Sherborne w przeddzień swojego wesela. Wciąż jej poszukujemy - dobiegł jej uszu głos Godrica.

- A i owszem, słyszałem coś niecoś od mego szlachetnego ojca, który uznał, że Warin powinien o tym wiedzieć. Ale dlaczego przychodzicie do mnie? Zbiegła dziewczyna nie zaszłaby tak daleko, Turoldzie.

- Mojej Aldyth nie godzi się nazywać zbiegiem, mi-

lordzie ~ łagodnie sprostował Tuold. - Kocha mnie i ja ją kocham. Obawiam się najgorszego.

- Najgorszego? - powtórzył Ranulf ze znużeniem.

- Najgorsze, co może spotkać mężczyznę, to życie z jedną kobietą. Powinieneś raczej uważać się za szczęściarza.

- Wolno ci, panie, dworować ze mnie, lecz ja ledwo sypiam ze strachu - sztywno odparł Tuold.

A to łotr, odgrywał rolę troskliwego narzeczonego!

- Sądzisz zatem, że ofiarowałem schronienie poręczom? - spytał Ranulf, dając do zrozumienia, że jest co najmniej zdziwiony tym posądzeniem. - A może to właśnie mnie oskarżasz o uprowadzenie? Na Boga, masz tupet, mój drogi Tuoldzie!

Mówił takim tonem, jakby była ostatnią niewiastą na ziemi, na której by mu zależało. Schowana pod łóżkiem Aldyth z trudem pohamowała złość.

- O nic cię nie oskarżam, milordzie - szybko zapewnił go Tuold. - Byłem jedynie ciekaw, czy nie skontaktowała się ze swoim młodszym bratem.

- To znaczy, że jednak nikt jej nie uprowadził? Że ci uciekła z małżeńskiego łóża? - zapytał Ranulf kpiąco.

- Próbujemy ją znaleźć, milordzie - wtrącił Godric.

- Sprawdzamy każdą możliwość. We dwóch przeczesałiśmy całą połąć ziemi wokół Sherborne i Kingsclere. Naturalną koleją rzeczy przyjechaliśmy do Winchester. Jest tu nie tylko Warin, ale i ty, panie, do którego Aldyth żywiła... pewne uczucia - umilkł.

Przemawiał na pozór spokojnie, lecz w jego głosie tała się groźba.

- Uczucia? Do mnie? To cnotliwe dziewczę? Wolne żarty! - roześmiał się Ranulf. - Moi panowie, zapewniam, że to kolosalne nieporozumienie.

- Chciałbym być równie wesół jak ty, milordzie - nadętym tonem oznajmił Tuold. - Niestety, jak powiadam, los oblubienicy mocno mi leży na sercu. Mam przyjąć niniejszym, że jej nie widziałeś?

- Nie obchodzi mnie, człeku, co tam sobie przyjmiesz - z jawną już pogardą odparł Ranulf. - Powiem tylko, że do mnie nie przybiegła.

- A ty, Warinie? - zabrzmiało pytanie Godrica.

Aldyth w wyobraźni widziała jego świdrujące oczy. Och, biedny Warinie! Boże, wybacz mu kłamstwo i pozwól, żeby skłamał, pomyślała. Zacisnęła powieki i wstrzymała oddech. Godric zawsze bez trudu wyciągał od brata wszelkie tajemnice.

- Nie widziałem jej! - krzyknął Warin. - Przecież gdybym widział, od razu bym wam powiedział!

Odetchnęła.

- Lecz bardzo chciałbym wiedzieć, dlaczego moja siostra szukała ratunku w ucieczce, Tuoldzie ze Swanlea - śmiało dodał Warin. - Musisz być strasznym łotrem, skoro cię odtrąciła.

- Ach, ty młokosie! Złamię ci kark jak gałązkę! - ryknął Tuold.

Aldyth widziała nagłe poruszenie. Godric przytrzymał Tuolda.

- Przepróż w tej chwili! - krzyknął do Warina. - Przepróż albo dostaniesz.

- Jedynie ja mam prawo karać mojego pazia - wtrą-

cił groźnym tonem Ranulf. Jego buty dołączyły do dwóch par pozostałych. - Powiedziałem już, że Aldyth tu nie ma. Możecie odejść w pokoju.

- Coś mi się zdaje, że jakiś czas zabawimy w Winchester, milordzie - odparł Godric. - Mam zezwolenie od twojego ojca, żeby pomóc Turoldowi w dalszych poszukiwaniach. Nie muszę zatem natychmiast wracać do Kingsclere.

Podszedł do drzwi, zabierając ze sobą Turolda.

- Poczekamy. Być może to kwestia czasu.

- Właśnie - dorzucił Turold. - A kiedy już przybędzie... - dokończył złowieszczym tonem.

Skrzypnęły zamykane drzwi. Kroki zadudniły na schodach. Aldyth podbiegła do okna i ostrożnie wyjrzała na zewnątrz. Minutę później zobaczyła dwie postacie idące przez dziedziniec. Gordic mówił coś do Turolda. Ten uniósł głowę i spojrzał na wieżę. Aldyth ledwo zdążyła się cofnąć.

Przeszła do drugiej komnaty. Warin, Vivienne i Ranulf popatrzyli na siebie niepewnie.

- Wszystko jasne, milordzie - zawołała z triumfem.
- Nie masz większego wyboru. Musisz mnie zabrać ze sobą!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Rzeczywiście, to było jedyne rozwiązanie. Ranulf wpadł w pułapkę, ale nie miał ochoty przyznać przed dziewczyną tego, co musiał przyznać - chyba że wbrew wcześniejszym przyrzeczeniom nie zamierzał jej dłużej pomagać. To oczywiście nie wchodziło w rachubę. Nie chciał jednak tego głośno powiedzieć. Postanowił się trochę podroczyć.

- Co ty powiesz! - zawołał i opadł na krzesło. - Skąd wiesz, że ich obecność zmusi mnie do ustępstwa? Po prostu znajdę ci lepszą kryjówkę, i tyle.

Oczy nabiegły jej łzami, ale dumnie uniosła głowę.

- Zupełnie nie dbasz o to, co się ze mną stanie? Chcesz, żebym z powrotem wpadła w ręce tego brutala? Zabije mnie i będę cię straszyć po nocach!

- Trochę rozsądku, milordzie - pospieszyła jej w sukurs lady Vivienne. - To niewielki zamek. Gdy zacząną rozpytywać, ktoś im na pewno powie o naszym nowym paziu.

- Babskie gadanie - burknął Ranulf. - Mam własny zamek, w Beauworth. O, właśnie. Dlaczego o tym wcześniej nie pomyślałem?

- Skoro ty pomyślałeś, to i Godricowi prędzej czy później przyjdzie to do głowy - zauważyła Vivienne.

- Podejmiesz takie ryzyko? Aldyth nic a nic nie przesadza. Znam takich jak Turolld. Zabije ją przy lada okazji. Jest bardzo gwałtowny i zapewne pozbawiony skrupułów.

- W porządku! - z irytacją rzekł Ranulf. - Przed wyjazdem zawiozę ją do Kingsclere. Przysięgam, że za murami ojcowskiego zamku będzie zupełnie bezpieczna.

- Mówiłam ci już, że to niemożliwe, milordzie! - zawołała Aldyth. - A poza tym król kazał ci ruszać pojutrze. Jak zdążysz odwiedzić mnie do earla, skoro za dwa dni powinieneś być w Normandii?

Miała rację. Co gorsza, wiedziała, że ma rację.

- Dziewczę nam nie przeszkodzi, panie - zahuczał milczący dotąd Urse. - Sam jej będę pilnował.

Aldyth i lady Vivienne rzuciły mu pełne wdzięczności spojrzenia.

Ranulf nie zamierzał tak łatwo ustąpić.

- A co ty na to, Warinie? Zanim odpowiesz, chcę, abyś wiedział, że nie możecie towarzyszyć mi oboje. Jeżeli twoja siostra, jako Edward, zostanie moim paziem, ty, niestety, zostaniesz w Winchester. Co więcej, muszę ci tu znaleźć odpowiednie zajęcie, żebyś bez celu nie kręcił się po dworze.

Zapadła długa cisza. Warin zawiedzionym wzrokiem popatrzył na Ranulfa, potem na siostrę, a potem znowu na swego pana. Nagle twarz mu poweselała w radosnym uśmiechu.

- Możesz wziąć Aldyth, milordzie. Pozwól tylko, abym pod twoją nieobecność pojechał na święta do ojca, do Sherborne!

Aldyth popatrzyła na brata z uznaniem.

- Ależ to wspaniałe rozwiązanie, milordzie! - krzyknęła, klaszcząc w dłonie. - Dziękuję ci, Warinie. Dziękuję! Jestem z ciebie dumna!

Ranulf uniósł obie ręce na znak, że się poddaje. W głębi serca odczuwał niewymowną ulgę, że Aldyth zostanie przy nim. Cieszył się, że będą razem, nie tylko ze względu na jej bezpieczeństwo.

- Zbyt wielu masz obrońców, moja panno, abym mógł ci odmówić. Posłuchaj teraz uważnie: przez cały czas podróży będziesz Edwardem, który jak paż musi być posłuszny i nie kwestionować poleceń swego pana. Rozumiesz mnie? Od tego może zależeć nawet twoje życie. Tylko nie płacz. To zawsze mnie wzrusza.

- Tak jest, milordzie - odparła, uśmiechając się mimo łez płynących po policzkach. - Bez szemrania spełnię każdy twój rozkaz. Tuold zostanie po tej stronie Kanału, ja zaś będę po tamtej. Nie muszę się go obawiać. To wprost cudowne! Zapewniam cię, milordzie, że nie pożałujesz, iż mnie uratowałeś.

No i masz babo placek! On się cieszył na wspólną podróż, a ona mu dziękowała, że ją wybawił z łap jakiegoś brutala. A zatem już go nie kocha. Co za głupiec z niego! Po doświadczeniach z Tuoldem mogłaby nawet nabrać obrzydzenia do wszystkich mężczyzn! Zaraz na tego łotra.

Postanowił dać jej do zrozumienia, że nie musi się obawiać żadnych niewczesnych zaczepk.

- *Eh bien*, dzięki tobie będę miał więcej czasu na

małe przyjemności. Prawda, lady Vivienne? - Wymownie popatrzył na kochankę.

Nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi, bowiem w tym samym czasie z uwielbieniem patrzyła na jednookiego olbrzyma, on zaś uśmiechał się do niej serdecznie.

Ranulf zerknął na Aldyth. Jej twarz była nieprzenikniona.

- Bez wątpienia, milordzie.

- To dobrze. A teraz zastanówmy się, jak cię przemycić z zamku pod czujnym okiem dwóch jastrzębi. Musimy przecież jakoś dotrzeć do łodzi. Może i tak się zdarzyć, że przez całą drogę na wybrzeże pozostaniesz w ukryciu. Nie zdziwiłbym się, gdyby nas śledzili. Pomyślmy, co tu zrobić.

Minęły dwa dni.

- Spory ładunek, milordzie - zauważył Turoid, przyglądając się przygotowaniom do drogi.

Aldyth słuchała ich rozmowy zwinięta w kłębek na dnie wielkiego, obitego żelaznymi okuciami kufra, stojącego na wozie obok czterech beczek miodu.

- Ano tak. Król śle miód w świątecznym podarunku księciu Robertowi. Ja zaś z kolei nie wyobrażam sobie, bym mógł się pokazać na dworze księcia Normandii bez odpowiednio skompletowanych strojów. Co prawda, mój giermek ciągle utyskuje, że mam tendencję do przesady i że gustuję w pstrokaciznie.

Aldyth przytaknęła w myślach. Przy takich okazjach Ranulf rzeczywiście potrafił być uciążliwy. Wyobrażała sobie te egzaltowane gesty, te wzniosłe miny, te spojżenia w niebo.

- Szczerze mówiąc, wyraziłbym to dosadniej - powiedział Urse głosem cierpiętника. - Kto bowiem dźwiga kufry z owymi pawimi strojami? Ja! A gdyby tego było mało, są jeszcze suknie damy.

- Ależ tak! Moja pani nie może być szarym wróbelkiem w obecności pawia. Lady Vivienne zasługuje na to, aby jak najlepiej wypaść na książęcym dworze. Stałbym się niegodny miana rycerza, gdybym o to nie zadbał. Poza tym mamy jeszcze kilka złotych łańcuchów i nędzną garść klejnotów.

- Ależ tak - powtórzył Turoid pełnym ironii głosem.

- Cieszę się, że to rozumiesz, mój dobry człowieku - ze szczerą wdzięcznością powiedział Ranulf. - A może chciałbyś wstąpić do mnie na służbę? Skoro w najbliższym czasie się nie żenisz...

Zapadła cisza. Aldyth uśmiechnęła się, wyobrażając sobie zdumienie Turoida. Jeszcze niedawno niemal wręcz oskarżał lorda Ranulfa o uprowadzenie jego narzeczonej, a ten teraz chciał przyjąć go na służbę! Co za maskarada!

- Stokrotne dzięki, milordzie, lecz muszę nadal szukać Aldyth. Poza tym od urodzenia zwykłem sam być sobie panem, jak większość Anglików, nawet tych, co nie weszli do szlacheckiego stanu.

Ranulf wydawał się nie zauważać ironii i potępienia pobrzmiwających w tych słowach.

- Och, chciałem tylko jakoś cię pocieszyć, zwłaszcza po utracie narzeczonej. To jedyne, co mogę zrobić.

Aldyth uśmiechnęła się. Tuold na pewno wyczuł drwinę, źle zamaskowaną słowami współczucia. Nie odważył się jednak na ciętą odpowiedź.

- Nie zabierasz ze sobą pazia, milordzie? - rozległ się głos Godrica.

- Nie. Dałem mu wolne na święta Bożego Narodzenia - lekceważąco odparł Ranulf.

Aldyth było mniej do śmiechu, kiedy usłyszała, że Godric i Tuold zamierzają pojechać z orszakiem aż do portu. Godric uważał, że to ich powinność, choćby ze względu na earla. Nie godzi się bez eskorty jeździć po tutejszych szlakach, gdzie za każdym krzewem czyha uzbrojona banda, dowodził. Ranulf od niechcenia wskazał na sześciu zbrojnych, którzy mieli mu towarzyszyć, lecz nie protestował. Nie chciał wzbudzać podejrzeń.

Obecność Godrica i Tuolda oznaczała, że Aldyth resztę dnia musi spędzić w kufrze. Wóz, ciągnięty przez woły, trząsł się i podskakiwał na wyboistej drodze. Aldyth leżała skulona, z nosem przyciśniętym do dziury, którą Urse starannie wywiercił pośród ornamentów. Pocięszała się myślą, że jest lepiej niż inni chroniona przed zimnym wiatrem i ulewą.

Głowa ją rozboleła, zanim kufer załadowano na prom, kołyszący się na ostrej fali. Miała wrażenie, że podróż z Winchesteru wytrzęsła z niej wszystkie kości. Podziękowała jednak Bogu, że dotarli bezpiecznie. Dziękowała również za obecność zbrojnych. Bała się, że Godric i Tuold zechcą zajrzeć do kufrow jeszcze przed załadunkiem.

Okazało się, że nie starczyło im śmiałości. Pożegnali się z kwaśnymi minami i zawrócili konie.

Przeprawa była prawdziwym piekłem. Zimowy sztorm spadł na nich w jednej chwili. Małym stateczkiem miotało na wszystkie strony. Gdy następnego popołudnia wreszcie dobili do Honfleur, Ranulf w niczym nie przypominał dumnego rycerza.

Urse nie znał boleści *mal de mer* i dokuczał swojemu panu:

- Lordzie Ranulfie, spodziewam się, że następnym razem wykażesz się hartem ducha. W tej chwili oblicze masz blade niczym brzuch płastugi.

Parsknął śmiechem, widząc, że Ranulf aż się zwinął na samo wspomnienie ryby.

- Już myślałem, że sami spoczniemy gdzieś na dnie, jak zobaczyłem, iż fala przelewa się przez pokład.

Rycerz wzdrygnął się na to wspomnienie. Jak większość szlachty nie potrafił pływać i nie lubił żeglugi. Przez Kanał przeprowaiał się tylko z konieczności, na otwarte morze nie wypływał nigdy. Zresztą po co? Było publiczną tajemnicą, że wody wokół Europy aż roją się od potworów.

- Wstyd, lordzie Ranulfie. Nawet Aldyth przetrzymała podróż o wiele lepiej od ciebie - dodała lady Vivienne i pokazała na dziewczynę, która - wdzięczna, że może rozprostować kości po długim siedzeniu w kufrze - z radością weszła na rozkołysany pokład.

- Dajcie mi wszyscy święty spokój! - nie wytrzymał Ranulf. Zatoczył się lekko.

- Bez obaw, milordzie. Świeże powietrze i dobra strawa w tawernie w Honfleur przywróca ci humor. Musisz coś zjeść, bo spadniesz z konia w drodze do Rouen - oznajmił Bretończyk.

Gospoda była niedaleko od nadbrzeża normandzkiego portu. Wygodna, chociaż skromna. Za to goście... Ranulf z niepokojem spojrzął na sześciu ludzi siedzących przy jednym ze stołów w ciemnej sali. Poza nimi nie było nikogo.

Za późno. Uświadomił sobie, że skołowany morską chorobą nie zdjął paradnych szat i nie przebrał się w strój podróży. Pod przemokniętą peleryną wciąż nosił kosztowną tunikę z długimi rękawami, a na nogach miał dworskie cizmy o zawiniętych noskach. Zauważył, że tamtych sześciu znacząco zerka w jego stronę. Wyczuwali zapach bogactwa.

- Urse - powiedział cicho - spójrz ukradkiem na nasze towarzystwo. Zdaje się, że wpadliśmy w kłopoty.

Ze względu na swoją ułomność jednooki Bretończyk nie potrafił ukradkiem obejrzeć się przez ramię. Spojrzął więc całkiem otwarcie. Ale nawet jego posępna mina nie zbiła z tropu wesołej szóstki.

Oberżysta obiecał, że zaraz przyniesie tłustego kapłona. Na razie postawił na stole kubki z najprzedniejszym winem i wyszedł do kuchni. Nadciągał czas pierwszej próby.

- Powiedziałbym, że w naszym skromnym mieście mamy gości z angielskiego dworu - zauważył jeden z łotrzyków. Mówił tak głośno, żeby go było słychać

w całej sali. - To chyba któryś ze sługosów Wilhelma Rudego. Można go wyczuć na milę, *hein?*

Głośno pociągnął nosem.

Urse uniósł się od stołu, robiąc groźną minę, ale Ranulf przytrzymał go za rękę.

- Spokojnie. Pamiętaj, że są z nami damy. Być może unikniemy bójkki - szepnął do giermka. Zielone oczy Aldyth zrobiły się wielkie jak spodki. - Poza tym miałeś rację. Naprawdę jestem głodny.

Obwieś jednak nie dał wypić im wina w spokoju.

Wstał i na czele grupy skierował się niby do wyjścia.

W przelocie musnął palcem aksamitną tunikę Ranulfa.

- Śliczna - powiedział z emfazą.

- Uważaj, Guillaume, bo ten piękniś wydrapie ci oczy - rzucił jeden z jego kompanów.

Pozostali wybuchnęli rubasznym śmiechem.

Ranulf kipiał z gniewu, ale siedział bez ruchu, udając, że nie obchodzą go ich zaczepki. Bał się, żeby w ogólnym zamieszaniu coś złego nie spotkało Aldyth lub Vivienne. Nagle poczuł czyjaś łapę na swoich włosach.

- Wszystkie angielskie *demoiselles* mają takie piękne loki? - zagruchał obwieś prosto do jego ucha.

Ranulf zerwał się od stołu i kopnięciem przewrócił ławę. Krzyk Vivienne utonął w jego dzikim ryku. Aldyth pisnęła coś żałośnie. Obie damy cofnęły się pod ścianę.

Ranulf pochwycił kubek giermka - swój przewrócił przy pierwszym nagłym ruchu - i chlusnął winem

w twarz łotrzyka, który dotykał jego włosów. Potem poprawił pięścią. Bandzior zatoczył się do tyłu.

Reszta ruszyła do ataku, lecz w tej samej chwili w sprawę wmiszał się Urse. Złapał najbliższych dwóch i stuknął głowami. Bez zmysłów padli na podłogę.

- Chodźcie tu, psie syny! - warknął głucho. - Klnę się na Boga, że niejeden posmakuje pięści!

Z naiwnym posłuszeństwem rzucili się na niego.

Ranulf był zbyt zajęty, żeby podziwiać skuteczność giermka. Miał przed sobą dwóch przeciwników.

Dziesiąty raz pluł sobie w brodę, że nie włożył podróżnej kurty z wąskimi rękawami. Przydałaby się też kolczuga. Niestety, podczas wyładunku bardziej myślał o swoim obolałym brzuchu niż o dalszej drodze. Kolczuga leżała pewnie gdzieś na samym dnie kufra. Napastnicy mieli sztylety i byli bardzo blisko. Nie zdążyłby sięgnąć po miecz, by osłonić się przed atakiem.

Kątem oka zobaczył, że Aldyth i Vivienne, przyciśnięte plecami do ściany, powoli przesuwają się w stronę schodów, wiodących do izb gościnnych na piętrze. Tym lepiej. Nie musiał się o nie martwić. Oberżysta, zwabiony hałasem, wyjrzał z kuchni, lecz bał się pomóc. Wyrzekał tylko głośno na zniszczenia.

Ranulf dopuścił bliżej dwóch swoich przeciwników. Błyskawicznym ruchem lewą ręką pchnął jednego w pierś. Łotr zachwiał się i poleciał na łeb na szyję przez stojącą tuż za nim ławę.

Został drugi, ze sztyletem w ręku. Tańczył na ugiętych nogach i z wilczym uśmiechem spoglądał na Ranulfa.

Urse tymczasem uporał się ze swoimi. Cztery nieruchome ciała walały się po klepisku, wśród przewróconych ław i resztek jedzenia. Bretończyk z ponurym grymasem popatrzył na przeciwnika Ranulfa.

Zapomniał jednak o pierwszym z bandy, który - obalany winem i uderzony przez Ranulfa - na chwilę wypadł z bójki, ale nie stracił przytomności. Teraz zakradł się z tyłu i ławą uderzył Bretończyka w głowę. Urse z jękiem padł na ziemię.

Dwóch na jednego, pomyślał Ranulf. Wciąż nie miał sposobnej okazji, żeby dobyć miecza.

Zauważył jakiś nagły ruch przy schodach. Aldyth wyskoczyła z ukrycia i z okrzykiem godnym demona z najgłębszych czeluści piekieł rąbnęła patelnią w głowę rzeźmieszka walczącego z Ranulfem. Biedaczysko, chyba nawet nie wiedział, co go spotkało.

Został więc tylko jeden, stojący po lewej stronie. Miał minę, jakby wołał prędko ująć z pola walki. Niestety, Ranulf zagradzał mu drogę do drzwi wyjściowych. Bandyta z rozdziawioną gębą spoglądał na chłopaczka wymachującego zaimprovizowaną bronią. Ranulf zyskał czas, żeby wyciągnąć miecz.

- Chodź do mnie, bohaterze, a przyrzekam, że posmakujesz nagiej stali. A może wolisz żyć i opowiadać kompanom, jak to angielska *demoiselle* odrzuciła twoje zaloty?

Łotrzykowi wcale nie było do śmiechu.

Lady Vivienne z pogrzebaczem w dłoni przyłączyła się do Aldyth. Ranulf, nie spuszczać przeciwnika z oczu, podszedł do leżącego Bretończyka. Ocucił go

i pomógł mu dźwignąć się na nogi. Urse potrząsnął głową, żeby odzyskać jasność myślenia, i groźnie spojrzął na rzezimieszka. Tamten zadygotał ze strachu.

- Oszczędź go, Urse - rozkazał Ranulf. - Nie zabijaj.

Pięść olbrzyma wylądowała na głowie bandyty. Ranulf ruchem ręki dał znać, aby obie damy opuściły gospodę. Posłuchały go bez sprzeciwu. Sam z Urse poszedł w ich ślady. Na odchodnym rzucił oberżycie srebrną monetę.

- To za wszelakie szkody - zawołał.

Na podwórku westchnęli głęboko i popatrzyli po sobie.

- A niech ich zaraza! - mruknął Urse. - Nie mogli poczekać, aż zjemy? Do następnej miejsciny mamy kawał drogi.

- I to mówi Urse de Caradeuc? - z uśmiechem zapytał Ranulf. - Przecież uwielbiasz dobrą walkę! Muszę przyznać, że nie czułem się lepiej od czasów kampanii Zdobywcy.

Aldyth nic nie mówiła, zaskoczona i jednocześnie oczarowana jego przemianą. Gdzieś zniknął znudzony, przesadnie wystrojony, zmanierowany dworzanin, a pojawił się bojowy, męski i piękny Ranulf z Kingsclere - ucieleśnienie cnót rycerskich. Takiego go sobie wyobrażała.

Chyba wyczuł jej spojrzenie, bo nagle odwrócił głowę. Upewnił się, że jedynymi świadkami tej sceny są Urse i lady Vivienne. Podszedł do Aldyth i ujął ją za rękę.

- Z całego serca ci dziękuję, Aldyth. Spisałaś się bardzo dzielnie. Jestem przekonany, że zawdzięczam ci życie.

Pochwała i spojrzenie jego ciemnych oczu sprawiły, że nie mogła powstrzymać łez radości. Rzuciła mu się w ramiona.

- Ty również byłeś wspaniały, milordzie! Chociaż ich było tak wielu, to nie bałeś się ani trochę! I pokonałeś napastników!

To powiedziawszy, niespodziewanie go pocałowała.

Miał cudowne usta i natychmiast oddał pocałunek, nie kryjąc pożądania. Aldyth przez kilka chwil chłoneła smak namiętności, drząc cała. Do tego była stworzona. Przez całe życie pragnęła znaleźć się w jego ramionach.

Położył dłoń na jej piersi. Aldyth poddała się z westchnieniem, lecz zaraz uświadomiła sobie swoją sytuację.

Kto jej pozwolił na takie zachowanie? Poruszyła się niespokojnie w uścisku Ranulfa.

Oderwała wargi od jego ust.

- Milordzie...

- Nie... Teraz ci nie wolno przestać - powiedział. Czarne oczy były pełne niezwykłego blasku. - Dalej świętujmy zwycięstwo.

Pochylił się w jej stronę.

Lecz Aldyth nie miała ochoty na drugi pocałunek. Wiedziała, że po każdej walce bitny rycerz szuka zapomnienia w objęciach najbliższej kobiety. Żądza krwi przeradzała się w bardziej pospolitą żądzę. Cóż zatem? Oprócz Aldyth była tu tylko lady Vivienne, która gubiła

oczy za niedzwiedziowatym Bretończykiem. To nie tak... Nie wolno działać pod wpływem chwili. Uczucie powinno być prawdziwe.

- Puść mnie, milordzie - rozkazała. - Natychmiast.

Głęboko wciągnął powietrze i spełnił jej prośbę.

- Tchórz - mruknął.

- Mylisz się, milordzie - zaprotestowała. - Pocałowałam cię, bo byłam rada, że wyszliśmy cało z tej niebezpiecznej przygody. To wszystko.

Przymknął oczy, a potem popatrzył gdzieś w bok. Na skroniach pulsowały mu żyły. Spłoniona Aldyth odwróciła głowę. Co z niej za idiotka! Po co budzi śpiącego lwa, skoro nie ma mu nic do zaoferowania?

Ranulf parsknął śmiechem. Aldyth spojrzała na niego z gniewem, niepewna, co go tak ubawiło. Okazało się, że wcale na nią nie patrzył. O kilka jardów od nich stali Urse i Vivienne, złączeni w namiętym uścisku.

- Mogłem się tego domyślić! - zawołał Ranulf. - Gratulacje, milady! Zdobyłaś serce mojego giermka!

Urse popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Skąd mogłeś wiedzieć, milordzie, skoro sam o tym nie wiedziałem? Jakim sposobem przyszło ci do głowy, że taka piękna dama obdarzy uczuciem jednookiego potwora?

- Nie jesteś żadnym potworem - sprostowała lady Vivienne. - Najwyżej groźnym olbrzymem. A zresztą to nieważne. Kocham cię, ty niedźwiedziu!

Po chwili przypomniała sobie o Ranulfie.

- Ale... co z naszą umową, milordzie? Nie mogę przecież...

- Bez wątpienia znajdziemy jakiegoś normańskiego mnicha! - beztrósco zawołał Ranulf. - Obawiam się, że na księżęcym dworze nadal będziesz musiała grać rolę mojej nałożnicy, ale po cichu. - Urwał i szelmowsco mrugnął powieką. - Nie widzę przeszkód, byście się częściej spotykali. Teraz, skoro wasz związek nie jest dla nikogo z nas okryty tajemnicą.

- Och, dziękuję, Ranulfie - zawołała lady Vivienne. Uwolniła się z objęć olbrzyma i pocałowała rycerza w policzek. - Jesteś najszlachetniejszym z ludzi.

Wróciła do giermka. Nie widziała spojrzenia, jakie Ranulf rzucił w stronę Aldyth. Ta jednak z trudem powstrzymywała się od śmiechu. W ciągu paru chwil pocałował aż dwie niewiasty i żadna nie chciała więcej.

Lecz z drugiej strony, sytuacja nie była najweselsza. Aldyth zyskała niezbity dowód, że Ranulfa nie łączy z Vivienne żadne głębsze uczucie. Przyjaźnili się, byli wobec siebie lojalni - to wszystko. A co z nią? Przecież nawet nie wie, czy ją naprawdę darzy czystą, szczerą miłością. Dla lady Vivienne zawsze będzie bohaterem i wybawcą. Nie może więc polegać wyłącznie na jej zdaniu.

W ciągu tygodnia spędzonego na królewskim dworze zdążyła się zorientować, że lord Ranulf miał opinię kobieciarza. Jego nazwisko łączono z wieloma niewiastami, zawsze wyższego stanu. Miałby więc teraz zwracać choć trochę większą uwagę na córkę zwykłego angielskiego kasztelana?

Ranulf odchrząknął.

- A może tak ruszymy w drogę, moje gołąbeczki?
Dla bezpieczeństwa wolałbym się przebrać.

- Oczywiście, milordzie, ale... coś słyszałem - rzekł Urse.

Nie wydawał się zaniepokojony. Skinął na resztę kompanii, żeby poszli za nim, i skręcił za róg oberży.

Mieli szczęście. Stało tam sześć osiodłanych koni. Należały na pewno do obwiesiów.

- Przeczuwałem, że gdzieś tu są - powiedział Urse.
- Oto nasze wierzchowce, panie i panowie. Może nie wiele warte, lecz na obecną chwilę na pewno nam wystarczą. Podejrzewam, że żaden z poprzednich właścicieli nie będzie dochodził swych praw przed trybunałem.

Zgodzili się z nim. Konie były brzydkie i chude, ale gotowe do drogi. Prawdziwy dar niebios.

Wskoczyli na siodła i potruchtali z powrotem do portu. Ranulf i Urse pokrzykiwali wesoło. Ranulf chyba jedynie po to, żeby szybciej zapomnieć o porażkach w miłości.

Obładowali dwa luzaki, Ranulf naciągnął kolczugę i ruszyli na wschód, do Rouen.

Noc spędzili w Tancarville, na drugim brzegu krętej Sekwany. Tam znaleźli gospodę, wolną od wszelkich łotrów, i spożyli wieczerzę. Ranulf sypnął srebrem za trzy oddzielne pokoje.

Urse i lady Vivienne patrzyli sobie w oczy, jak przystało na zakochanych. Aldyth pytająco zerknęła na Ranulfa.

- Jedna izba dla giermka i pani jego serca. Przecież

wyraźnie widać, że nie wolno nam ich rozdzielać - wyjaśnił. - Druga dla mojego pazia Edwarda, który, jak głoszą oficjalne wieści, przeziębił się i wciąż mnie budzi kaszlem i kichaniem. Trzecia dla mnie. Czy to cię zadowala, mój niewinny Edwardzie?

- W zupełności, milordzie - powiedziała. - Jesteś zbyt łaskawy.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Rankiem, całą czwórką, ruszyli wzdłuż Sekwany do serca Normandii. Deszcz, który im towarzyszył od Portchester w Anglii, teraz ustąpił miejsca grudniowemu słońcu.

Urse i lady Vivienne pozostawali obojętni na wszelkie niewygody podróży. Rzadko kiedy odrywali oczy od siebie - a jeśli już to zrobili, Vivienne patrzyła gdzieś w dal rozmarzonym wzrokiem, a Urse uśmiechał się szelmowsko pod wąsem.

Aldyth cieszyła się ich szczęściem, nic złego bowiem nie zaznała od lady Vivienne. Dzieci pięknej wdowy potrzebowały męskiej ręki. Urse miał duże poczucie humoru i budził zaufanie. Przy odrobinie szczęścia już niedługo mogli zupełnie oficjalnie stać się mężem i żoną i wieść wspólne życie.

Aldyth była temu bardzo rada, ale ich widok sprawiał, że coraz częściej myślała o swoim własnym losie. Z mimowolną zazdrością popatrywała na jadącą obok niej parę. Och, gdyby Ranulf zerkał na nią jak Urse na swoją ukochaną... Gdyby trzymał jej strzemień, gdy siadała na konia. Gdyby naprawdę czuł to, co ona czuła.

Niestety, świat nie miał w sobie nic z raj. Pozostała jej pamięć o tamtym pocałunku, przed gospodą w Hon-

fleur. Ranulf stał się odległy, zamyślony - i traktował ją uprzejmie, ale tylko jak pazia.

Podróż do Rouen zabrała im półtora dnia. Zanim dotarli do stolicy Normandii, Aldyth doszła do wniosku, że przez resztę życia woli chodzić pieszo. Uda miała otarte od twardego siodła i głowa ją bolała od ciągłych podskoków. Tęskniła za swoją łagodną klaczą Robin, zostawioną w odległym Sherborne.

Ranulf chyba był podobnego zdania. Swoją opryskliwość tłumaczył zmęczeniem.

- Nie bój się, zanim wejdziemy do pałacu, zmienimy wierzchowce na nieco porządnniejsze - zapewniał swoją towarzyszkę.

- Mam nadzieję - westchnęła na kolejnym postoju, rozcierając obolałe kolana.

Ogarniało go pożądanie, gdy patrzył na nią, więc czym prędzej odwracał wzrok. Na wszystkich świętych, ta dziewczyna naprawdę nie zdawała sobie najmniejszej sprawy, jak na niego działa jej widok i zachowanie! Niewinna uwodzicielka... nieświadomie przysparzała mu ustawicznych cierpień. Przy niej wciąż zapominał o pozie znudzonego i zmanierowanego dworzanina, jaką powinien przybierać. Wolałby chwycić ją w ramiona i całować bez końca!

Wiedział jednak, że to by ją tylko spłoszyło. Musiał zatem zachować pozory i za nic w świecie nie zdradzać się z prawdziwymi uczuciami.

Wykonał wytworny ruch dłonią i powiedział:

- Och, gdyby mnie zobaczono na tej nieszczęsnej szkapie, od razu straciłbym na dworze reputację.

Pierwsze kroki skierował zatem do handlarza końmi, zaledwie rzut kamieniem od pałacu. Kupił cztery wierzchowce: czarnego ogiera pełnej krwi dla siebie, siwego olbrzyma, zdolnego bez wysiłku unieść Bretończyka, piękną klacz dla lady Vivienne i krępego kuca dla Aldyth.

Kuc był spokojny, lecz tak śmieszny, że dziewczyna popatrzyła nań z rozbawieniem. Wiedziała jednak, iż nie wypada, aby skromny paż dosiadał rumaka godnego szlachetnie urodzonej damy. Nazwała go Motley.

Zajechali przed pałac. Dowódca straży zapytał o imię Ranulfa. Po chwili wszyscy stanęli przed obliczem księcia Roberta. Jego Wysokość oderwał się od gry w kości, aby powitać przybyłych.

- Witajże w moim księstwie, milordzie! Zawsze chętnie przyjmuję wysłanników z dworu mego kochanego brata. Zwłaszcza gdy przybywają w tak szczęśliwej porze, tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Zostaniesz z nami na święta, prawda? - zapytał z nadzieją w głosie.

Książę, chociaż dwa lata starszy od Rudego, był sporo niższy, przez co zyskał niepochlebny przydomek Krótkonogi. Miał takie same wyłupiaste migdałowe oczy jak Wilhelm II Rudy, ale zachowywał się o wiele grzeczniej i swobodniej.

- Och, tak. Dziękuję Waszej Wysokości. Będę zaszczycony, mogąc spędzić dzień narodzin Pana na tu-tejszym dworze - odparł Ranulf. - Lecz nie sądź po pozorach, panie. Obawiam się, że w obecnej chwili trudno w pełni nazwać mnie wysłannikiem króla.

Ranulf przemawiał ze swadą, ale gestykulował o wiele oszczędniej niż w Winchester.

- Obawiam się, że król Wilhelm... jak by to powiedzieć... spogląda na mnie nieco mniej łaskawym okiem, niż zwykł to czynić niegdyś.

Tu westchnął teatralnie i wniósł oczy do nieba.

- Wiem, że Waszej Wysokości bynajmniej nie trzeba innych wyjaśnień, więc poprzestanę na tym. Tak to już bywa w życiu.

- W rzeczy samej - kwaśno przytaknęła Robert. - Witaj mi zatem w Normandii! Lojalny szlachcic zawsze odnajdzie miejsce w moim księstwie i mojej kompanii.

Obecni w sali rycerze potwierdzili te słowa, pozdrowili Ranulfa, jego damę i giermka, jakby witali dawno nie widzianych krewnych.

Aldyth z zapartym tchem obserwowała tę scenę. Jako paż nie miała nic więcej do roboty. Książę nie badał dalej wierności Ranulfa, wspominał za to coś o majątku ziemskim, należnym wszystkim, co przejdą pod jego opiekę.

Aldyth zerknęła na olbrzymiego giermka. I to wszystko? Lord Ranulf właśnie zmienił pana?

Urse dobrze odczytał jej pytające spojrzenie, bo z półuśmiechem skinął głową. Nic dziwnego, że książę Robert miał opinię łatwowiernego. Ufał wszystkim, którzy zapewniali go o swej przyjaźni.

Ranulf, w imieniu własnym i lady Vivienne, z wdzięcznością przyjął zaproszenie na wieczerzę. Mieli być honorowymi gośćmi w prywatnej kwaterze Roberta.

Wieczorem po kąpieli Aldyth - ubrana w strój z godłem Ranulfa - wraz innymi paziemi podawała do stołu. Przy okazji słuchała paplaniny Roberta. Książę nalegał, aby z samego rana lord Ranulf zechciał mu towarzyszyć w łowach na jelenia. Całował lady Vivienne po rękach i głośno się rozwodził nad jej urodą. Podziwiał dobry gust swego gościa.

Aldyth z tacą w dłoniach przyklękła na jedno kolano przed swoim panem. Zachowywała się tak, jakby robiła to przez całe lata. Kątem oka spostrzegła grymas niezadowolenia na twarzy lady Vivienne. Dama delikatnie, lecz stanowczo zabrała swoją dłoń z rąk Roberta. Ależ musiała cierpieć w dwójnasób, w roli kochanki Ranulfa! Teraz, skoro już była pewna uczuć Bretończyka. Na pewno chciała, by wieczera jak najszybciej dobiegła końca.

Jeden z paziów księcia, gładki chudzielec noszący imię Bertrand, skinął na pozostałych, żeby przeszli w kąt sali i sami spożyli posiłek.

- Podoba ci się na służbie u lorda Ranulfa, Edwardzie? - zapytał, stawiając przed sobą misę ze smażoną rybą, pieczonym bażantem i czarnym chlebem.

Mówił po francusku o wiele mniej zrozumiale niż Ranulf, więc chwilę trwało, zanim Aldyth pojęła, o co mu chodzi.

Skinęła głową.

- Jest bardzo łaskaw.

Na nieszczęście, jej spóźniona odpowiedź wywołała złośliwą reakcję innego paza, przezywanego przez kolegów Grubym Louistem.

- Jest bardzo łaskaw! - zapiszczał fałszywym falsem. - Ale nigdy nie uczyni giermkim ani tym bardziej rycerzem takiego *gringalet* z zapadłej Anglii, co to nawet nie umie dobrze po francusku!

Aldyth popatrzyła na tłustego pazia i zacisnęła pięści, dając do zrozumienia, że nie zawaha się siłą dochoździć swoich racji.

Gruby Louis dogryzał jej dalej:

- A ten twój pan? Loczki na głowie i frymuśne gesty. Wszyscy na waszej wyspie tak się wygłupiają? Bardzo dba o pachnidła niż rycerską cnotę, *heii*?

Wyszczrzył zęby ponad stołem.

Aldyth zerwała się z miejsca.

- Chodź, to ci pokażę, czego się nauczyłem od mojego pana! Sam zobaczysz.

Ktoś położył jej rękę ha ramieniu i łagodnie posadził na ławie.

- Daj mu spokój, Louis - stanowczo powiedział Bertrand. - Znów zaczynasz? Rozkwaszę ci nochał, jeśli po raz kolejny wylecimy przez ciebie z sali. Książęcy giermek już na nas patrzy, a ja nawet na dobrą sprawę nie zacząłem wieczerzy.

Gruby Louis umilkł, ale co chwila rzucał w stronę Aldyth nadąsane spojrzenia.

Wieczór wydawał się nie mieć końca. Wreszcie Ranulf mógł udać się na spoczynek. Przez wiele godzin grał rolę głupca, ścisnął swą „nałożnicę” i rozprawiał głośno o wpływach i kontaktach wśród młodych parów Anglii. Robert bez trudu dał się na to nabrać, a wraz

z nim - z pół tuzina baronów i hrabin sproszonych na wieczerzę. Prześcigano się w uprzejmościach i klepano Ranulfa po plecach. Nowy sojusz został na trwałe związany.

Tymczasem Ranulf raz po raz spoglądał z zamyśleniem na pochodnie płonące na ścianach. Co też Aldyth myślała o jego zachowaniu? Przecież już wiedziała, że jego związek z lady Vivienne jest tylko pozorem, że oboje odgrywają komedię na użytek publiczny.

Ale reszta? Przechwałki, którymi raczył podpite osoby z dworu księcia Roberta? Czyżby uwierzyła, że naprawdę planuje wkraść się w łaski najstarszego z żyjących synów Zdobywcy i otwarcie wystąpić przeciwko Rudemu, królowi Anglii? A jeśli tak, to czy jej zdaniem Robert Krótkonogi byłby lepszym władcą od brata? A może jednak wiedziała, że w istocie Ranulf szpiegował na rzecz swego króla? Pochwalała takie postępowanie?

Co pomyślałaby sobie o Ranulfie z Kingsclere, gdyby poznała kiedyś jego prawdziwe oblicze? Och... zbyt wiele pytań, zbyt mało odpowiedzi. Aż w głowie szumi o tak późnej porze i po tak wielu kolejkach przedniego gaskońskiego wina.

Po cichu wszedł do komnaty, żeby nie przeszkadzać lady Vivienne i Bretończykowi, ukrytym w łożu, w zasłoniętej alkwie. Ponad godzinę temu odesłał ją do swojej kwatery, żeby -jak się wyraził - „ogrzała prześcieradło”.

Wiedział, że dzisiejszą noc spędzi w zimnym łożu. Mimo to cieszył się szczęściem Normanki. Od dawna

domyślał się jej prawdziwych uczuć i szczerze popierał ten wybór. Urse będzie dobrym mężem dla Vivienne de Lisieux i dobrym ojcem dla jej dzieci.

Ktoś zostawił na nocnym stoliku grubą zapaloną świecę. W jej migotliwym blasku zobaczył Aldyth śpiącą na posłaniu pomiędzy stołem a łóżem.

Stał tak i patrzył na nią przez kilka długich minut. Podziwiał jej uroczą twarz, wysokie kości policzkowe, zgrabny podbródek i zmysłowe usta, rozchylone w cichym oddechu. Zza rąbka tuniki wystawało nagie ramię. Ranulf poczuł nagłe świerzbienie w łądźwiach.

Mógłby ją mieć. Ta myśl przyszła sama, lecz wiedział, że to prawda. Mógłby zlec koło niej i pieścić jej ciało; całować jej uśpione oczy i dotykać krągłości, skrywanych na co dzień pod ubiorem pazia. Mógłby ją rozpalić, zanim by się na dobre przebudziła. A wówczas...

Wówczas mógłby przełamać niewidzialną barierę i posiąść ją, zerwać z niej welon dziewictwa i skapać się w morzu rozkoszy.

Aż jęknął w duchu i stulił dłonie w pięści. Ty lubieżniku! - złażał się w myślach. Zaufała mu nawet po tym, jak ją potraktował w stajni w Kingsclere. Przyszła po pomoc, chociaż boi się wszystkich mężczyzn, ciągle mając w pamięci niechlubne czyny Turola ze Swanlea. Co pomyślałaby, gdyby ją obudził niewczesnym zachowaniem?

Przeszedł na drugą stronę łoża, rozebrał się i położył. Nie było aż tak zimne, jak tego się spodziewał. Troskli-

wa Aldyth włożyła między prześcieradła duży rozgrzany kamień.

Rozchylił zasłony i znów na nią spojrzął. Nie potrafił się przed tym powstrzymać. Tylko na chwilę, obiecywał sobie. Raz zerknę i zdmuchnę świecę.

Uśmiechnął się, widząc, że przez sen naciągnęła koc na nagie ramię. Dziękuję ci, maleńka, tak będzie mi łatwiej odpędzić zdrożne myśli. Nie mógł oderwać od niej oczu. Patrzył i patrzył, aż w końcu zasnął. Świeca dopaliła się sama w bladej godzinie świtu.

Była Wigilia. Paziowie, nie wyłączając Aldyth, dekorowali wielką salę zielonymi gałązkami. Jak się okazało, na kontynencie spędzano święta całkiem podobnie jak w Anglii. Dwa narody, angielski i francuski, wiele zawdzięczały swoim wspólnym przodkom, wywodzącym się jeszcze od pogańskich wikingów. Był więc łeb dzika, przygotowany w kuchni, który miał stanąć na stole, zupełnie jak w Sherborne. Miał być pień drzewa, przygotowany do spalenia, w Anglii nazwany *Yule log*, a w Normandii - *souche de Noel*. Jutro zaś będzie uczta, zapewniał Bertrand, i wielki festyn.

Aldyth zastanawiała się, jak tegoroczne święta przebiegną w Sherborne. Pierwszy raz w tym uroczystym dniu była tak daleko od ojca i braci. Czy sir Nyle otrzymał list, posłany przez tajnego gońca, w którym informowała go, że jest cała i zdrowa? Czy wciąż się na nią boczy? Czy Warin cieszył się z wakacji? Czy dochował sekretu? Czy Tuold zrezygnował z dalszych poszukiwań i odstąpił od swoich roszczeń? A co z Godrikiem?

Zrozumiał wreszcie swą pomyłkę i zrezygnował z płonnych planów walki o niepodległość Anglii? Och, jak bardzo chciała być teraz w domu, a nie tułać się gdzieś po świecie w chłopięcym przebraniu!

Ogarnęła ją dojmująca tęsknota. Oczy zaszyły mgłą i mimo woli wypuściła z rąk młotek.

- Hej tam! Ty, na drabinie! Uważaj choć trochę! Chciałeś mi rozbić głowę? - zabrzmiał z dołu gniewny okrzyk Grubego Louisa. - Och, powinienem wiedzieć, że to nikt inny tylko Edward Niezguła z przaśnej Anglii. Powinennem chyba zwalić cię z drabiny i rozdeptać!

I rzeczywiście, z całej siły potrząsnął drabiną, jakby zamierzał spełnić swoją groźbę.

Aldyth chwyciła się szczebli. Z trudem powstrzymała okrzyk przerażenia. Drabina sięgała niemal pierwszego piętra, więc upadek z tej wysokości mógłby się zakończyć co najmniej połamaniem żeber.

Pomyślała, że najlepiej będzie załagodzić sprawę.

- Przepraszam, Louis. Prawdziwa ze mnie łamaga - zawołała. - Posłuchaj, a może kiedy podczaszy zaś nie, wykradnę trochę wina, żebyś już się nie gniewał?

Tłusty paż uśmiechnął się z zadowoleniem. Aldyth wiedziała, że bez najmniejszego trudu będzie mogła spełnić swoją obietnicę. Podczaszy zasypiał w piwniczce, upojony winem, które jakoby miał pod swoją pieczę. Nawet nie zauważył braku jednej lub dwóch flaszek. Inni paziowie radosnym okrzykiem przyjęli tę propozycję. Postanowiono, że po wygaszeniu świec spotkają się w stajni, na własnym przyjęciu. Przyniosę wino, pomyślała Aldyth, i raz-dwa wrócę do swojej komnaty, jak

tylko kubki zaczną zwawiej krążyć. Ranulf na pewno nie spostrzeże mojej nieobecności. Jak zwykle będzie wśród dworzan, strzelając oczami za jakąś normańską ślicznotką.

Nie przypuszczała jednak, że Gruby Louis nie daruje jej tak łatwo.

Dwie godziny później sześciu paziów zasiadło w pustej stajni, w świetle samotnej latarni. Aldyth na pozór piła równo z nimi - choć zręcznie wylewała zawartość swojego kubka na leżącą obok stertę siana. Louis za to wydudlił całkiem sporo i nabrał ochoty na nowe rozrywki. Na chwilę wyszedł ze stajni i wrócił w towarzystwie najgrubszej z kuchennych dziewczek, imieniem Margot. Ona także była pijana. Uniosła dłoń na powitanie i uśmiechnęła się półgębkiem do rozciągniętych na sianie paziów.

- Zgodziła się zarobić na noworoczny prezent dla swojej biednej starej matki - oznajmił Louis z szelmowskim mrugnięciem. - Sprowadziłem ją tutaj, byście chłopcy wypełnili jej... eeee... sakiewkę.

Paziowie skwitowali te słowa isticie kocią muzyką. Aldyth w pierwszej chwili zupełnie nie wiedziała, co się naprawdę dzieje. Dziewka tymczasem poluźniła brudny stanik i odsłoniła tłustą pierś. Poglaskała ją lekko, co wzbudziło nową serię okrzyków i rażnych pohukiwań. Potem z uwodzicielską miną zniknęła za drewnianym przepierzeniem.

- Jestem gotowa, chłopcy - zagruchała. - No, który chce być pierwszy?

- Chyba Edward - zaproponował Gruby Louis. - To będzie nawet ciekawe. Na pewno nigdy przedtem nie dosiadał baby!

Paziowie wybuchnęli śmiechem i wyczekująco spojrzeli na Aldyth.

- Dalej, Edwardzie - zachęcił ją Bertrand. - Za zwyczaj Margot nie jest tak łaskawa. Skorzystaj zatem z okazji.

Co teraz robić? Aldyth nie spodziewała się takiego obrotu sprawy.

- Obawiam się, że... muszę zrezygnować - wybałała zmieszana. - Mój pan nie zostawił mi nawet jednego sou.

- Och, nie przejmuj się brakiem pieniędzy, mój mały przyjacielu - z fałszywą serdecznością zapewnił ją Louis. - Bez ciebie nie byłoby dzisiejszej fety. Potrafię się za to odwdziczyć. Zapłacę za ciebie.

Rozległo się kilka oklasków. Aldyth głośno przełknęła ślinę. Boże, ratuj. Podsuń mi jakiś dobry pomysł!

- Chyba... nie jestem gotów. Sam mówiłeś, że to pierwszy raz.

- Nie przejmuj się! - zawołał jeden z chłopców. - Margot ci pomoże.

- A może ty pójdziesz pierwszy? - zwróciła się do Louisa. - Ja zaś sobie pociągnę jeszcze łyk wina, tak dla kurazu - powiedziała i nadstawiła pusty kubek.

- Skoro nalegasz. - Louis nie miał nic przeciwko temu. - Popatrz przez szpary, Edwardzie. Margot nie ma

nic przeciwko temu, tobie zaś przyda się małeńka lekcja.

Aldyth zerknęła przez szczelinę w drewnianym płocie. Dziewka leżała na plecach, na sianie, z ugiętymi nogami i spódnicą podwiniętą do pasa. Gruby Louis rozplątywał właśnie rzemienie u tuniki.

Aldyth zamknęła oczy, ale słyszała świńskie chrząkanie Louisa i postękiwanie Margot.

- Edward zupełnie pozieleniał! - roześmiał się jeden z paziów. - Idę drugi. A on niech jeszcze pije. Albo się pochoruje, albo dziś dołączy do grona prawdziwych mężczyzn!

To jakiś koszmarny sen. Jak to możliwe, żeby Margot zachowywała się w ten sposób w przeddzień święta narodziń naszego Zbawiciela? To hańba dla wszystkich kobiet!

- Zaraz się porzygam - wystękała, kiedy znów nadeszła jej kolej. I nawet nie musiała kłamać, bo rzeczywiście mdliło ją z przerażenia. Gdyby odmówiła, mogliby ją pobić lub rozebrać na siłę. Tak czy owak, odkryliby, że wcale nie jest chłopcem.

- Pospiesz się, Angliku. Margot nie lubi czekać - zawołał Gruby Louis. Nożem, którego wcześniej używał do jedzenia, wycelował znacząco w jej podbrzusze.

Aldyth stanęła na drżących nogach. Cofnęła się w głąb stajni. Miała nadzieję, że zdoła dobiec do komnat lorda Ranulfa.

W tej samej chwili ktoś złapał ją za kołnierz.

- Więc tu się chowasz, angielski nicponiu! Poczekaj, pożałujesz zaraz, że się urodziłeś!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Dzięki Bogu, milordzie! Ja... - zaczęła Aldyth, wijąc się w jego uścisku.

- Cicho! - burknął i potrząsnął nią z całej siły. - A wy co tu robicie?

Uniósł trzymaną w drugim ręku latarnię i popatrzył na zgromadzenie. Znowu stał się wymuskany i eleganckim szlachcicem, zdumionym tym, co zobaczył.

- Pijemy wino, jeśli cię to obchodzi, panie - z pijacką zadziornością oznajmił Gruby Louis.

Ranulf demonstracyjnie nie zwrócił nań żadnej uwagi-

Margot, której znudziła się tania zabawa z niedorostkami, pomyślała, że przy okazji upoluje o wiele grubszą rybę. Wystawiła głowę ponad przepierzenie.

- Dokazujemy sobie, milordzie. Aleć, jeśli łaska, jestem już gotowa na kochanka o większym doświadczeniu. Jeżeli sobie życzysz, pójdę do twojej komnaty i wspólnie uczymy twój pobyt w Normandii. Co ty na to, panie?

Ranulf obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem.

- Zabieraj się stąd, dziewczko, albo ci pokażę, jak w Anglii traktujemy takie, co to się łajdaczą, nie bacząc na święta! A wy, jurne chłopaczki, też mi zaraz zmykać!

Tylko płoszycie konie. Wracajcie do pałacu i cieszcie się, że nie powiem księciu, jak bez jego zgody...

Jeden z paziów, który jeszcze nie zaznał wdzięków Margot, zaperzył się w pijanym widzie.

- Nie będziesz nam tu rozkazywał! - wrzasnął i jak młody byk ruszył na Ranulfa.

Ten, wciąż trzymając Aldyth, spokojnie dał krok w bok i jakby od niechcienia trzasnął napastnika pięścią w głowę. Paż upadł i legł nieruchomo. Ranulf spojrzął na pozostałych.

- Ktoś jeszcze?

Nikt nie podjął wyzwania. Idąc za przykładem Margot, zebrali peleryny, kubki i pomału zaczęli się rozchodzić.

Ranulf wyciągnął Edwarda za kołnierz na dziedzińiec.

- Wszystko ci zaraz wyjaśnię, milordzie! Usiłowałam uciec. Przyniosłam im flaszkę wina, bo wcześniej Gruby Louis strasznie się na mnie rozzłościł i próbował mnie pobić. To nie ja sprowadziłam Margot! Lordzie Ranulfie, dokąd mnie prowadzisz? - zapytała ze strachem, widząc, że zmierzają prosto w stronę bramy, a nie wieży, w której mieściła się ich kwatery.

- Zamilknij wreszcie, Edwardzie - zabrzmiał surowy głos. I to wszystko.

Co zamierzał z nią zrobić? Czyżby był tak wściekły, że na dzisiejszą noc chciał ją wyrzucić za mury?

Dowódca straży spokojnie wysłuchał słów Ranulfa i kazał otwierać. W tej samej chwili obok nich zamajaczyła ogromna sylwetka Bretończyka. Urse wychynął

z ciemności. W rękę trzymał pelerynę z kapturem, należącą do Aldyth.

- Widzę, że wreszcie odnalazłeś zbiegłego pazia, milordzie.

W serce Aldyth wstąpiła nadzieja.

- Urse! Wstaw się za mną! Nie chcę w samą Wigilię spędzić nocy na mrozie!

- Przestań wrzeszczeć, Edwardzie. Nigdzie cię nie wyrzucam. - Ranulf wreszcie uwolnił ją z uścisku. - Wiem, że dzisiaj Wigilia. Nie było cię w komnacie, więc poszedłem cię szukać. Chciałem, abyśmy razem w uroczysty sposób spędzili dzisiejszy wieczór. W najśmielszych snach nie przypuszczałem, że odnajdę cię w stajni, przy takiej zabawie!

Zaskrzypiała podnoszona krata.

- Urse, wiesz, co robił mój paż? - zapytał Ranulf swobodnym tonem, kiedy znaleźli się już na moście i zmierzali w stronę ciemnych uliczek Rouen.

Bretończyk pokręcił kudłatą głową.

- Dudlił wino w gronie podobnych sobie nicponi. A przy okazji każdy z nich zabawiał się z pałacową dziewczką.

- To nie tak! - zaprotestowała Aldyth, słysząc, że Urse wydał stłumiony okrzyk zdumienia. - Piłam z nimi, to wszystko! I tak połowę kubków wylewałam na siano! To było obrzydliwe. Po kolei chodzili za prze-grodę i każdy, kto chciał, mógł popatrzeć przez szpary. - Urwała i wzdrygnęła się z wyraźnym wstrętem. - Ka-zali mi też spróbować, bo wydawało im się, że nigdy

nie spałam z niewiastą. Uwierzcie mi, Urse i ty, lordzie Ranulfie. Usiłowałam uciec, żeby nie odkryli...

- ...że jesteś dziewczyną!

Głos Bretończyka pobrzmiwał dziwną nutą. Aldyth zerknęła na niego. Ramiona mu się trzęsły od powstrzymanego śmiechu.

- Nie wiedzieli, że brak ci odpowiedniego narzędzia! - Nie wytrzymał i roześmiał się na całe gardło. - Wyobrażasz to sobie, milordzie?! Nasza Aldyth udawała prawiczką, chociaż wcale nie jest chłopakiem. Och, już nie mogę się doczekać, żeby opowiedzieć o tym Vivienne. Położyła się wcześniej spać, ale na pewno ją obudzę!

Łypnęła na niego ze złością. Nie było w tym nic śmiesznego. Nie dość, że najadła się strachu i wstydu... Spojrzała na Ranulfa. Ten też się śmiał.

- Nie mam pojęcia, z czego się śmiejecie – burknęła. - Wszyscy mężczyźni są tacy sami. A ty, milordzie - oskarżycielsko wyciągnęła palec - nie masz najmniejszego prawa oskarżać biednej Margot, że zesłała na złą drogę! Kto się co chwila zabawiał z dziewczętami na dworze w Anglii, a nawet tu, w Normandii? Zapewne żadna z nich nie powie o sobie, że jest dziwką, wszak służą szlachetnie urodzonym! Słyszałam nieraz, jak wracałeś dopiero nad ranem, woniejąc winem i pachnidłami!

Patrzył na łyzy w jej oczach i miał ochotę wziąć ją w ramiona i pocieszyć. Och, gdyby tylko знаła prawdę! Gdyby wiedziała, że wieczorami siedział przy kielichu z kompanią Roberta tylko po to, żeby odpędzić od sie-

bie jej widok. Tak, to prawda, zdarzyło mu się iść do kurtyzany, lecz zrobił to tylko dlatego, żeby nie rzucić się na nią i nie zaciągnąć jej do łóżka. Cóż z tego? Kiedy tam zaszedł, stwierdził niezbitcie, że owa kurtyzana - chociaż piękna, wymalowana, pachnąca perfumami - zupełnie go nie pociąga. Rzucił jej na łóżko ze dwie srebrne marki i wrócił do siebie. Słuchał, jak wzdycha przez sen i serce mu się krajało. Pragnął jej, a jednocześnie nie chciał jej przestraszyć, swojej najśladziej Aldyth.

- Zatem dokąd idziemy, jeśli wolno spytać? - rozległ się głos dziewczyny. - Może do portu, żeby mnie zamknąć w jakiejś nędznej szalupie? Czy też uznałeś, panie, że dzisiejszy wieczór jest najwłaściwszą porą na przechadzkę?

- Zdążamy na pasterkę w katedrze w Rouen, moja panno złościco - odparł ze spokojem. - Rano, oczywiście, odbędzie się wielka msza z udziałem biskupa i całego dworu, ale ja wolę świętować narodziny Pana z ludem. - Mimochodem wskazał na swoje odzienie. Rzeczywiście, miał na sobie zwykłą pelerynę, niepodobną do szat, które nosił zazwyczaj. - Mamy Wigilię, Aldyth. Nie możesz choć na parę godzin zapomnieć o swej niechęci? Zawrzemy rozejm?

Skinęła głową, choć w jej oczach czała się podejrzliwość.

Na uliczkach miasta napotkali kołędników ubranych w owcze skóry. Przebierańcom towarzyszyli grajkowie, dmący w dudy.

Pozdrowiony bądź, Zbawicielu nasz,
Z daleka szlim do Ciebie, Bo dzisiaj
Noel!

Chwilę później dotarli do kościoła.

- To najstarsza katedra w Rouen. Zbudowana w czwartym stuleciu przez świętego Witrycjusza - po wiedział Ranulf do Aldyth.

Weszli do środka. Dziesiątki płonących pochodni odpędzało mrok nocy. Przy ołtarzu migotały świece na wysokich kandelabrach, wokół rozchodził się zapach kadzidła. W górze huczały dzwony, a w głównej nawie gromadzili się zwykli mieszkańcy Rouen.

Przed ołtarzem stała kołyska, a w niej śpiące niemowlę. Obok klęczała niewiasta w błękitnej szacie i białym welonie. Maria, matka Jezusa. Oczy Aldyth zabłysły na widok stadka zwierząt pilnowanego przez pasterzy. Były tam owce, para wołów, a nawet osiołek.

- Lud wierzy, że zwierzęta ogrzewały Dzieciątko swoimi oddechami - szepnął Ranulf. Aldyth uśmiechnęła się do niego. - Powiadają także, że w dawnych czasach wszystkie stworzenia mówiły po łacinie i że nadal to robią w wigilijny wieczór, jeśli w pobliżu nie ma żadnych ludzi.

Kiedy wracali do pałacu, jęk dzwonów rozbrzmiewał w całym mieście. Nie poszli od razu na kwaterę Ranulfa, ale za zezwoleniem kapitana straży wspięli się na mury i wyjrzeli za blanki.

Ranulf czuł na sobie zaciekawione spojrzenie Aldyth.

- Wiem, jesteś zmęczona i chciałabyś się położyć, lecz pomyślałem sobie, że jest jeszcze coś, co powinnaś zobaczyć.

Położył rękę na jej ramieniu. Wskazał na równinę rozciągającą się pomiędzy pociemniałym miastem a górami mającymi w oddali.

Aldyth aż cicho jęknęła z zachwytu, widząc płonące stosy.

- Wieśniacy budują je na chwałę Chrystusa - powiedział z prostotą.

Zwróciła ku niemu twarz skąpaną w księżycowej poświacie.

- Przecudowny widok, milordzie. Dziękuję.

Wyglądała niczym niezemska zjawa. Tylko obecność Bretończyka sprawiła, że nie pochwycił jej w ramiona i nie obsypał pocałunkami.

- Mogę wam zatem powiedzieć, że pierwszy dzień świąt będzie zarazem ostatnim, jaki spędzimy w Rouen - oznajmił Ranulf, zwracając się do pazia i do giermka.
- Z polecenia księcia Roberta mam się udać z krótką wizytą do jego brata, Henryka Beau-Clerc.

- Wspaniale... - zaczął Urse.

- Nawet nie marzyłem, że tak to się ułoży - przyznał Ranulf. - Od dawna chciałem pojechać do księcia Henryka, lecz nie widziałem, jak to zrobić bez zgody Roberta. Nagle on sam wybawił mnie z kłopotu.

- W takim razie, skorzystam z okazji i poproszę cię o świąteczny подарок, milordzie - rzekł Bretończyk. -

Ale zanim to zrobię, chcę, abyś wiedział, że nie obrażę się w razie odmowy.

Ranulf popatrzył na niego z zainteresowaniem. Urse nie zwykł się wahać ani o coś prosić.

- O co chodzi? Nie zachowuj się jak wystraszony młokos.

- Nie chodzi o mnie, milordzie. Proszę w imieniu Vivienne. Ona... bardzo tęskni za dziećmi. Pomimo świąt wyjechała od nich tak daleko. Okazało się to trudniejsze, niż początkowo przypuszczała. Chciałaby...

- Wrócić do nich? To całkiem naturalne. Dziw brał, że w ogóle postanowiła ze mną jechać. Dam jej pieniądze na podróż, ale pod jednym warunkiem: pojedziecie razem i będziesz się nią opiekował. Znajdź też jakiegoś mnicha po drodze do Winchester. Niech wam udzieli ślubu.

- Dzięki ci za twą łaskę, lecz to zbyt cenne, milordzie. Nie mogę cię opuścić przed końcem zadania. Wsadzę ją na statek i wrócę do ciebie tak szybko, jak to możliwe.

- Nie chcesz się z nią żenić? - W głosie Ranulfa zabrzmiało ostrzeżenie. - Nie igraj z jej uczuciami, mój przyjacielu.

- Nie igram, panie! Chcę ją za żonę, ale...

- Bzdury, Urse. Nie ma żadnego ale. Poradzę sobie. Prawdopodobnie wprost z przylądka wybiorę się do domu. Poza tym mam ze sobą dzielnego pazia Edwarda. - Uśmiechnął się przez ramię do Aldyth. Odpowiedziała mu uśmiechem, chociaż w gruncie rzeczy niewiele rozumiała z całej tej rozmowy.

Urse ociągał się trochę, lecz po pewnym czasie pojął, że jego pan nie zmieni swej decyzji.

- Dobrze, lordzie Ranulfie - westchnął. - Dziękuję... dziękujemy ci z głębi serca. Codziennie będziemy się za ciebie modlić.

- Pierwszego syna nazwij moim imieniem.

Urse zerknął na Aldyth, potem na Ranulfa i uśmiechnął się szeroko.

- Moim zdaniem już wkrótce będziesz miał własnego. Dwóch chłopców o imieniu Ranulf dorastających w tym samym zamku? To chyba lekka przesada, nie sądzisz, mój panie?

Rycerz wydał usta.

- Pleciesz androny, mój giermku.

Wyjechali, tak jak zaplanowano, w drugi dzień świąt. Przez pięć dni pobytu na dworze Roberta Ranulf starał się udowodnić, że jest wiernym poddanym i naiwnym dworakiem, zakochanym w strojach, klejnotach i pachnidłach. Na pozór niczego więcej nie oczekiwał od życia, tylko zabawy. Godzinami siadywał w towarzystwie księcia i prawił mu komplementy. Robert uznał go za niegroźnego głupca i zupełnie otwarcie w jego obecności rozmawiał o swoich planach. To samo czynili wszyscy normandzcy rycerze. Ranulf usłyszał wiele ciekawych spostrzeżeń pod adresem Wilhelma Rudego. Przy okazji dowiedział się, kto naprawdę popierał Roberta, kto przybył do Rouen zniechęcony blaskiem dworu i kto był gotów zdradzić przy nadarzającej się okazji.

Do najzagorzalszych popleczników księcia należał biskup Odo, przyrodni brat Zdobywcy, a zatem stryj Rudego, Roberta i Henryka. Z lekceważeniem wyrażał

się o nowym królu Anglii. Robert mógł także liczyć na Roberta z Belesme, znanego z licznych okrucieństw i rządów twardej ręki, i na Edgara Ethelinga, który chciał przejąć Anglię długo przed podbojem. Każdy z nich marzył o angielskim tronie, lecz skłonni byli do ustępstw, jeden na rzecz drugiego.

Wilhelm Rudy nie wiedział nawet, ile normańskich rodów, od dawna osiadłych w Anglii i w przeszłości bez żadnych warunków wspierających Zdobywcę, przechodziło teraz na stronę Roberta, z pogardą odnosząc się do następcy tronu.

A zatem król nie mylił się, wietrząc zdradę stanu. Jej zapowiedź Ranulf miał tuż przed oczyma. Nie wiedział tylko, jak mógłby powiadomić władcę. Na ile go wtajemniczyć? Po prostu zbyć półsłówkami? Przed wszystkim musiał pomyśleć o swoim własnym panu, który jak dotąd nie ujawnił wszystkich zamiarów.

Ze swojej strony, Robert Krótkonogi nie żądał od Ranulfa natychmiastowych działań. Traktował go po prostu jak dobrego kompana, chętnego do popitki, uczyty i polowań. Wino lało się więc strumieniem, w kuchni wciąż aż wrzało, a damy były gotowe na każde ich skinięcie.

Jednakże tego ranka Ranulf siedział w siodle wielce zamyślony. Od wyjazdu z opactwa, w którym nocowali, powiedział do Aldyth może ze dwa słowa.

- Nie zwierzyłaś mi się, co sądzisz o świętach na książęcym dworze? - zapytał wreszcie. - A może wciąż źle się czujesz po *dedells en burneaux*?

Uśmiechnęła się z poczuciem winy.

- Albo po morświnach. Nigdy przedtem nie jadłam tego i tamtego. A co powiesz o sobie, milordzie? Częściej niż zwykle zaglądałeś do kielicha.

- I gorzko za to zapłaciłem następnego ranka! Przynajmniej dobrze bawiłem się na pantomimie.

- O wiele bardziej podobał mi się wyścig konny i walka na kopie - odparła. - Tym bardziej że pokonałeś wszystkich samochwałów z dworu księcia Roberta.

Ranulf z niesmakiem strzepnął dłonią.

- Nie wiem, czy mi się to opłacało. Na wszystkich świętych, zachlapałem błotem mój najlepszy przyodziełek! - zawołał z emfazą. Ciągłe grał swoją rolę, chociaż coraz częściej, gdy pozostawał sam na sam z Aldyth, przychodziło mu to z dużym trudem. Pusta droga, wijąca się wzdłuż wybrzeża, krzyki morskich ptaków i szum fal skłaniały do szczerości.

Aldyth wyczuła jego nastrój, bo powiedziała:

- Nie bardzo wiem, po co właściwie jedziemy do księcia Henryka.

Ranulf wzruszył ramionami. Chciał być z nią szczerzy, ale ciągle obawiał się jej reakcji.

- Rozkaz księcia Roberta. Mam sprawdzić, czy Henryk wciąż jest mu wierny.

- Tylko tyle? Nie wierzę. W twoim zachowaniu kryje się coś więcej, panie. Przypuszczam, że toczysz skomplikowaną grę. Czy zdradzisz mi, na czym ona polega?

Zdumiała go jej przenikliwość.

- Dobry gracz nie zdradza swoich tajemnic, mój mały pazu - odparł, unikając spojrzenia zielonych oczu.

Mimo to wyczuwał, że na niego patrzy.

- W takim razie, pomówmy o czymś innym. Dlaczego mam być nadal przebrana za pazią? - zapytała.

- Bo wyglądasz na chłopca! Z tak krótkimi włosami nikt nie uwierzy, że jesteś dziewczyną - odpowiedział i zaraz tego pożałował. Zauważył, że zrobiła zagniewaną minę.

- Nic nie poradzę na to, że rosną aż tak wolno! A poza tym w przeszłości nosiłam woalkę albo krótki welon. I tak ich nikt nie widział - przypomniała.

Potem jednak dodała z humorem:

- Zawsze można powiedzieć, że to nowa angielska moda.

Spowaźniała.

- Skoro lady Vivienne pojechała do domu, sama mogłabym zagrać rolę twojej kochanki. Mam już dość tych chłopięcych ubrań, mówienia basem i pilnowania się na każdym kroku.

Ranulf uśmiechnął się do siebie. Bawiło go, że wśród liczного zastępu rycerzy i dworzan tylko on jeden wiedział, kim naprawdę jest domniemany Edward.

Nie możesz, miła, udawać mojej kochanki, ubierać się w piękne suknie i robić słodkich min, bo rzeczywiście chciałbym mieć cię tylko dla siebie, pomyślał, lecz nie powiedział tego na głos. Zaraza na tego Turol-da...

- Powiem ci, dlaczego musisz pozostać paziem. Mówiłem to już zresztą przed wyjazdem z Rouen. Nie dowierzam księciu Henrykowi. To uwodziciel. Gdybyś udawała moją nałożnicę, nie widziałbyś żadnych prze-

szkód, by z tobą flirtować. Nie mógłbym mu się sprzeciwić, bo ma nade mną władzę. Chcesz tego?

Stanowczo pokręciła głową.

- Nie. Z twoich słów wynika, że to prawdziwy potwór.

- Skądże - zaprzeczył Ranulf, chociaż miał w pamięci podobny wypadek związany z księciem Henrykiem przed kilkoma laty. Wolał nie ryzykować, zwłaszcza gdy chodziło o Aldyth. - To człowiek wspaniałych zalet i wyśmienity strateg. Niestety, od młodości musiał słuchać braci. Kupił własne księstwo za brzęczącą monetę, bo tylko srebro dostał w jedynym spadku po ojcu. Wilhelm Zdobywca całą ziemię rozdzielił pomiędzy Rudego i Roberta. Henryk przywykł zatem brać, co mu się nawinie. Dotyczy to też niewiast.

- A jednak zamierzałeś zabrać lady Vivienne - zauważyła.

- Owszem. - Ta mała szelma miała więcej rozumu w głowie niż niejeden klecha! - Vivienne ma więcej doświadczenia i umie się obronić.

- A ja nie umiem?! - krzyknęła Aldyth, dotknięta do żywego. - *Grand merci*, milordzie, za wiarę w moje siły!

Wbiła pięty w boki kuca i pognęła naprzód, do zamku księcia Henryka.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Ranulf z Kingsclere! Dobrze cię znów widzieć! - zawołał książę, idąc przez dziedziniec. Ranulf i Aldyth pomału zsiadli z koni. - Słyszałem, że jesteś w Rouen, więc miałem nadzieję, że i do mnie zawitasz!

Ranulf skłonił się nisko.

- Rad jestem ze spotkania z tobą, mój książę.

Henryk uściskał go serdecznie.

- Tak mały orszak? - zapytał ze zdumieniem. - Podróżujesz wyłącznie z paziem? - Wskazał na Aldyth. - A gdzie twój ogromny Bretończyk?

- Edwardzie, przestań się gapić i powitaj księcia tak, jak cię uczyłem - rozkazał Ranulf.

Aldyth zaczerwieniła się. Przyklęła na kolano i pochyliła głowę. Rzeczywiście, przez chwilę wpatrywała się w księcia, zaskoczona jego widokiem. Był zdecydowanie najprzystojniejszy z trzech pozostałych przy życiu synów wielkiego Zdobywcy.

- Książę Henryku, mam zaszczyt przedstawić ci Edwarda z Pevensey, mojego pazią, który - jak sam widzisz - wciąż jeszcze nabiera ogłady - z przekąsem rzekł Ranulf. - Giermek Urse zakochał się z wzajemnością w mojej nałożnicy - dodał - i poprosił ją o rękę. Wysłałem ich do Anglii, by wspólnie świętowali nade-

jście Nowego Roku. Sam zostałem z tym oto młoko-
sem, który mi towarzyszył w wyprawie do Rouen i tu-
taj.

Poklepał Aldyth po głowie.

- Żwawo nam się jechało - dodał ze śmiechem.
Aldyth zerknęła na niego ukradkiem. Czekał, ryce-
rzyku, jeszcze dostaniesz za swoje!

- I nie dbasz o to, że zwykły giermek skradł ci *chere
amie*? Nie wyglądasz na zgnębnionego. To wyśmienicie,
bo na moim dworze znajdziesz niejedną okazję do za-
spokożenia swoich namiętności. Zostaniesz z nami na
Nowy Rok. Cudownie!

- Zawsze chętnie przebywam na twoim dworze, pa-
nie - powiedział Ranulf. - Niech mi też będzie wolno
złożyć ci spóźnione gratulacje z okazji przyłączenia
całkiem nowych włości. Jak się czujesz jako hrabia Co-
tentin i Avranches?

Obaj wyraźnie zapomnieli o Aldyth. Ona zaś jeszcze
raz spojrzała na Henryka. Był wyższy od ojca i obu
starszych braci, lecz niższy i bardziej krępy niż Ranulf.
Miał jasne włosy i regularne rysy.

- Zawsze jestem kontent, kiedy moje dobra powięk-
szają się o nowe ziemie. Jak wiesz, w przeszłości nie
miałem niczego, tak bowiem zarządził mój wspaniały
ojciec. Księstwo sam zdobyłem. Odległy przylądek na
krańcach Normandii to jeszcze nie koniec moich ocze-
kiwań. Wiesz o tym doskonale.

Wyszczrzył zęby w wilczym uśmiechu i błysnął
szarymi oczami.

Ranulf niepewnie popatrzył na Aldyth.

- Jak zwykle otwarcie stawiasz sprawy, księżę. Pozwól, że odeślę pazia z bagażami.

- Nie trzeba. Służba się tym zajmie. Chłopak na pewno chciałby chociaż przez jeden dzień poczuć się rycerzem. Nieprawdaż, Edwardzie?

Przyjacielskim ruchem poklepał Aldyth po ramieniu.

- T-tak, mój panie - wyjąkała i nisko opuściła głowę, aby szare oczy nie spostrzegły zbyt wiele.

- Bardzo dobrze. Gdzież się lepiej nauczysz praw rządzących tym światem, niżli słuchając naszych rozmów? Mam rację, Ranulfie? Ale zimno się robi, wiatr dmie znad Kanału. Chodźmy zatem do sali.

Wprowadził ich do zamku i posadził przed wielkim kamiennym kominkiem. Trzy obecne tam damy z zaciekawieniem spojrzały na Ranulfa i pazia. Księżę odpuścił je ruchem ręki.

- Wybaczcie nam, drogie panie, lecz chcemy zostać sami. Mamy do omówienia sprawę wielkiej wagi. Obiecuję, że potem, za moim przyzwoleniem, dużo lepiej poznacie mojego wasala, którego darzę najgłębszym zaufaniem.

Damy zachichotały, zebrały swoje robótki i czym prędzej opuściły salę.

Aldyth rzuciła bystre spojrzenie na Ranulfa, lecz nic nie mogła wyczytać z jego twarzy, która przybrała nieodgadniony wyraz. „Wasal, którego darzę najgłębszym zaufaniem”? A cóż to znaczy? Wszak Ranulf był człowiekiem króla. A może sprawy mają się inaczej? Komu tak naprawdę służył?

- Powiedz mi zatem - zagaił Henryk, zająwszy

miejsce w fotelu - co tam dobrego słycać u mojego brata?

Ranulf nabrał tchu w płuca.

- Jeśli mam być zupełnie szczery, mój książę...

- Zawsze tego od ciebie wymagałem, Ranulfie - sucho zauważył Henryk.

- Szczerłość też miewa swoje granice, książę. Czasami trudno je przekroczyć. Brat twój oddaje się przyjemnościom ciała, zapominając o obowiązkach, jakie na nim ciążyą jako władcy. Wino, kobiety i śpiew królują na dworze w Rouen. Zanim wyjechałem, zaczęli tam ściągać liczni baronowie - nawet ci, którzy w tym czasie powinni być w Anglii, u boku króla Wilhelma.

- Nie, Ranulfie, źle mnie zrozumiałeś. - Henryk machnął dłonią. - Nie chodziło mi o Roberta. Dobrze wiem, co się u niego dzieje. W swojej naiwności sam mi to opowiada. Słyszałem też o rebelii, którą zaplanował. Chciał, żebym się do niej przyłączył. Dziwi cię to? Podejrzewam, że przysłał cię tu na przeszeptegi.

Ranulf skinął głową, zbity z tropu zachowaniem księcia.

- Powiedz mu zatem to, co chce usłyszeć. Popieram go całym sercem, duszą i trzosem. A raczej popierał bym, gdybym miał pełno w trzosie. Pytałem o mojego królewskiego brata, Wilhelma Rudego. Jakże się miewa?

Aldyth ze zdumieniem patrzyła na Henryka. Jak można tak zimnym, obojętnym tonem mówić o najbliższych krewnych? Sama często kłóciła się z Godrikiem,

ale nigdy go nie przestała kochać. Najwyraźniej uczucia książąt mierzy się inną miarą.

- Jest zdrow, mój książę, chociaż podejrzewa, że Robert rzeczywiście spiskuje przeciwko niemu. To z jego polecenia przybyłem do Rouen. Ciebie jednakże nie wymienił.

- Choć oczywiście wie, że skorzystam z każdej sposobności, aby go zrzucić z tronu - z namysłem powiedział Henryk.

Złączył koniuszki palców i nie widzącym wzrokiem zapatrzył się w przeciwległą ścianę.

- Och, Ranulfie! Niezła z nas rodzinka. Mówię o synach Wilhelma Bastarda i Matyldy. Ty przecież nie spiskowałbyś przeciw własnemu bratu, a on także nie zamierzałby siłą przejąć twojego dziedzictwa.

Aldyth pomyślała o młodszym bracie Ranulfa Richardzie, który był giermkim na dworze earla Chester.

- Nie, mój panie, ale nam nie dano w spadku księstwa ani królestwa. Nawet hrabstwo nie jest dla nas dostępne - dyplomatycznie odpowiedział Ranulf.

- Masz rację. Wojujemy z sobą, ale cóż zrobić, kiedy władca ma zbyt wielu synów? Jeden z nas zapewne mógłby zostać biskupem, ale który? Ja się do tego na pewno nie nadaję. Za bardzo lubię żarty. Pamiętasz, jak wyleliśmy kocioł na głowę biednego Roberta?

Ranulf odrzucił głowę i wybuchnął śmiechem. Aldyth patrzyła w niego jak urzeczona.

- Na miły Bóg, zapomniałem! - zawołał, klepiąc się w kolano.

- Twój paż zezuje na nas, jakbyśmy mieli po dwie

głowy - zauważył Henryk. - Opowiem ci o tym, chłopcze. Pewnego razu, kiedy wszyscy byliśmy dużo młodszy, twój pan, wraz ze mną i Wilhelmem Rudym, zaczęliśmy się na Roberta, żeby dać mu lekcję z elegancji. Nie mogliśmy na niego patrzeć, zwłaszcza wówczas, gdy paradował w szkarłatnym jedwabnym płaszczu.

Przerwał wyczekująco.

- T-tak, mój panie - powiedziała z wahaniem, nie pewna, czy ma się roześmiać.

Ranulf nawet teraz bawił się tym wspomnieniem. W jego oczach tańczyły wesołe ogniki.

- I tak to się zaczęło. - Henryk pokiwał głową. - Ośmieszyliśmy brata na oczach przyjaciół, ale ojciec nas nie ukarał w dostateczny sposób. Robert przez kilka dni chodził obrażony.

- Nie wspomniał o tym ani słowem, gdy byłem w Rouen - przypomniał sobie Ranulf.

- Już to powinno cię przekonać, że albo zapomniał o twoim udziale, albo jest najzwyklejszym głupcem. Lecz dość o moich braciach. Jak się czujesz w roli eleganckiego, znudzonego światowca i bawidamka?

Ranulf nie patrzył na Aldyth. Zrobił tragiczną minę i powiedział zdławionym tonem:

- Och, mój książę! Nie masz pojęcia, jakie to męczące tak bez przerwy nadażać za modą na królewskim dworze. A te ciągłe wydatki! Tutaj gruby aksamit, tam mięciutki jedwab.

Henryk zadudnił śmiechem i klasnął w dłonie.

- Cześć ci i chwała, Ranulfie! Świetny z ciebie aktor!

- Zapewniam, książę, że bywają chwile, gdy mam serdecznie dość tego ustawicznego udawania. Cieszę się, że pod twoim dachem nie muszę odgrywać roli... Jesteś zupełnie pewien swoich ludzi?

- Najzupełniej. Większość z nich towarzyszy mi od początku. Nie musisz się ich obawiać. Ubieraj się, jak zechcesz i po prostu bądź sobą. A teraz wybac. Opuśćcie cię, a spotkamy się na wieczery. Kazałem przygotować kąpiel w twojej kwaterze. Być może zechcesz nawet odgrywać dotychczasową rolę, bo mam dla ciebie małą niespodziankę.

Uśmiechnął się tajemniczo i wyszedł.

- Jesteś bardzo milcząca, Aldyth - powiedział Ranulf, stojąc przy strzelnicy. Spoglądał na białe fale, rozbijające się o skały w gasnącym świetle zmierzchu. - Żałujesz, że przyjechałaś ze mną do Cotentin? Mogłaś wracać do Anglii, z Vivienne i jej ukochanym. Sądziłem jednak, że czułabyś się mocno skrepowana. Troje to tłum, gdy w grę wchodzi prawdziwe uczucie.

Aldyth uniosła głowę znad tuniki, którą rozprostowała po wyjęciu z kufra.

- Nie chciałam wracać do Anglii, milordzie.

Odwróciła głowę. Na dole Ranulf unikał jej wzroku; teraz wciąż patrzył jej prosto w oczy.

- Od czasu gdy opuściliśmy Rouen... odkryłam, że cię prawie nie znam, milordzie.

Milczał przez chwilę, pocierając brodę.

- Porzućmy ceregiele, kiedy jesteśmy sami, Aldyth. Jestem Ranulfem. Tym samym, który próbował wyłowić twoją wstążkę. Po co ciągle powtarzasz „milordzie”?

Czekał.

Rozłożyła ubrania na łóżku i odwróciła się. Miała wrażenie, że stoi na krawędzi przepaści.

- Tym samym? Nie wiem, kim jesteś. Przybyłam do Kingsclere, żeby znaleźć tego Ranulfa, którego zachowałam we wspomnieniach, a zastałam kogoś tak zupełnie innego, że niemal obcego. Ledwie cię rozpoznałam. Stałeś się wymuskany dworzaninem króla, dziwnie ubranym i zachowującym się w sposób, który nie przystoi dzielnemu rycerzowi. Potem, w Rouen, od razu zostałeś przyjęty w poczet doradców Roberta. Dzisiaj widzę cię w dobrej komitywie z Henrykiem, który wcale nie kryje swoich zamiarów wobec obu braci. Wrócisz zatem na dwór królewski, by powiedzieć Rudemu, co się dzieje w Normandii?

- Nie - odparł stanowczym tonem.

Popatrzyła na niego z zaskoczeniem.

- Nie będę się zwierzał królowi - wyjaśnił Ranulf.

- Ścisłej rzecz biorąc, powiem mu tylko to, co, moim zdaniem, powinien usłyszeć. Wierność przysięgałem tylko Henrykowi.

- Dlaczego?

Teraz on się zdumiał jej pytaniem. Spojrzał w wąską strzelnicę.

- Dorastaliśmy razem we włościach jego ojca - zaczął ściszym głosem. - Ale nie chodzi tylko o to. Po-

pieram go, bo wydaje mi się najlepszym kandydatem na króla Anglii. Nie jest głupi jak Robert ani złośliwy jak Wilhelm. Z nich trzech ma najwięcej wiedzy i wyobraźni.

- Lecz jest okrutny. To ci nie przeszkadza?

- Wiele spostrzegłaś przez krótki czas - rzekł z uznaniem. - Nie miał wyboru. Jest synem Zdobywcy. Stary król, gdyby choć raz w życiu okazał najmniejszą słabość, jako bękart zostałby odsunięty przez resztę rodziny. Henryk zaś byłby przez wszystkich zapomnianym trzecim synem wielkiego władcy. Nic by przez to nie zyskał - a stracił bardzo wiele. On jest Anglikiem, Aldyth. Jedynym z synów Zdobywcy urodzonym na Wyspach. Nie czujesz tego? A może wolisz któregoś ze zramolałych Sasów, choćby takich jak Edgar Etheling?

- Jakie to ma znaczenie, co ja naprawdę czuję? - zapytała, patrząc mu prosto w oczy. Zrozumiała po dłuższej chwili. - W gruncie rzeczy, chcesz spytać, czy cię przypadkiem nie zdradzę?

Stał w milczeniu i czekał na jej dalsze słowa.

- Boisz się, że rozpowiem o twojej tajemnicy! - krzyknęła. - Naprawdę znasz mnie tak mało? Niby przed kim miałabym cię zdradzić, milordzie?

Uniósł dłoń.

- Nie wiem, w co wierzysz, Aldyth. Jesteś Angielką. Twój brat nie kryje niechęci do Normanów.

- A ja mu ciągle powtarzam, że jest skończonym głupcem! - zawołała. - Co mnie może obchodzić, czy na angielskim tronie zasiada król czy sułtan? Niech się nawzajem pozabijają. Niech zasiądą pospołu wszyscy

trzej synowie. Nie dbam o to, Ranulfie. Nie ścierpię jedynie twoich dziwnych podejrzeń, że mogłabym cię zdradzić.

- Skrzywdziłem cię.

Podszedł bliżej i wyciągnął ramiona.

- Nie chciałem, Aldyth. Zbyt długo grałem tę rolę. Nawet moi rodzice nie znają całej prawdy. Wolałem ich w to nie mieszać.

Uciekła. Stała za łóżkiem. Już raz ją pocieszał, i co z tego wynikło?

- No dobrze. Przyznaję, że w tych szczególnych okolicznościach miałeś prawo nikomu nie ufać. W tym i mnie. Teraz jednak powtarzam: nigdy cię nie zdradzę. Możesz być pewien, że potrafię dochować tajemnicy.

- Dziękuję. - Chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz w tej samej chwili ciszę wieczoru przerwał trzykrotny dźwięk rogu.

- Pora na wieczerzę, milordzie. Przebierz się jak najszybciej. Książę wyraźnie mówił, żebyś się nie spóźnił.

Aldyth, przekonana, że na zamku księcia Henryka nie czekają jej żadne kłopoty i że nie spotka pazia w rodzaju Grubego Louisa, poszła w ślad za Ranulfem do wielkiej sali. Przyglądała mu się spod oka, pęczniejąc z cichej dumy.

Ranulf ubrał się bowiem w powłóczystą szatę z szarego aksamitu, zdobioną srebrnym angielskim haftem. Haft, nawiasem mówiąc, wyszedł spod rąk Aldyth. Pod cienką tkaniną wyraźnie przeżyły się węzły mięśni. Smukłe biodra otoczył metalowym pasem, a na nogi

włożył miękkie i gustowne ciżmy - bez zawiniętych nosków, tak popularnych na dworze Wilhelma Rudego. Najprzystojniejszy w całym zamku, z satysfakcją pomyślała Aldyth. Przystojniejszy niż Henryk, chociaż mniej popularny.

Minęli grono rycerzy i pięknych dam, aż wreszcie dotarli do najwyższego stołu. Ranulf zajął miejsce w kunsztownie rzeźbionym fotelu, po prawicy księcia. Następny fotel pozostał pusty. Aldyth oczami wyobraźni widziała siebie samą, jak we wspaniałej sukni siada obok Ranulfa. Niestety, były to tylko marzenia.

- Och, jesteś już Ranulfie - zagaił książę. - A zatem możemy zaczynać. Lecz na samym wstępie muszę ci się przyznać, żeś mnie mocno zmartwił wieścią, że tak łatwo pozbyłeś się - o ile dobrze pamiętam imię - Vivienne na rzecz swojego giermka. To nie uchodzi, żebyś samotnie spędzał najradośniejszą porę roku. Przygotowałem więc nagrodę za twoje cenne usługi.

Strzelił palcami i wskazał w stronę gobelinu zakrywającego ścianę.

Z ukrytej alkowy wyłoniło się prawdziwe zjawisko. Aldyth wstrzymała oddech, żeby nie jęknąć z zachwytu i zazdrości.

Dama nieziemskiej urody posuwistym krokiem podpływała w stronę Ranulfa.

- Lordzie Ranulfie z Kingsclere, przedstawiam ci lady Desideratę - ogłosił książę Henryk. - Desiderata znaczy „godna pożądania”. To chyba odpowiednie imię, *hein*?

Parsknął śmiechem na widok zdumienia rycerza.

Lady Desiderata miała jasną cerę, która kontrastowała z burzą ognistorudych włosów, opadających jej na ramiona. Lekko rozchyliła pełne i zmysłowe usta, ukazując rząd drobnych białych zębów, i zmrużyła szarozielone oczy.

Kocie oczy, pomyślała Aldyth. Serce zamarło jej w piersi. Była przekonana, że Ranulf nie oprze się takiej piękności. Desiderata miała na sobie srebrzystą, obcisłą suknię, uwydatniającą jej kuszące kształty.

- Lordzie Ranulfie, witam cię w Cotentin - powiedziała zmysłowym, lekko schrypniętym głosem, przy tym imię rycerza wymówiła pieśczośliwie. - Z rozkazu mego pana chętnie spełnię każde twoje życzenie. Chciałabym, abyś pobyt tutaj wspominał z prawdziwą przyjemnością.

Ranulf milczał. Aldyth kurczowo zaciskała dłonie na brzegach tacy z mięsiwem. Rycerze Henryka głośno wyrazili aprobatę. Ranulf z nieruchomą twarzą przypatrywał się stojącej przed nim pięknej damie.

- Nie wątpię - rzekł wreszcie, co wywołało nową falę okrzyków przy stołach. Lady Desiderata wciąż stała z tajemniczym uśmiechem.

- No, nie siedź tak, człowieku! Tyle czasu przebywałeś na dworze mojego kochanego brata, że zupełnie zapomniałeś o manierach? Zaproś damę do stołu!

Ranulf drgnął, jakby obudzony z transu.

- Oczywiście, mój panie. Nie wierzę własnym oczom. Czy zaszczycisz mnie swoim towarzystwem, pani?

Skłonił się i wskazał pusty fotel. Desiderata wdzięcznie skinęła kształtną główką i zajęła wskazane miejsce.

Aldyth wpadła w czarną rozpacz. Przestała zważać na to, co robi, i upuściła trzymaną w rękach tacę.

Cichy brzęk zniknął w głośnym ujadaniu sfory psów, które rzuciły się w jej stronę, żeby porwać leżące na podłodze kawałki mięsiwa. Hałas sprawił, że dziesiątki par oczu spojrzało w jej stronę. Ona zaś, wystraszona i mocno zmieszana, nie odważyła się podnieść wzroku na Ranulfa.

- Bierz to, głupcze - syknął główny paź, odbierając drugą tacę z rąk przechodzącego sługi. - Idź do stołu.

Goście siedzący obok księcia zdawali się nie dostrzegać całego wydarzenia. Aldyth usłyszała, jak Henryk powiedział:

- Dobrze wybrałem, prawda? Wiedziałem, że Desiderata ci się spodoba.

Aldyth miała ochotę wylać mu na głowę pełny kielich wina. Księżę przypominał jej teraz leniwego kota, bawiącego się schwytaną myszą. Sęk w tym, że jeśli Ranulf chciał grać rolę myszy, to w pełni zasługiwał na to, by zostać pożarty.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Następnego ranka Ranulf cicho wymknął się z komnaty. Nie chciał obudzić Aldyth. Wybierał się z Henrykiem na łowy z sokołami. Zszedł na dół, lecz nie zastał księcia w wielkiej sali. Z ulgą stwierdził, że nie ma tam też rudowłosej Desideraty. Od służby dowiedział się, że Henryk wcześniej zjadł śniadanie i poszedł do ptaszarni. Ranulf przełknął więc trochę chleba, popił rozwodnionym winem i śpiesznie wyszedł na dziedziniec.

Zobaczył osiodłanego konia. Na drugim siedział Henryk, w myśliwskim stroju, z sokołem na ramieniu.

- Dzień dobry, Ranulfie! Jak ci się podoba mój najnowszy nabytek? Prawdziwy skarb, nieprawdaż?

Skarbem był krogulec o śnieżnobiałej piersi, przytkanej czarnymi piórami. Na głowie miał kunsztownie wykonany kaptur, a przy szponach - pęk małych dzwoneczków.

- Piękny, prawda? Wart kogoś godniejszego niż zwykły książę - roześmiał się Henryk. - Powinienem być nieco skromniejszy. Ale nie mogłem się oprzeć.

- Wcale ci się nie dziwię, panie - powiedział Ranulf. - Rzeczywiście piękny.

Wiedział, że spotkał go nie lada przywilej obserwowania takiego ptaka w akcji.

Na dźwięk jego głosu krogulec niespokojnie poruszył głową i szeroko rozłożył skrzydła.

- Nie zna cię - wyjaśnił Henryk. - Sam ją trenowałem. Ma na imię Walkiria i dostałem ją aż z Norwegii. Hmm... - mruknął, spoglądając na wejście do zamku. - Ciekawe, co zatrzymało Desideratę? Powinna przyjść już dawno.

- Jedźcie z nami? To... obiecujące - rzekł Ranulf.

Miał nadzieję, że nie zdradził swoich prawdziwych uczuć. Sam się sobie dziwił, że obecność pięknej kurtzany nie wzbudza w nim ani krzty entuzjazmu. Poprzedniej nocy Desiderata zaprosiła go do siebie. Wspominała o grzonym winie i innych przyjemnościach.

Jeszcze niedawno uległby jej bez wahania. Teraz powiedział tylko, że jest mocno zmęczony uciążliwą podróżą z Rouen i że nie byłby dobrym kompanem. Potem wspomniał, że lepiej będzie, jak wróci do własnej komnaty. Nie dodał „sam”. Nie musiał.

Co się z nim działo? - zastanawiał się niemal do rana. Przecież niewiasta taka jak Desiderata nie oczekiwała od niego nic więcej prócz wspólnej nocy i paru srebrnych monet, rzuconych rano na poduszkę. Stanowiła dobre remedium na kłopoty, których mu przysparzała Aldyth. A jej ciało tchnęło obietnicą iście niebiańskich rozkoszy.

Niestety, nic do niej nie czuł.

- Byłem pewien, że zechce nam towarzyszyć - powiedział książę Henryk. - Podobasz jej się.

W ostatnich słowach czał się lekki wyrzut.

- Ciekawe dlaczego? - kwaśno zapytał Ranulf. -

Obawiam się, że podczas wczorajszej wieszery siedziałem sztywno, jakbym kij połknął. Byłem ledwie żywy po długiej podróży.

- Tak jej też powiedziałem - odparł Henryk. Zatem wiedział już o porażce pięknej kurtyzany. Zapewne od niej samej. - Biedaczka była przekonana, że straciła swój cały powab.

Ranulf powstrzymał się od ciętej uwagi. Co innego prezent w postaci nałożnicy, a co innego złośliwe przytyki. Henryk bez wątpienia miał dobre intencje, lecz nie powinien wywierać zbyt wielkiego nacisku. Choć z drugiej strony, skąd miał wiedzieć, co się naprawdę dzieje w skołatanej duszy przystojnego rycerza. Przecież nawet sam Ranulf dotąd tego nie wiedział. Zawsze był wesół i skory do dobrej zabawy. Ale to było przedtem, zanim Aldyth na nowo zawładnęła jego wyobraźnią.

- Powiem jej, że to była wyłącznie moja wina - uspokoił księcia i dosiadł wierzchowca.

- Nie obudziłeś mnie, milordzie - zabrzmiał nagle czyjś głos, mniej więcej na wysokości jego prawego kolana. - Szukałem cię i nie mogłem znaleźć.

Spojrzał w dół i zobaczył Aldyth.

- Och, to ty, mój mały śpiochu! - zawołał z udanym rozbawieniem. - Nie przejmuj się. Wiedziałem, że jesteś zmęczony. Jak widzisz, sam zdołałem się rano oporządzić.

Henryk nie widział jej, ponieważ stała zasłonięta koniem. Mogła więc sobie pozwolić na złośliwą minę.

- Nie zasłużyłem na tak dobrego pana, milordzie. Jedziesz na polowanie?

- Tak - odparł i ruchem głowy wskazał na krogulca przycupniętego na ramieniu księcia. - Masz wolne, póki nie wrócę, Edwardzie. Przygotuj mi jakieś odpowiednie stroje na dzisiejszy wieczór.

- Tak jest, lordzie Ranulfie. - Opuściła wzrok. - Szczęśliwych łowów, panowie.

Odwróciła się, żeby odejść, lecz ksiązę zawołał za nią:

- Hej, chłopcze! Edwardzie, prawda?

- Tak, panie?

- Przy okazji znajdź mi lady Desideratę. Miała do nas dołączyć już dobrą chwilę temu. Jeśli nie znajdziesz jej w wielkiej sali, idź do zachodniej wieży. Jej komnata mieści się na najwyższym piętrze. Pośpiesz się! Chcemy wyruszyć jak najprędzej.

- Tak jest, mój panie. - Aldyth złożyła głęboki pokłon Henrykowi, lecz jej spojrzenie było jak gradowa chmura.

- Zaborczy młokos, nieprawdaż? - zauważył ksiązę, uśmiechając się do Ranulfa. - Nie pozwala ci nawet samemu się ubierać.

- Czasami dostaje w skórę, bo przesadza - od niechcienia odpowiedział rycerz. - Zhardział w czasie naszych podróży po Normandii. Wydaje mu się, że złapał pana Boga za nogi, bo mój drugi paż został na zimę w Anglii. Kiedy wyjechał Urse, nadał się jeszcze bardziej. Wciąż muszę mu przypominać, gdzie jego właściwe miejsce.

Henryk pokiwał głową.

- Tak to już bywa w dzisiejszych czasach. Z harde-

go pazia wyrasta nieposłuszny giermek, a potem chwiejny rycerz. Lecz wracając do Desi...

- Desi?

- Tak ją nazywam. Nie od dzisiaj wiesz przecież, że mój zamek bywa schronieniem dla młodych wdów, które w zasadzie powinny iść do klasztoru, lub *demoiselles*, obdarzonych przez los nieślubnymi dziećmi i przez to wyklętych z rodziny. Desiderata jednak nie należy do żadnej z tych kategorii. Uratowałem ją od ślubu ze starym capem, niegodnym imienia rycerza. Porwał ją, kiedy niemądrze zbiegła z zamku swojego ojca. W podzięce została przy mnie. Nie, już od dawna nie jest moją kochanką - dodał książę, widząc nieme pytanie w oczach Ranulfa. - O ile mnie pamięć nie myli, gustujesz w pięknych kobietach. W dodatku jesteś mi przyjacielem, a ja nie żartuję z przyjaciół. Bierz ją śmiało. Na pewno się nie zawiedziesz.

Ranulf skrzywił się nieco, słysząc otwarte wyznanie, że książę Henryk traktuje niewiasty trochę jak sułtan zastępny niewiernych.

- Nie zwykłem zadawać się z kobietami, które przychodzą do mnie kierowane wyłącznie wdzięcznością.

- Pleciesz bzdury, mój dobry rycerzu. Nie zaliczaj do nich Desideraty. Wcale nie była dziewicą w dniu, kiedy tu trafiła. Zna się na sztuce miłości. To urodzona kurtyzana, Ranulfie. Prędzej czy później przyprawi rogi każdemu, kto ją poślubi. Nie chciała tamtego starca, o którym ci wspominałem, bo próbował ją zgwałcić bez żadnych ceregieli. - Henryk uśmiechnął się lekko. -

Nie bądź mnichem, Ranulfie. Bierz ją i ciesz się życiem!

Na szczęście Ranulf nie musiał odpowiadać, gdyż w tej samej chwili na dziedzińcu ukazała się owa dama.

Wyszła zresztą w iście teatralnym stylu.

- Moi panowie! - zawołała z emfazą. - Kazałam wam czekać? Och, jakże mi przykro!

Podeszła do nich miękkim kocim krokiem. Miała na sobie suknię do konnej jazdy, ze szkarłatnego aksamitu. Ranulfowi przypominała gorejący płomień.

Ze stajni sprowadzono pyszną klacz siwej maści. Desiderata nie dosiadła jej od razu, ale na chwilę zatrzymała się przy Ranulfie. Z leniwym rozbawieniem położyła mu rękę na udzie.

- Wypocząłeś, milordzie?

Skinął głową. Miał ochotę zaciąć swojego rumaka i pogalopować gdzieś w pole, byle się uwolnić od jej ręki.

- Z tego co widzę, ty także dobrze spałeś, pani.

I co dalej? Mimochodem spojrzął w stronę zamku, jakby spodziewał się, że zobaczy Aldyth. Na szczęście jej nie było.

- Wskakuj na siodło, Desi! - niecierpliwie zawołał księżę Henryk. - Walkiria zaczyna się wiercić. Potem będzie czas na pieszczoty!

Dama wydeła usta, lecz posłusznie dosiadła klaczy. Przez chwilę, zanim poprawiła suknię, Ranulf widział jej smukłą i kształtną nogę.

Odjechali. Z okna na piętrze wieży zniknęła drobna twarz okolona krótką grzywką kasztanowych włosów.

Trzasnęły gwałtownie zamknięte okiennice. Stukot kopyt pomału ucichł na dziedzińcu.

Wrócili po kilku godzinach. Ranulf znalazł Aldyth siedzącą przy kominku. Machinalnie głąskała wielkiego ogara z licznej sfory Henryka.

- Dzień dobry, Edwardzie. Jakże ci minął ranek? - za pytał rycerz, spod oka przypatrując się jej smutnej twarzy.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Niewiele miałem do roboty, milordzie.

Znacząco popatrzyła na Desideratę, która właśnie przyjęła z rąk księcia kubek wina.

- A jak tam dama? Zadawalona z przejażdżki?

Mówiła obojętnym, wręcz beznamiętnym tonem.

Ranulf, choć obserwował ją uważnie, nie dostrzegł nic niestosownego. Żadnych uśmieszków ani drwiny ukrytej w dwuznacznikach.

- Moim zdaniem ma w nosie łowy - odparł wymijająco. - Lecz powinienesz widzieć krogulca księcia Henryka! Jak wbiła szpony w czapkę lecącą nad bagnami! To istna błyskawica!

Wykonał szybki ruch ręką, naśladowujący lot drapieżnego ptaka.

Aldyth wreszcie się uśmiechnęła.

- Wyobrażam sobie, milordzie. Pewnie chciałbyś mieć tutaj swojego sokoła z Kingsclere. Jak on się zowie? Karol Wielki?

- Dobrze pamiętasz. Karol Wielki. Dobrze ptaszysko, ale obawiam się, że nie sprostałby podopiecznym księcia.

- Phi! Oto mężczyźni! - parsknęła lady Desiderata.
- Żądni krwi. - Ujęła Ranulfa pod ramię i zatrzepotała rękami. - Kochasz jedynie krew i pożogę. A gdzie miejsce na czulsze i delikatniejsze rzeczy?

- Choćby takie jak ty, piękna Desi? - dokończył za nią Henryk. Stał przy kominku, żeby ogrzać dłonie.

Zrobiła zalotną minę.

- Być może - powiedziała wymijająco, lecz Ranulf zauważył, że obserwowała go spod wpołprzymkniętych powiek.

Łatwiej mu szło podczas polowania, bo - wpatrzony w wyczyny krogulca - nawet nie musiał zbyt pilnie opędzać się od zalotów. Teraz jednakże z niepokojem myślał o zbliżającym się wieczorze. Nie wiedział, jak uniknąć czegoś, co niedawno uważał za zabawę.

Desiderata jednak wcale nie zamierzała czekać do wieczora. Po posiłku spytała:

- Nie zażyłbyś kąpieli, milordzie? Na pewno bolą cię mięśnie po naszej rannej wyprawie. Każę ci nagrzać wody i przynieść olejku z drzewa sandałowego. Wyszoruję ci plecy... i odpoczniesz sobie - dodała z porozumiewawczym mrugnięciem.

- Och, nie kłopotz się, pani - westchnął Ranulf. - Na pewno masz inne zajęcia. Jeśli chcesz, każ zagrzać wodę. Resztą zajmie się Edward. Zrobisz to dla mnie, mój chłopcze?

Desiderata zmarszczyła brwi, Henryk omal się nie zakrztusił, Aldyth zaś wyjąkała z trudem:

- Jak sobie życzysz, milordzie.

W drodze na górę Ranulf zrozumiał nagle, że wpadł

we własne sidła. Przecież Aldyth nie mogła mu asystować przy kąpieli! Miałaby dotykać jego ciała? Widzieć go nagiego? Co on najlepszego wyprawia! W obecności Aldyth nie zapanuje nad swym pożądaniem! A ona popatrzy na niego i od razu przypomni sobie o Turoidzie. Ucieknie, zdjeta strachem.

- Możesz odejść, Aldyth - powiedział, kiedy posługacze wnieśli dębową balię i dzbany z gorącą wodą. - Niepotrzebna mi pomoc.

- Ależ Ranulfie... Zamarł, ściągając koszulę.

- Mam ci przysłać lady Desideratę?

- To nie będzie konieczne.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- W takim razie zostanę. Przywykłam do takich za dań. Cóż... nieraz pomagałam mężczyznom w kąpieli. Gościom mojego ojca.

Ranulf zaklął w duchu. Rzeczywiście, w większości rodów przetrwała tradycja, że najznakomitsi goście podczas toalety korzystali z pomocy gospodyni. Ale w przypadku Aldyth...

- Powiedziałem, że to niepotrzebne. Nie chcę ani twojej pomocy, ani Desideraty. Słyszałaś?!

Prawie krzychał. Zreflektował się jednak w porę i dodał spokojniejszym tonem:

- Idź sobie. Zostaw mnie teraz samego.

Łzy błysnęły w jej ogromnych oczach. Wyszła z komnaty.

Świece przygasały w komnacie księcia Henryka. De-

siderata, z głową wspartą na miękkich poduszkach, już dawno zasnęła. Ranulf rozmawiał z księciem wyłącznie o polityce.

Zerknął z ukosa na śpiącą piękność i cicho westchnął z ulgą. W rzeczy samej, specjalnie wciągnął Henryka w rozmowę. Miał nadzieję, że uda mu się wymknąć, nie budząc Desideraty. W sumie niczemu nie zawiniła. To on nie chciał innej prócz Aldyth.

Trzasnęło polano w kominku i buchnął snop jasnych iskier. Henryk był bardzo dumny z tego, że nawet w sypialni miał ogrzewanie. Kominki typu francuskiego, z wyciągiem, nie dotarły jeszcze do Anglii. Z czasem, pomyślał Ranulf, trzeba będzie przebudować Kingsclere.

- Coś mi się zdaje, przyjacielu, że nie zagustowałeś w pięknej Desideracie - odezwał się nagle Henryk i spojrzął na uśpioną damę.

- Nie... To znaczy, tak! To znaczy... Sam nie wiem, mój książę - niepewnie odparł Ranulf.

- Może zbyt mocno przesiąknąłeś zwyczajami królewskiego dworu? - z ironicznym uśmiechem zapytał Henryk. - Wiem, że mój brat od dawna stroni od kobiet, a zatem...

- Zawsze byłem odporny na zło Rudego - sztywno odpowiedział Ranulf.

- Spokojnie! Nie chciałem cię urazić - rzekł książę. - Zmieniłeś się, więc pomyślałem, że...

- To źle myślałeś, panie - wpadł mu w słowo Ranulf. - Och, wybacz mi te ostre słowa. Chodzi o to, że kocham inną. - Urwał. Jak miał dokończyć? Powie-

dzieć: kocham ją, ale ona boi się wszystkich mężczyzn i podróżuje ze mną przebrana za pazia?

- Masz ukochaną w Anglii? - rozpromienił się Henryk. - Nie wiedziałem. Błagam cię o wybaczenie. A więc strzała Amora przebiła twarde serce lorda Ranulfa? Kim jest twoja wybranka? Kochacie się w tajemnicy? To pewnie żona jakiegoś możnowładcy? Nie? Na Boga, nie powiesz chyba, że cię zauroczyła jakaś nie winna *demoiselle*? - Roześmiał się na całe gardło. - A to wpadłeś, mój drogi!

Ranulfowi nie było do śmiechu, ale nie wyprowadził księcia z błędu. Uznał, że w ten sposób Aldyth będzie o wiele bezpieczniejsza.

- Od tej pory nie będę cię popychał w ramiona Desideraty. Tak się składa, że nie mam kochanki. Może na jakiś czas wrócę do pięknej Desi? Oczywiście, jedynie po to, żeby ją odciągnąć od ciebie. No i co powiesz? Masz we mnie szczerego przyjaciela? - pytał, ciągle się śmiejąc.

Ranulf usiłował wrócić do polityki - do reformy społecznej i stosunków korony z Kościołem - ale Henryk stracił ochotę do poważnych tematów.

- Skoro już znam twoją tajemnicę i wiem, że nie spędzisz noworocznej nocy w łóżu z Desideratą, muszę sobie zadać pytanie, jak ci umilić pobyt w moim zamku - zastanawiał się głośno. - Pozostały dwa dni do końca starego roku. Już mam! Na pewno nie pomyślałeś o tym, żeby pozostawić jej jakiś prezent przed wyjazdem z Anglii. W Rouen zapewne też nic nie kupiłeś?

- Nie. - odparł ze wstydem Ranulf. Rzeczywiście,

nie myślał o prezencie dla Aldyth. W gruncie rzeczy nie wiedział, czy przyjęłaby coś od niego.

- Jeśli jutro będzie pogoda, wybierzemy się do Barfleur. Jest tam żydowski złotnik. Wspaniały, jak na tak małą osadę. Obiecałem mu, że gdy zostanę królem, będzie mógł przenieść się do Anglii. On z kolei dał mi nieograniczony kredyt.

Henryk zamilkł, po czym po chwili dodał:

- Nie martw się o Desi. Kupię jej jakieś świecidełka i będzie zadowolona.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Aldyth, choć zachodziła w głowę, nie mogła zrozumieć postępowania Ranulfa. Obecność pięknej damy zabiegającej o jego względy sprawiła, że zamiast być szczęśliwy, stał się jeszcze większym mrukiem. Nie mogła zasnąć, kiedy poszedł na wieczerzę do prywatnych apartamentów księcia.

Dlaczego zachowywał się w tak przedziwny sposób? Pierwszego dnia pobytu na zamku księcia Henryka odszedł od stołu w towarzystwie kurtyzany. Dlaczego potem tak prędko wrócił do własnej komnaty? Nie zdążyłby z nią do łóżka, nawet gdyby porzucił wszelkie konwenanse!

W tamtej chwili Aldyth miała wrażenie, że zwyciężyła. Trwało to jednak krótko. Przecież Ranulf naprawdę mógł być zmęczony długotrwałą jazdą. Bez wątplenia zaaranżował następne spotkanie.

Jak na ironię losu to właśnie Edwardowi przypadło zadanie odszukania pięknej Desideraty przed porannym polowaniem z sokołami.

Pozostawiona w zamku Aldyth w wyobraźni widziała przytulny domek myśliwski, w którym Henryk zostawił Ranulfa wraz z kochanką. Przez całe przedpołudnie krążyła osowiała po korytarzach. Wyglądała przez okna i stała pod drzwiami.

Myśliwi powrócili w wyśmienitych nastrojach, a jednak Ranulf nie garnał się do Desideraty. Zapewne był zbyt doświadczonym graczem, żeby otwarcie obnosić się z uczuciem. Z drugiej strony, dlaczego miałby coś ukrywać? Przed kim? Już dawno dał do zrozumienia, że Aldyth go nie obchodzi.

Potem odmówił wspólnej kąpieli. Zachował się niczym mnich na widok rogatego diabła!

Może uważał, że jej delikatne ręce nie powinny dotykać jego spoconego ciała. Lecz któraż kurtyzana zwracała uwagę na takie szczegóły?

Aldyth przypomniała sobie znaczące spojrzenie, jakie w pewnej chwili rzucił książę Henryk na Desideratę. Podejrzewali pewnie, że Ranulf nagle stracił pociąg do niewiast.

Śmieszny pomysł!

Aldyth wystarczająco długo przebywała w Winchester, żeby usłyszeć o nim niejedną opowieść. Cieszył się zasłużoną sławą dobrego kochanka. Pamiętała także jego pocałunki - pierwszy w stajni w Kingsclere, drugi przy tawernie w Honfleur. To był prawdziwy Ranulf: pełen pasji, wewnętrznego ognia i niczym nieposkromionych uczuć. Na pewno nie zaczął gustować w chłopcach. Z pewnością też nie nadawał się do celibatu.

Ile razy obrzucał ją zadumanym spojrzeniem, a potem odwracał wzrok? Zawsze przy takich okazjach próbowała coś wyczytać z jego twarzy, ale on zbyt szybko przybierał maskę obojętności i znudzenia.

Odmówił wspólnej kąpieli z piękną Desiderata, lecz poszedł z nią na wyjątkowo długą wieszę. Nie było

go już ładne parę godzin. Prawdopodobnie już dawno pożegnał się z Henrykiem i zniknął w zacisznej alko-
wie z kurtyzana.

Aldyth westchnęła ciężko.

Lady Vivienne powiedziała kiedyś: „Wierzę, że i Ra-
nulf odnajdzie szczęście. Uważasz go za istne wcielenie
zła i hipokryzji. W duchu zarzucasz mu, że zszedł na
złą drogę i że zapomniał o swoich dawnych ideałach.
Zapewniam cię, że tak nie jest, Aldyth. To tylko pozory.
Wierz mi”.

Teraz straciła wiarę w jej słowa. Przeceniała go, bo
była mu winna wdzięczność. Ocalił ją od smutnego,
niegodnego losu. Myliła się również, sądząc, że to właś-
nie Aldyth da szczęście Ranulfowi z Kingsclere.

Ot, choćby dzisiaj, przed wieczorem.

Aldyth przelotnie spojrzała w srebrne zwierciadełko.
Włosy odrosły jej tylko trochę. Oczy wydawały się nie-
naturalnie wielkie w bladej i ściągniętej twarzy. Jak
ktoś taki mógłby porównywać się z lady Desiderata?
Mieć nadzieję, że może współzawodniczyć z nią
o względy Ranulfa i wygrać?

Dałaby wszystko, żeby jak najszybciej móc po-
wrócić do Sherborne. Turolld już na pewno zrezygnował
z zemsty. Jestem zupełnie bezpieczna. Może nawet po-
słubił Maud i przywrócił jej dobrą reputację?

Niechże ten Ranulf wreszcie zbierze się w drogę po-
wrotną do Anglii! Nie chce mu dłużej służyć. Wie, że
on nie jest dla niej.

Skrzypnęły otwierane drzwi. Wszedł ten, o którym
Aldyth gorączkowo rozmyślała. Było już bardzo późno.

Dziewczyna nie spodziewała się, że jeszcze go ujrzy tej nocy.

Naciągnęła na siebie koc i udawała, że śpi, ale patrzyła spod na wpół przymkniętych powiek.

W wątlm blasku świecy widziała, jak niespokojnie krąży po pokoju.

Co robił podczas tej długiej nieobecności? Zabawiał się z kurtyzaną? Dlaczego zatem wrócił? Zdjął tunikę. Zalaatywało od niego winem, lecz nie poczuła woni perfum.

Rozebrał się. Stał nagusieńki, jak go pan Bóg stworzył. Miał jędrne i muskularne ciało wojownika.

Odrzucił się nagle. Aldyth zamknęła oczy, ale przez krótką chwilę widziała go w pełnej krasie. Przygryzła usta.

- Aldyth? - powiedział cichym, niezbyt pewnym głosem.

Zauważył, że na niego patrzyła?

Nic nie odpowiedziała. Oddychała spokojnie, jakby rzeczywiście spała. Przez kilka minut panowała cisza, a potem zaskrzypiały liny łóżka.

Przy śniadaniu Aldyth co chwila spoglądała na Ranulfa i lady Desiderate.

On był w dużo lepszym nastroju niż wczoraj. Uśmiechał się przy rozmowie. Ale nic więcej. Nie rzucał namiętnych spojrzeń w stronę kurtyzany, nie chwycił jej za rękę. Nie robił nic, co by wskazywało, że spędzili upojny wieczór.

Książę Henryk wspomniał coś o wyjeździe na targ do Barfleur.

- Mogę pojechać z wami, przystojni panowie? - spytała przymilnym głosem Desiderata. Patrzyła przy tym wprost na Ranulfa. - Czy chcecie spędzić ten dzień wyłącznie w męskim towarzystwie? Nowy Rok za pasem...

Bezczelna! - pomyślała Aldyth. Domaga się prezentu! Z drugiej strony należało przyznać, że robiła to z wyjątkowym wdziękiem.

Aldyth zacisnęła zęby.

Ku jej zdumieniu odpowiedzi udzielił książę Henryk.

- Ależ oczywiście, moja miła. Nigdy nie pozwolę, abyś została sama w przeddzień wielkiego święta. Prawdę mówiąc, nic jeszcze dla ciebie nie wybrałem. Może sama rozejrzysz się u złotnika?

Twarz kurtyzany pojaśniała przelotną radością, lecz zaraz przygasła. Czyżby była zła, że to nie Ranulf zaprosił ją do miasta? Że to nie on zamierzał kupić jej podarek?

- Edwardzie, może ty też dołączysz do kompanii?
- niespodziewanie zapytał Ranulf.

Aldyth nie posiadała się ze zdziwienia.

- Wczoraj na pewno się nudziłeś - orzekł rycerz. - Zechcesz rozejrzeć się po mieście?

Serce zatrzepotało jej z radości. Desiderata zmrużyła oczy.

- Jesteś bardzo łaskawy, panie, dla zwykłego paza - westchnęła z przesadą. - Wszak tylko najszlachetniejsi z nas są tak dobrzy dla chłopców.

Pod pozorną pochwałą krył się złośliwy przytyk - wręcz oskarżenie, że Ranulf gustuje w młodzikach.

Aldyth nabrała tchu. Jak ta dziewczka śmie wygadywać tak piramidalne bzdury?

Ranulf z zupełnym spokojem popatrzył na Desideratę.

- Edward na pewno nam się przyda. Choćby po to, żeby nosić twoje zakupy, pani. Pomożesz nam, Edwardzie?

Wszyscy spojrzeli na Aldyth, więc tylko ona zauważyła szelmowskie mrugnięcie Ranulfa.

- Och... tak, milordzie, z wielką chęcią.

Desiderata mruknęła coś z ukontentowaniem. Henryk, całkiem nieczuły na napięcie, które zapanowało przy stole, dodał beztroskim tonem:

- W takim razie ruszajmy. Zaczekamy na ciebie tylko chwilę, Desi. Jeśli chcesz z nami jechać, radzę ci się pospieszyć.

Słyszając tętent koni, Abram Ben Isaac wyszedł na próg sklepu.

- Witam uniżenie, przezacny panie. Witam znowu w moim nędznym kramie, najdostojniejszy książę. Spodziewałem się, że ujrzę cię niebawem, jako że chrześcijański Nowy Rok nadchodzi.

Książę Henryk łaskawie przyjął pozdrowienie.

- A pewnie, że się spodziewałeś, hultaju! Czyż nie jestem twoim najlepszym klientem? - zapytał.

Klepnął Ben Isaaka w plecy okryte brokatową tuniką.

- Jesteś łaskawy książę. Widzę także, iż sprowadziłeś do mnie nowych gości - padła odpowiedź.

Żyd skłonił się przed Ranulfem.

- Przybyła także piękna pani. To dla niej chcecie wybrać prezent?

Zerkał to na Henryka, to na Ranulfa, niepewny, którego spytać.

- Mam coś pasującego do barwy jej włosów. Naszyjnik z rubinem na złotym łańcuchu.

- Pozwól, że sam wybiorę - odparł Henryk. - Zamierzasz nas tu trzymać cały dzień na wietrze, czy wreszcie wpuścisz nas do środka?

Dzień był wprawdzie przepiękny jak na koniec grudnia, ale złotnik uśmiechnął się przeprasząco.

- Tysiąc przekleństw na moją głowę za brak ogłady. Milordzie, milady. Jestem Abram Ben Isaac. Będę zaszczycony, jeśli wejdziecie do mojego sklepu.

- A gdy wyjdziemy, odkadzisz wszystko z pełnym ceremoniałem - sucho zauważył Henryk. - Prowadź, milady.

Desiderata z wyniosłą miną przeszła obok stojącego złotnika.

- Edwardzie, przytrzymaj konie - rozkazał Ranulf.

Wierzchowce były zdrożone szybką jazdą do Barfleur, więc nie sprawiały Aldyth najmniejszych kłopotów. Spojrzała na witrynę sklepu. W oknie zobaczyła najprawdziwsze szkło. Do tej pory widywała je tylko w kościołach i pałacach. Było potwornie drogie.

Zajrzała przez szybę do wnętrza.

Desiderata i książę Henryk pochylali się nad rzeźbionym drewnianym pudłem, które przyniósł Ben Isaac. Oglądali rubin wielkości męskiego paznokcia. Desi-

derata wzięła klejnot w dwa palce i zalotnie uśmiechnęła się do księcia. Ten zmrużył oczy i powiedział coś do złotnika. Ben Isaac wymienił chyba za wysoką cenę, bo Henryk odłożył rubin do puzderka i przecząco pokręcił głową.

Desiderata wyglądała na rozczarowaną. Podeszła do Ranulfa, który pilnie wpatrywał się w inną, wyłożoną aksamitem szkatułkę. Nachyliła się w jego stronę i szepnęła mu coś do ucha.

Aldyth pilnie obserwowwała towarzystwo oglądające klejnoty. Ranulf spojrzął na Desideratę, uśmiechnął się z politowaniem i dalej przeglądał kolekcję złotych naszyjników. Niektóre były prostej roboty, inne kunsztowne plecione z kilku błyszczących łańcuszków, jeszcze inne zdobione kolorowymi klejnotami.

Aldyth patrzyła z zaciekawieniem. Komu kupował noworoczny prezent, jeśli nie Desideracie? Może matce? Ale nie. Wyraz jego twarzy wskazywał, że myśli o kimś innym, nie o lady Nicholi.

Wreszcie chyba wyczuł, że ktoś na niego patrzy, bo szybkim ruchem odwrócił się w stronę okna. Zobaczył Aldyth.

Uśmiechnęła się do niego, żeby pokryć zmieszanie. Zmarszczył brwi, stanął tyłem i zasłonił sobą ładę.

Och, więc kryła się za tym jakaś tajemnica? Nic ją to nie obchodzi! Niech sobie kupuje, co chce i komu chce. Przeniosła wzrok na Henryka i kurtyzanę.

Książę najwyraźniej odrzucił już kilka ofert, bo obok Ben Isaaka piętrzył się stosik połyskujących kubków, pierścieni, bransolet i sygnetów. Desiderata z nadzieją

w oczach oglądała każdy nowy przedmiot, a potem z nieukrywaną złością marszczyła kształtny nosek. Poweselała, kiedy Henryk uniósł w rękę wspaniałą naszyjnik z szafirów, gorejący błękitnym ogniem nawet w przyćmionym świetle sklepu.

Ale, ale! Zajęta Henrykiem i Desideratą, przegapiła zakup Ranulfa. Kątem oka dostrzegła, że właśnie za coś płaci. Wsunął do kabzy zawiniątko. Co to było?

Złotnik powrócił do rozmowy z Henrykiem. Chyba wreszcie doszli do ugody, bo książe sięgnął do sakiewki i wręczył Żydowi trzy srebrne marki. Potem zawiesił sznur szafirów na szyi Desideraty.

Złotnik kłaniał się nieustannie, życzył szczęścia i dobrego zdrowia. Odprowadził klientów aż przed drzwi sklepu. Aldyth cofnęła się szybko. Kiedy wyszli, stała przy koniach i z niewinną miną gładziła kucyka po szyi.

Desiderata przesunęła dłonią po naszyjniku.

- Dziękuję, panie. Odwdzięczę ci się w szczególny sposób, w sam dzień Nowego Roku - obiecała, patrząc na księcia.

- Trzymam cię za słowo - odparł i klepnął ją w pupę, jakby w pobliżu nie było Ranulfa i pazia.

Desiderata spojrzała przez ramię na rycerza.

- Twa ukochana w Anglii też winna być szczęśliwa - zagruchała słodko, lecz w jej oczach nie było wesołości, a zawiść. Bardziej niż kiedykolwiek przypominała rozkapryszoną kurtyzanę. - Ucieszy się z prezentu.

Czarne oczy Ranulfa na chwilę spoczęły na Aldyth.

- Mam nadzieję, milady.

Ukochana w Anglii? Oczywiście. Słowa Desideraty tylko potwierdziły jej wcześniejsze podejrzenia. Aldyth poczuła się samotna i całkiem opuszczona. Ranulf oddał swe serce jakiejś nieznannej kobiecie. Dlatego był nieczuły na względy innych niewiast.

Musiał ją bardzo pokochać. Nie mogło być inaczej. Niewielu mężów oparłoby się powabnej Desideracie.

Kim była tajemnicza ukochana Ranulfa? Damą dworu czy też bogatą dziedziczką, którą zapragnął poślubić? Dlaczego utrzymywał ten związek w tajemnicy? Przecież lord Etienne i lady Nichola byliby zachwyceni.

Powstrzymywała się od łez, póki nie wyjechali na nadbrzeżny szlak wiodący do zamku Henryka. Wówczas wstrzymała kuca, została nieco z tyłu i rozplakała się na dobre. Miała nadzieję, że ostry wiatr znad Kanału na czas osuszy jej policzki, zanim dojadą na wieczerzę do zamku.

Zapewne Ranulf w powrotnej drodze zechce zatrzymać się w Kingsclere i wręczyć prezent damie swego serca. A ona nadal pozostanie paziem. Nie! Na pewno z nim tam nie pojedzie! Ucieknie, kiedy tylko staną na angielskiej ziemi. Albo jeszcze lepiej... zniknie tuż po Nowym Roku i na własną rękę przeprawi się przez Kanał.

Zatopiona w niewesołych myślach, nie usłyszała szczekania psa, który wypadł z przydrożnej zagrody. Z ujadaniem dopadł pęcín kuca. Zwykle spokojny Motley

wpadł w panikę. Cofnął się, zarżał i stanął dęba. Aldyth szerokim łukiem wyleciała z siodła.

Jej krzyk ucichł nagle, kiedy uderzyła plecami o ziemię.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Nie była w stanie głębiej odetchnąć. Świat zatańczył jej przed oczami. Na chwilę straciła przytomność i pogrążyła się we wszechobecnym mroku. Umierała. Potem jednak uniosła powieki i zobaczyła pochylonego nad sobą Ranulfa. Był blady i mocno przejęty. Cieszyło ją, że przed śmiercią może jeszcze przez chwilę widzieć ukochanego.

A potem poczuła gwałtowny ból w płucach. Wciągnęła powietrze i zamrugała. Delikatnie rozprostowała rękę i nogi. Zabolęła ją lewa kostka.

- Aldyth! - wyszeptał Ranulf. - Nic ci się nie stało? Nie ruszaj się! Dzięki Bogu!

W końcu zrozumiała, że jednak nie umrze, i miała ochotę znowu się rozpłakać, lecz w porę przypomniała sobie, że przecież jest chłopcem. Chłopcy nie płaczą.

- Nic mi nie jest, milordzie - odparła cichym głosem. Czują na sobie wzrok Desideraty, patrzącej z wysokości siodła. - Nie mogłem tylko... złapać oddechu. Boli mnie kostka. Chyba... złamałem nogę.

Z niezwykłą delikatnością zdjął jej but i zbadał obojętne miejsce. Aldyth skrzywiła się. Nie mogła powstrzymać jęku.

- Tak, to tutaj! Boli, milordzie!

- Boli, ale moim zdaniem kość jest cała. Masz tylko paskudnego siniaka. - Obrzucił ją troskliwym spojrzeniem. - Możesz usiąść?

Podjechał do nich książę Henryk, prowadząc schwytanego kuca.

- Nic mu się nie stało. - Ranulf uniósł głowę znad leżącej. - Na chwilę stracił przytomność i lekko zwichnął kostkę.

Henryk skinął głową.

- Dobrze, że wylądował na trawie, a nie na kamienistej drodze. Ale co z tobą, Ranulfie? Jesteś błydy niczym upiór.

- Co takiego? Nie... Wszystko w porządku. Pomyślałem tylko, że w razie nieszczęścia musiałbym złą nowinę zanieść jego matce. Nie znoszę rozpaczających i płaczących kobiet.

Ranulf silił się na wesołość, ale jego ostatnie słowa pobrzmiwały fałszem.

Aldyth czuła na sobie podejrzliwe spojrzenie Desideraty.

- Myślę, że już mogę wstać, milordzie. Z twoją pomocą. - Wsparta na ramieniu rycerza, pokuśtykała z powrotem do kuca. - Możesz mnie... podsadzić? Pojadę.

- Nie zgadzam się. Nawet nie możesz stanąć na tej nodze. Wezmę cię na moje siodło. Po powrocie do zamku na resztę dnia powędrujesz do łóżka. Zrobią ci okład.

- Cóż za czułość i troskliwość - zauważyła z przekąsem Desiderata. - Ktoś mógłby pomyśleć, panie, że

masz do czynienia z wiotką *demoiselle* - dodała z kąpiącym uśmiechem.

- Schowaj pazurki, milady - zmitygował ją Henryk.
- Chyba nie jesteś zazdrosna o pazia?

Aldyth zauważyła niebezpieczny błysk w kocich oczach kurtyzany. Przeczuwała, że najwyraźniej zawistna i urażona w swej ambicji Desiderata tak łatwo nie ustąpi i nie zostawi jej w spokoju.

- Zazdrosna? Nie dbam o to, jak lord Ranulf traktuje swoją służbę. Chociaż z drugiej strony przyznaję, że wzruszył mnie ten widok.

- Wystarczy! - uciał księżę. - Poprowadzę kuca.

- Pojadę sam, Wasza Wysokość - zaprotestowała Aldyth.

Nie chciała dopuścić do tego, żeby Ranulf miał przez nią kłopoty. Powinien przecież traktować Edwarda z taką samą oschłością, z jaką inni rycerze odnosili się do swych paziów.

- Cicho, Edwardzie. Nie bądź głupcem. Powiedziałem, że siądziesz przy mnie i tak też się stanie.

- To ty jesteś głupcem, milordzie - syknęła zasłonięta przez konia. - Dlaczego nie flirtujesz z Desideratą?

- Zamilcz! - powtórzył Ranulf beznamiętnym tonem.

Pomógł jej dosiąść swojego wierzchowca. Nie patrzył na Desideratę i nie przejmował się uwagami Aldyth.

Ta z kolei siedziała sztywno wyprostowana, żeby go nie dotykać. Niestety, posadził ją za sobą, więc żeby nie

spaść podczas jazdy, musiała go opasać ciasno ramionami.

- Przytul się mocniej! - rzucił przez ramię. - Inaczej cię wytrzęsie.

Cóż miała robić? W gruncie rzeczy cieszyła się każdą chwilą. Przy każdym stąpieniu konia jej piersi lekko ocierały się o plecy rycerza.

Wreszcie dotarli do zamku. Ranulf zsiadł pierwszy i ściągnął ją z siodła. Noga bolała ją bardzo, ale uparcie próbowała zrobić choć parę kroków. Desiderata obserwowała tę scenę ze złośliwym rozbawieniem.

- Tylko utrudniasz sprawę, Edwardzie - nie wytrzymał Ranulf. - Dalej, obejmij mnie za szyję. Zaniosę cię do komnaty.

- Nie wolno ci tego robić - szepnęła Aldyth. - Patrzy na nas.

- Nic mnie to nie obchodzi - odpowiedział półgłosem. Wziął ją na ręce, jakby nic nie ważyła, i wspiął się na schody.

Tuż za zakrętem Aldyth spojrzała mu prosto w twarz. Uśmiechał się. Był tak blisko, że widziała jego źrenice. Pachniał koniem, drewnem sandałowym... i mężczyzną.

Zadygotała. Poczul to? Kopniakiem otworzył drzwi i posadził ją na krześle przy stole.

- Dziękuję ci, Ranulfie. Zaraz... mi będzie lepiej. Przyślij tu tylko pokojową z kompresem.

- Nie wyjdę, póki się nie upewnię, że ci naprawdę nic nie jest.

Co chciał przez to powiedzieć? Że ją rozbierze i zbada?

- Nie, Ranulfie. Proszę. Naprawdę nic mi nie jest. Lady Desiderata przyglądała ci się tak podejrzliwie. Myśli pewnie, że lubisz chłopców albo że jestem dziewczyną!

Zamknęła oczy, bo podszedł bliżej i przyklęknął tuż przy jej krześle.

- A co mnie mogą obchodzić podejrzenia tej lafiryndy? Czujesz się mną znudzona, Aldyth?

Pękła tama długo wstrzymywanych uczuć.

- Niech cię zaraza, wszeteczny kłamco! Nawet nie wiem, kim ty jesteś naprawdę! Zachowujesz się niczym jeden z fagasów Rudego, a chwilę potem spiskujesz z Henrykiem! I dlaczego nie sypiasz z Desiderata lub jakąś inną damą z tutejszej kolekcji?! Przecież wprost idealnie trafia w twoje gusta.

- Do diabła z nią! Naprawdę nic nie rozumiesz?! Tam, na drodze, myślałem, że skręciłaś sobie kark!

Krzyczała na nią!

- A gdyby nawet, to co z tego? Już wcześniej dałeś mi do zrozumienia, że dla ciebie jestem za mało... zepsuta. Wziąłeś mnie pod opiekę wyłącznie z przyzwoitości.

- Tak myślisz, głuptasie? Nie mogę już dłużej kłamać. Pokażę ci, co naprawdę do ciebie czuję. Zobaczysz, Aldyth. W tym nie ma nic przyzwoitego.

Ujął twarz dziewczyny w obie dłonie i wycisnął na jej ustach gorący pocałunek.

- Próbowałem zapomnieć o tobie - wyznał, od dychając z trudem. - Próbowałem... dla naszego dobra. Na próżno.

Nie puszczał jej. Musiała mu patrzeć prosto w oczy.

- Nie chciałem cię narażać na większe niebezpieczeństwo. Nie chciałem, żeby moja miłość...

- Miłość? - powtórzyła.

- Owszem. Z całego serca pragnę, byś była moją żoną, Aldyth! Przedtem jednak muszę wykonać zadanie. Zamierzałem wrócić po ciebie, gdy tylko właściwy człowiek zasiądzie na tronie Anglii. Potem, kiedy zrozumiałem, że możesz na mnie nie czekać, co dzień przeżywałem katusze rozstania. Umierałem, myśląc o tobie!

Z drugiej strony, zdawałem sobie sprawę, że gra, którą prowadzę, jest bardzo niebezpieczna. Gdyby Rudy dowiedział się, z kim ma do czynienia, kazałby mi ściąć głowę. Jako moja żona cierpiałabyś na równi ze mną. Wrzuciliby cię do lochu albo zgotowali jeszcze gorszy los.

Niestety, nie potrafię dłużej panować nad uczuciami. Nie jestem w stanie w dalszym ciągu ich ukrywać. Już postradałem zmysły! Dla ciebie. Obronię cię, Aldyth.

- Bądź zawsze przy mnie, Ranulfie - powiedziała cicho. - Och, święta naiwności. Jak myślisz, dlaczego przyjechałam z tobą aż do Normandii? Wolałam być przy tobie, bez względu na zagrożenie, niż czekać samotnie w bezpiecznym schronieniu.

Zerwał się na równe nogi. Pochwycił ją na rękę, przycisnął do siebie, a potem zaniósł na łóżko.

Myślała, że rzuci się na nią od razu, niczym zgłodniały wilk na ofiarę, lecz on pamiętał o jej obrażeniach. Położył ją powoli i podsunął poduszkę pod głowę. Po-

tem zdjął pelerynę. Stał przez chwilę, ubrany jedynie w tunikę i rajtuzy.

Aldyth ubolewała w głębi serca, że nosi przyrodziwek pazia. Żałowała swoich wspaniałych włosów. Nie tak wyobrażała sobie ten moment. Myślała, że będzie miała na sobie zwiewną nocną koszulę i że jej kasztanowe loki rozsypią się po pościeli lub połyskującą kaskadą opadną na twarz kochanka.

Ranulf miał chyba te same odczucia - przynajmniej, gdy chodzi o stroje.

- Zbyt wiele czasu spędziłaś w ubiorze Edwarda - powiedział. - Chcę zobaczyć ukrytą pod spodem niewiastę.

Zdjął z niej krótką tunikę ze srebrnym godłem jednorozca i białą koszulę. Zmarszczył brwi, kiedy zobaczył długi pas tkaniny, ciasno owinięty wokół jej młodych piersi.

- Ach, to w ten sposób pozbyłaś się krągłości. - Parsknął śmiechem. - Pamiętałem, że w stajni w Kingsclere byłaś o wiele bardziej... kobieca.

Aldyth splonęła rumieńcem. Uniosła ręce i pospiesznie pozbyła się bandaża.

- Czy tak lepiej, milordzie? - zapytała cicho. Ujrzała płomień namiętności w jego oczach i westchnęła z ogromną ulgą.

- Tak. Chociaż coś jeszcze da się poprawić.

Ostrożnie, żeby nie urazić jej spuchniętej kostki, zdjął jej grube rajtuzy.

Leżała teraz naga, ale wcale nie czuła wstydu. Wystarczył jej wyraz uwielbienia malujący się na twarzy ukochanego. Zapomniała o bólu i o obciętych włosach.

Ranulf sięgnął do pasa i przez chwilę mocował się z opornym rzemieniem przy spodniach. Aldyth mimo woli uśmiechnęła się w duchu. Słynny kochanek powstrzymany przez kawałek garbowanej skóry.

Jednym ruchem wyszarpnął sztylet i przeciął rzemień.

- Przysporzyłeś roboty biednemu Edwardowi - powiedziała z udaną powagą. - Gdzie twój paż teraz znajdzie nowy rzemień i... - Urwała na widok jego nagiej męskości.

- Edward odszedł w niepamięć, przynajmniej w tej komnacie - oznajmił Ranulf. - Nie będziemy po nim rozpaczać.

Położył się i przyciągnął ją do siebie.

Zadrzała, czując dotyk muskularnego ciała. Przez chwilę leżała sztywno, zdjęta nagłym strachem. Nigdy przedtem nie była tak blisko z mężczyzną. Jednak szybko pozbyła się lęku, ponieważ w zachowaniu Ranulfa nie dopatrzyła się niczego groźnego. Nie był brutalny, nie próbował zrobić jej krzywdy jak Turoid. Najważniejsze było to, że od dawna pragnęła znaleźć się w jego ramionach. Że go kochała.

Poczuła jego usta na swoich wargach i natychmiast zapomniała o całym świecie. A gdy wziął w dłoń jej nagie piersi, ogarnęła ją fala rozkoszy. Poczuła się jak okradziona, gdy przerwał pocałunek i odchylił głowę.

Jęknęła cicho i wyszeptała jego imię.

Ranulf położył dłoń na jej pośladkach. Pieścił ją, zapraszał i uwodził. Poddawała mu się całkowicie. Czekwała, aż ją zdobędzie.

- Jeszcze chwilę, najstodsza - szepnął. - Jeszcze nie jesteś gotowa.

- Ranulfie, błagam... - To jedyne, co zdołała powiedzieć.

Musnął ustami jej płaski brzuch i sunął coraz niżej. Westchnęła zduszonym głosem, kiedy dotknął jej kobiecości.

Uśmiechnął się.

- Już na mnie czekasz? Moja najmilsza Aldyth.

W jego głosie nie było ani śladu drwiny. Zatem tak dobrze spełniała jego oczekiwania? Była prawdziwą kobietą?

Wiła się pod jego dotykiem. Pragnęła, by wreszcie wtargnął do jej wnętrza.

Za chwilę umrze, zdławiona namiętnością!

Chyba odczytał jej myśli, bo w tym samym momencie poczuła, że na nią naparł.

- Teraz, Aldyth - powiedział, patrząc jej prosto w oczy. - Teraz cię uczynię moją i tylko moją.

Nakrył ją swoim ciałem. Głęboki pocałunek zdusił jej ciche jęki. Aldyth z dziewczyny stała się kobietą.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Z bijącym sercem odczekał chwilę, aż minął pierwszy, a zarazem ostatni ból. Pocałunkiem zgarnął srebrzystą łzę, która spłynęła jej po policzku. Kochał ją jak nigdy przedtem.

- Dałaś mi wspaniały prezent, moja najśłodsza Aldyth - szepnął. - Nikogo przedtem tam nie było i nikt nie będzie po mnie - dodał. - Ja też mam coś dla ciebie.

Poruszył się. Najpierw wolno, potem nieco szybciej. Aldyth wyprężyła biodra. Z lekkim wahaniem dopasowała się do jego ruchów.

- Tak, kochanie - szepnął. - Przyjmij mnie głębiej. Głębiej.

Zacisnął dłonie na jej pośladkach i mocno przyciągnął do siebie. Po chwili już oboje galopowali w szaleńczym wyścigu. Aldyth dyszała chrapliwie przez szeroko otwarte usta. W tym wyścigu zwyciężał każdy, nie było pokonanych. Zapomniała o swoich obawach, zapomniała o całym świecie.

A świat w pewnym momencie rozprysnął się w miliony wirujących kawałków. Wbiła palce w plecy rycerza i wraz z nim wyruszyła w podróż bez końca przez otchłanie czasu i przestrzeni.

Poczuła jeszcze jedno pchnięcie. Przed jej oczami zapłonęła jasna kula światła.

Ranulf leżał na boku, patrząc na nią uważnie, kiedy po kilku minutach - godzinach? tygodniach? - z wolna powracała na ziemię. Otworzyła oczy.

- Wszystko w porządku, kochanie? Nie byłem zbyt brutalny?

- Och, Ranulfie - szepnęła. - Ta jedna chwila bólu była po stokroć warta wszystkiego, co nastąpiło później. Nie wiedziałam...

Gdyby wiedziała, nie opierałaby mu się tam w stajni, dokończyła w myślach. Nie odważyła się jednak powiedzieć tego na głos.

- A co z twoją nogą? Na Boga, Aldyth, zapomniałem, że spadłaś z konia i cudem uniknęłaś nieszczęścia.

Prawdę mówiąc, ona też nie pamiętała o tamtym wypadku. Dopiero teraz poczuła bolesne rwanie w kostce. Było jej jednak zbyt dobrze, żeby się tym przejmować.

- Ciii - szepnęła, kładąc mu palec na ustach. - Nic mi nie jest. Nie uczyniłeś niczego, czego bym nie pragnęła. I tak straciliśmy już za wiele czasu.

Skinął głową. Ze smutną miną pogłaskał ją po podbródku.

- To prawda. Już ci mówiłem, dlaczego musiałem ukrywać swoją miłość.

- Głupiec z ciebie! - skarciła go żartobliwie i poczochrała go po czarnych, i tak już zmierzwionych włosach.

- Myślałem, że przez Turola boisz się wszystkich

mężczyzn. Myślałem... że uciekniesz, jeśli powiem ci, co naprawdę czuję. Popatrzyła na niego.

- Ranulfie, przecież ciebie nigdy bym się nie bała! Kocham cię od dzieciństwa!

- I nie przestałaś kochać, kiedy w stajni w Kingsclere udawałem cynicznego łajdaka? Wtedy naprawdę chciałem cię nastraszyć, a tym samym zniechęcić do siebie. Nie mogłem ujawnić ani prawdziwego oblicza, ani prawdziwych uczuć.

Pocałowała go lekko.

- Nie przestałam. Mało tego, pragnęłam cię nawet wtedy! - przyznała. - Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałam zlec na sianie! Prawie ci się udało mnie uwieść.

- Szkoda, że tylko prawie - roześmiał się. - Zaoszczędziłoby to nam wielu zmartwień i zgryzot. Nie musiałabyś obcinać włosów.

Owinął kasztanowy kosmyk wokół palca.

- Co sobie pomyślałaś, widząc mnie w tych błazeńskich szatach na wieczerzy w ojcowskim zamku? Przyznaj sama, że nie przypadłem ci do gustu!

Aldyth zrobiła minę pełną obrzydzenia.

- To było coś okropnego. Nie wierzyłam, że tak się zmienisz. A jednak dowód miałam tuż przed sobą.

- Wszyscy myśleli to samo - odparł poważnym tonem. - Z bólem serca oszukiwałem własnych rodziców. Musiałem jednak. Gdybym tego nie zrobił, Rudy na pewno nabrałby podejrzeń.

- Byłeś bardzo przekonujący - zapewniła go Aldyth.

Po chwili dodała napuszonym i znudzonym tonem:

- „Warinie! Na tym płaszczu jest jakaś brudna plamka! Wiesz dobrze, że choruję na widok zakurzonych strojów! Wyczyść to natychmiast, chłopcze!” Och, Ranulfie, ale się zdziwią, kiedy wreszcie powiesz im prawdę! Już się nie mogę doczekać tego szczęśliwego dnia!

- Mam nadzieję, że nadejdzie szybciej, niż się oboje spodziewamy. Planuję, że zaraz potem zostaniesz moją żoną. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

Przygarnął ją do siebie.

- Och, Ranulfie - westchnęła tylko, jakby żadne słowa nie zdołały wyrazić jej radości.

Zamierzał zdrzemnąć się trochę, ale kiedy znów poczuł dotyk jej nagich piersi, wróciło pożądanie. Nie, to zbyt prędko, pomyślał. Nie jest przygotowana.

Odsunął się. Kątem oka zobaczył strużkę krwi na jej udzie.

- Ranulfie... - wyciągnęła rękę.

- Coś sobie przypomniałem - odparł i wstał z łóżka. Opanował się wysiłkiem woli. - Mam dla ciebie mały prezent. Co prawda, zamierzałem poczekać z tym do Nowego Roku, ale w tej sytuacji...

Przeszedł na drugą stronę komnaty i sięgnął do sakwy. Pokazał jej złoty naszyjnik, zakupiony w mieście.

Zielone oczy Aldyth rozwarły się ze zdumienia. Na błyszczącym łańcuchu wisiał wspaniały nefryt, rzeźbiony w kształt róży.

- To cudowne, Ranulfie - szepnęła, biorąc klejnot do ręki. - Nigdy nie widziałam takiego kamienia.

- Słyszałem od złotnika, że pochodzi z Dalekiego Wschodu - odparł. - Pasuje do twoich oczu.

Zadrzała z podniecenia, kiedy zapiął jej go na szyi. Nefrytowa róża zawisła między piersiami.

Aldyth milczała przez chwilę, a potem wybuchnęła śmiechem.

- Byłam zazdrosna o niewiastę, która nigdy nie istniała!

Ranulf rzucił na nią podejrzliwe spojrzenie.

- Obserwowałam cię przy zakupach, choć nie widziałam, co wybrałeś - wyjaśniła. - Wiedziałam tylko, że to nie był podarek dla Desideraty. Pomyślałam sobie, że masz ukochaną w Anglii. Jakąś szlachciankę. Och, Ranulfie, tak bardzo rozpaczałam!

- Głupiutka dziewczynka - ofuknął ją. - Musisz przyznać, że nigdy nie dałem ci powodów, żebyś mi nie ufała.

W jej oczach błysnęło przerażenie.

- Ale ja nic dla ciebie nie mam! - zawołała. - Nie mam też pieniędzy. W jaki sposób mogłabym ci...

Stanął przy łożu i pocałował ją w czoło.

- Cicho... Dałaś mi siebie, moja najmiłsza. Jakież może być lepszy prezent ofiarowany przez dziewczę?

Nie zamierzała poddać się tak łatwo.

- I pewnie czekasz na więcej? - zapytała uwodzicielskim tonem. Dotknęła go w czułe miejsce,

Westchnął.

- Natychmiast przestań, bezwstydnico! Musisz odpocząć. Przecież jeszcze niedawno byłaś skromną panną.

Nie zwracała najmniejszej uwagi na jego dalsze słowa. Miała zresztą wyraźny dowód, że nie pozostawał zupełnie nieczuły na jej zachętę.

- Wypadałoby nadrobić stracone lata - mruknęła.

Cóż było robić? Uległ, i to z wielką ochotą. Wygodnie ułożył się obok niej i z uśmiechem czekał, co dalej.

- W takim razie... kolej na ciebie, Aldyth. Pokaż mi, co potrafisz.

- Chcę cię całego - powiedziała z błyszczącymi oczami. - Kochaj mnie, a ja będę kochać ciebie.

Pociągnął ją ku sobie.

Dosiadła go i rozchyliła usta jak do pocałunku.

- Ranulfie...

Poczuł, jak ogarnia go fala rozkoszy. Nigdy dotąd, żadna kobieta...

- Nie schodzisz na dół, milordzie? Zaczęłam się niepokoić - zabrzmiało od progu, po czym dał się słyszeć zdławiony okrzyk.

W drzwiach stała Desiderata, wpatrując się ze zdumieniem w rozgrywającą się przed nią scenę.

Aldyth zerknęła w jej stronę, błyskawicznie ześliznęła się z Ranulfa i przykryła prześcieradłem.

Z rąk kurtyzany wypadł słój z kojącą maścią. Trafił ją prosto w nogę, przyprawiając o jeszcze gorszą wściekłość.

A zatem to dlatego nawet nie spojrzysz na mnie! wykrzyknęła z nieopisaną złością. - Twój mały paż to zwykła dziewczka! Ależ musiałeś się ze mnie naśmiać! Henryk na pewno także! Jak głupia wpychałam ci

się w ramiona, a ty przez cały czas miałeś kogoś, kto usługiwał ci przy stole i w łożu!

Pochwyciła słoń z podłogi i cisnęła nim w Ranulfa. Aldyth odruchowo pochyliła głowę.

Słoń roztrzaskał się o kant stołu, nie czyniąc nikomu krzywdy. Przewrócił za to grubą zapaloną świecę, która potoczyła się niebezpiecznie blisko zasłon łoża.

Ranulf, niepomny swej nagości, ustawił świecę z powrotem, zanim wywołała pożar. Potem zerknął na kurtyzaną.

- Przestań wrzeszczeć niczym handlarka ryb, Desiderate. To nie twoja sprawa. Odejdź.

Zły był, że im przerwała w tak ważnym momencie.

Aldyth uniosła się na łokciu.

- Przysięgam, że nikt się z ciebie nie naśmiewał, miłady - zapewniła ją gorączkowo. - Książę Henryk o niczym nie wie. Z pewnych powodów musiałam wystąpić w przebraniu.

- Przysięgasz?! Może na swój honor?! Jak w ogóle masz czelność się do mnie odzywać? Oczy ci wydrapię, mała ladacznico!

- Dość tego! - krzyknął Ranulf i zagroził drogę rozwścieczonej Desideracie, która już miała zamiar rzucić się w stronę łoża.

Zdumiona, zatrzymała się w pół kroku. W tej samej chwili zobaczyła złoty naszyjnik z nefrytową różą, spoczywającą pomiędzy piersiami Aldyth.

Zmrużyła oczy w szparki.

- Więc to dla niej kupiłeś! Skłamałeś, mówiąc, że to dla ukochanej w Anglii! Henryk naprawdę nic nie wie.

Ciekawe, co powie, mój zacy rycerzu, na wieść, że go oszukałeś! Skoro raz zataiłeś przed nim prawdę, skąd pewność, że w przyszłości będziesz zupełnie szczerzy? *Hein?*

Wybiegła na korytarz, z impetem trzaskając drzwiami.

Ranulf popatrzył na Aldyth. Siedziała skulona. Oczy miała pełne łez.

- Powinam cię posłuchać i pozostać w Anglii, Ranulfie - powiedziała z głębokim westchnieniem. - Wszystko popsulam, prawda? Księżę zacznie cię podejrzywać.

- Nic nie mów - szepnął łagodnie. - Wciąż się kochamy. Czyż nie? Zaraz pójdziemy do Henryka i opowiemy mu o wszystkim. Znudziła mi się ta ciągła maskarada. Poza tym podejrzewam, że mój pan nie da posłuchu gniewnym wrzaskom zwykłej kokoty.

- Ale Ranulfie...

- Nic nie mów - powtórzył. - To ja cię przepraszam, że nie zamknąłem na klucz drzwi do komnaty.

Pochylił się i pocałował ją w czubek głowy.

- Księżę nie będzie się gniewał? - zapytała, szukając potwierdzenia w jego głębokich czarnych oczach.

- Idę o zakład, że nie będzie - zapewnił ją. - Lecz im szybciej staniemy przed nim, tym lepiej. Nie mam pojęcia, o co oskarży nas ta sekutnica. Masz w swoich bagażach jakieś kobiece stroje?

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Henryk uniósł wzrok znad pergaminu i popatrzył na wchodzącą parę. Chociaż drzwi były otwarte, Ranulf na wszelki wypadek zastukał w futrynę.

- Wejdz, wejdz, milordzie, i tak się spóźniłeś. Desiderata już tu była. Z ciekawością wysłuchałem jej rewelacji. Ciekawe, co ty masz mi do powiedzenia.

Ranulf klęknął i pochylił głowę. Aldyth zrobiła to samo. Czuła się jak mysz, której ogon znalazł się nagle w łapach wielkiego i głodnego kota. Cisza ciągnęła się w nieskończoność. Księżę w milczeniu przypatrywał się swoim gościom.

Wreszcie Ranulf wstał. Podszedł bliżej. Aldyth z trudem pokuśtykała za nim. Zauważył to i podparł ją ramieniem. Tym samym dodał jej wewnętrznej siły i odwagi. Tak było o wiele lepiej.

Jeszcze nie wszystko stracone, mówiły jego dłonie. Uda się nam. Potem stanął w swobodnej, lecz pełnej szacunku postawie. Aldyth zerknęła na niego i zobaczyła, że śmiało spoglądał księciu w oczy.

Henryk wybuchnął śmiechem.

- Zawsze byłeś dumny i odważny, Ranulfie! Prawdziwy lew z ciebie!

- Mój panie?

- Nie stój tak, jakbym miał cię ugotować żywcem. Podsuń jej jakieś krzesło. Nie widzisz, szlachetny rycerzu, że dziewczka stoi niczym czapla na jednej nodze?

Ranulf nie uczynił najmniejszego ruchu.

- Mój panie, chciałbym ci przedstawić lady Aldyth, córkę kasztelana z Sherborne we włościach mojego ojca.

Aldyth usiłowała się uklonić, lecz księżę powstrzymał ją ruchem ręki. Sam wstał, przysunął fotel z kunsztownie rzeźbionym oparciem i powiedział w nienagannej angielszczyźnie:

- Usiądź, pani.

Ze zdumienia zamrugła.

- Dziwisz się, że przemawiam językiem ludu, którym niedługo będę władał? A cóż w tym dziwnego? Ze wszystkich synów Zdobywcy tylko ja urodziłem się na mglistych wyspach.

- Znam... znam francuski, Wasza Wysokość - przypomniła mu.

- Oczywiście. Słyszałem nieraz - zapewnił ją. - Chciałem jednak, żebyś poczuła się swobodniej.

Patrzyła na niego oczarowana. Wreszcie zrozumiała, dlaczego był tak uwielbiany przez swoich przyjaciół. Po chwili jednak uświadomiła sobie, że to on był pośrednim sprawcą jakże niekorzystnej i komplikującej jej życie przemiany Ranulfa.

Księżę odstąpił nieco i obrzucił ją uważnym, choć życzliwym spojrzeniem, po czym zwrócił się do Ranulfa:

- Rzeczywiście. Jak mogłem być tak ślepy? Widzia-

łem w niej delikatnego chłopca. A te długie rzęsy, gładka, długa szyja, zaokrąglone kształty? Popatrzył na jej piersi.

- Mój książę, winienem ci pewne wyjaśnienia, skąd i po co wzięło się przebranie lady Aldyth... - zaczął rycerz, stając przy jej krześle.

Henryk parsknął śmiechem.

- To niekonieczne, milordzie. Szczerze mówiąc, bałem się o ciebie. Sądziłem, że przejąłeś... hm... zwyczaj mojego brata. Bez wątpienia bawiły cię moje podejrzania. Wspaniała tajemnica! Za dnia Edward spełniał wszystkie twe rozkazy, jak przystało na posłusznego pazia. Nocą miał inne obowiązki. Wyśmienite!

Ranulf zeszywniał odrobinę.

- Wasza Wysokość, lady Aldyth przyrzekła mi swoją rękę. Mamy zamiar się pobrać.

Książę zdumiał się, a potem dał krok w tył i uniósł obie ręce.

- Rzeczywiście, milordzie? To dlaczego nie powiesz od razu: „Przestań się na nią gapić tak łakomym wzrokiem? Ona należy do mnie!”. Widzisz, jakie to łatwe? Gratuluję obojgu - zakończył z uśmiechem.

- Dziękuję, Wasza Wysokość - odparł Ranulf, wciąż lekko zdenerwowany. - Mam szczęście, że lady Aldyth obdarzyła mnie swoją miłością.

- Owszem - sucho zauważył książę. - Powiedz mi tylko, po co ją zabrałeś w tak długą podróż, na dodatek przebraną za pazia?

Aldyth uznała, że Ranulf wziął już dość na siebie.

- To był mój pomysł, książę. Uciekłam do niego na

dwór w Winchester w chłopięcym przebraniu, aby schronić się przed narzeczonym.

- Narzeczonym? Masz zatem dwóch? - z humorem zapytał Henryk. - Mów dalej, moja miła. Twoja historia staje się coraz bardziej oryginalna. Doprawdy, zżera mnie ciekawość.

- W przeddzień ślubu odkryłam, że mój oblubieniec, Turolde ze Swanlea, jest łotrem i brutalem. Uciekłam przed nim na dwór królewski, pod opiekę mojego młodszego brata, Warina.

- A potem poprosiłaś lorda Ranulfa o pomoc? Musiałaś znać go od dawna, skoro twój ojciec jest wasalem jego ojca - zauważył książę.

Złączył dłonie koniuszkami palców i słuchał dalej.

- Nie od razu zwróciłam się do niego o przysługę - przyznała splotniona. - Przy poprzednim spotkaniu... kłóciliśmy się trochę. To było, zanim... spotkałam Turolda.

Henryk klasnął.

- Podejrzewam, że za tym kryje się coś więcej, ale nie musisz mówić mi wszystkiego. Resztę zachowaj w tajemnicy. Zdradź mi tylko, jak szybko Ranulf cię rozpoznał? Sam odkrył prawdę czy usłyszał o tym od kogoś pokroju Desideraty?

- Sam, Wasza Wysokość - odparła Aldyth i nieśmiało spojrzała na rycerza. - Ma bystry wzrok.

- W przeciwieństwie do mnie.

- Znałem ją wcześniej, panie - odezwał się Ranulf. Czuł się znacznie swobodniej, widząc zachowanie księcia. - Nie zapomniałem twarzy dziewczyny, którą od

dawna kochałem. Rozpoznałem ją mimo przebrania i grubego głosu.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie.

- I zabrałeś ją nawet do Rouen? - zapytał Henryk, zainteresowany dalszym przebiegiem historii.

- Tak, mój panie. Jak ci mówiłem wcześniej, przyjechali z nami także Urse i lady Vivienne. Nie wiesz jednak zapewne, że Vivienne nigdy nie była moją nałożnicą. Jeśli zaś chodzi o Aldyth... Cóż, między nami wciąż się nie układało, a nie mogłem mieć dwóch kochanek, prawdziwych czy nieprawdziwych.

- Dlaczego? - zapytał Henryk. - Ja mam ich znacznie więcej. Niekiedy nawet po kilka zabieram do łóżka. To dobra rozrywka, polecam. Och! - Urwał nagle. - Wybacz, milady - dodał z przekomiczną miną, udając zawstydzenie. - To przez ten mój niewyparzony język. Trochę się zagalopowałem.

- Nie miałem zezwolenia Waszej Wysokości - odparł Ranulf, wybawiając Aldyth od odpowiedzi.

- Bzdury. Lecz mimo to podzielałam twoje racje. Kiedy zaś między wami zaczęło się układać? Chyba nie na drodze z Rouen do Cotentin, bo przedstawiłeś mi ją jako Edwarda.

Ranulf, zupełnie zbity z tropu, chrząknął głośno.

- Dziś po południu, Wasza Wysokość - powiedziała Aldyth.

Henryk roześmiał się z zadowoleniem.

- Zatem Desiderata trafiła na właściwy moment?! Próbowaliście się pogodzić? - Klepnął się dłonią

w udo. - Znalazłeś prawdziwy skarb, milordzie. Szczerze ci zazdroszczę.

Aldyth zarumieniła się aż po korzonki włosów. Uświadomiła sobie, że kurtyzana bez wątplenia opisała księciu dokładnie całą scenę.

- Nie czerwień się, pani. To coś normalnego, pięknego i magicznego zarazem. Wstyd mi za Desideratę. Zaraza na jej rudą głowę! Przrzekam, że już więcej nie będzie wam przeszkadzać. Na całą resztę pobytu zabiorę ją wam sprzed oczu. Powiedz mi, lady Aldyth, że mi naprawdę przebaczasz.

Uśmiechał się jak mały chłopiec. Nie potrafiła się na niego gniewać.

- Tak, Wasza Wysokość.

W tej chwili była zdolna wybaczyć nawet Desideracie, zważywszy na to, że miała jej już nie oglądać. W końcu to nie wina tej małej kurtyzany, że zakochała się w Ranulfie. Kto by się nie zakochał.

- Raz jeszcze powiadam, że zazdroszczę ci, milordzie - ciągnął książę. - Niestety, ja wciąż muszę pamiętać o powinnościach królewskiego domu. W przeciwnym razie przypomniałbym pewien epizod z naszej młodości. Pamiętasz Lisette, Ranulfie? Tak, widzę, że pamiętasz. Opowiadałeś o niej swojej damie? Nie, na pewno nie opowiadałeś. Wybacz zatem, że cię wyręcę. To było przed wieloma laty, więc lady Aldyth bez wątplenia się na nas nie pogniewa. Łacniej, pani, zrozumiesz powody, dla których cię ukrywał. Po prostu mi nie dowierzał.

Henryk przerwał i wyczekująco popatrzył na Ranulfa.

- Dalej, mój książę. Wiem, że nie spocznieś, póki jej tego nie opowiesz - z uśmiechem zachęcił go rycerz.

- Proszę bardzo. Lisette była córką normañskiego dowódcy straży w Winchester. Piersiasta, piękna, o długich jasnych włosach i oczach niebieskich jak chabry. Urodzona uwodzicielka, choć liczyła nie więcej niż trzynaście wiosen. Oczarowała młodego Ranulfa, który dorastał wraz ze mną. Nawet nie patrzył na jej wady. Czczył nawet rąbek jej sukni. Przynosił jej fiołki i pierniki kradzione z kuchni. Wszystko za jeden uśmiech. Prawda, mój Ranulfie? Też miał trzynaście lat i był ładny jak diabli. Ja byłem o rok młodszy... i wredny. Prawda, Ranulfie? Od starszych wiedziałem, o co w gruncie rzeczy chodzi tej dziewczynie. Obserwowałem, jak patrzyła na wszystkich chłopców w zamku - bez różnicy - zbrojnych, szlachtę, służbę. Ale też nigdy w życiu nie zapomnę wzroku Ranulfa, kiedy pewnego razu zastał nas na sianie.

Książę umilkł i przeniósł wzrok z Aldyth na rycerza.

- Strasznie cię wówczas skrzywdziłem, milordzie. Nigdy potem nie zamieniłeś z nią ani słowa. Mnie jednak nie potępiłeś. Byłem pewien, że stłuczesz mnie na kwaśne jabłko, chociaż byłem księciem, a ty synem wasala. Uniknąłem kary, ale widzę, że nigdy o tym nie zapomniłeś. Przyznaj się, że to właśnie dlatego ukrywałeś przede mną prawdziwą tożsamość lady Aldyth.

Ranulf nie odpowiadał. Książę odczekał chwilę i uśmiechnął się promiennie.

- Nie mogę cię o to winić. Postuchaj, Ranulfie. Dziś się nie musisz się obawiać niczego z mojej strony. Da-

ma twego serca jest zupełnie bezpieczna. Wiem, że cię kocha i że ty ją kochasz. Zbyt mocno cenię sobie twoją wierność i przyjaźń, żeby ją wystawiać na tak niebezpieczną próbę. Zresztą bardzo wątpię, czy znalazłbym przychylność w oczach lady Aldyth.

- Jesteś niezwykle łaskaw, mój panie - z powagą odparł Ranulf.

- To tylko szczerość, nic więcej. Skoro pragniesz pojąć ją za żonę, to może i mnie zechcesz w charakterze świadka? Zarządę mszę za godzinę lub kiedy ci się spodobą.

Aldyth zachłysnęła się własnym oddechem.

- Poślubiłbym ją w tej minucie - oświadczył Ranulf. - Ale w pierw trzeba załatwić sprawę poprzednich zaręczyn.

- Ach, prawda. Kościół bywa czasem szalenie konserwatywny. Zaręczyny traktuje niemal na równi ze ślubem. No cóż, wstrzymamy się trochę. Zaraz napiszę do mojego biskupa, żeby zaczął przygotowania. Teraz, za waszym pozwoleniem, wrócę do czytania listu. Zabierz swą panią na kwaterę. Spotkamy się przy wieczerzy. Przyślę wam następny słoć z leczniczą maścią, bo pierwszy, jak słyzałem, padł ofiarą złości biednej Desideraty. I nie martwcie się - dodał z wesołym mrugnięciem - tym razem słuźący na pewno zapuka.

- Ma swojego biskupa? - zapytała Aldyth, kiedy znaleźli się na schodach.

- Na pewno - z uśmiechem odpowiedział Ranulf. - Gdyby zdołał zebrać trochę więcej pieniędzy, miałby

też kardynała lub nawet papieża. Chciałbym, aby nam pomógł unieważnić twój związek z Turoidem.

- Wspaniały człowiek - przyznała. - Zdaje mi się jednak, że niebezpieczny dla kobiet. Cieszę się, że mam ciebie, ukochany.

Popatrzyła mu prosto w twarz. Dotarli do szczytu schodów.

- A ja się cieszę, że mamy czas aż do wieczery. - Poglaskał ją po szyi. - Kiedy przyniosą maść, posmaruję ci bolącą kostkę, a potem przystąpię do masażu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Henryk dotrzymał swojego przyrzeczenia. Podczas wieczerzy Desiderata nie pojawiła się przy stole.

Księżę poprosił Aldyth, aby zajęła miejsce obok niego. Ranulfa posadził tuż przy niej. Początkowo nie potrafiła się oswoić z tą nagłą zmianą sytuacji. Jeszcze wczoraj była Edwardem, paziem lorda Ranulfa, i zginając kolano, podawała mu misę stawy. Teraz siedziała przy najwyższym stole, obok księcia, który być może miał zostać królem Anglii! Czyż nie zdumiałoby to jej ojca i obu braci?

Przed posiłkiem Henryk wyjął spod stołu drewniane szczudło, obite baranią skórą.

- Wykonał to mój cieśla z niewielką pomocą owczarza. Lord Ranulf nie może wciąż nosić cię na plecach, pani. Powinien oszczędzać siły na inne okazje - powiedział z porozumiewawczym uśmiechem.

Aldyth wiedziała, że w głębi duszy bawił się jej zakłopotaniem, lecz jednocześnie była wzruszona, że dbał o takie drobiazgi. W czasie wieczerzy traktował ją jak prawdziwą damę, podsuwał co lepsze kawałki ryb i mięsiwa. Dbął o to, aby jej kielich wciąż był pełny. Łaskawie spytał o rodzinę.

Rozmawiali swobodnie, lecz Aldyth wciąż czuła

przy sobie obecność Ranulfa. Wspominała chwile rozkoszy i z niecierpliwością wyczekiwała nocy. Pragnęła jak najprędzej znaleźć się w jego ramionach.

- Dzisiaj dostałem list od mojego brata Roberta - odezwał się Henryk do Ranulfa, gdy wieczerza zbliżała się ku końcowi. - Wygląda na to, że wkrótce będziesz musiał wracać do Anglii. Szkoda.

Rycerz niepewnie popatrzył na Aldyth. Ona ujęła go za rękę. Nie! To niemożliwe! Przecież nie zdążyli nacieszyć się swoim szczęściem!

- Spokojnie, nikt nie każe wam wyruszać już jutro - powiedział Henryk. - Z listu wynika, że Robert jest przekonany, iż pokłóciłeś się z Rudym. Czy to prawda?

Ranulf skinął głową.

- Wspomniałem mu, że doszło między nami do nieporozumień. To wystarczyło. Zaliczył mnie do grona swoich najbliższych przyjaciół i obdarzył połacią ziemi. Zbyt łatwo ufa ludziom, mój książę.

Henryk parsknął urywanym śmiechem.

- Głupiec z niego, i tyle. Z drugiej strony, szczerze się o ciebie martwi. Jest przekonany, że król planuje cię ukarać.

Ranulf zamyślił się.

- Był dla mnie bardzo łaskaw, książę. Mam nadzieję, że nie zazna krzywdy, bez względu na bieg wypadków.

Aldyth zauważyła cień na twarzy księcia.

- W gruncie rzeczy to zależy od niego, nieprawdaż? Donosi mi, że ani słowem nie wspomniał Wilhelmowi o twojej wizycie u mnie. W myśl oficjalnej wersji po-

zostaniesz w Rouen aż do Trzech Króli, więc do Nowego Roku nie musisz wyjeżdżać z Cotentin. Zanim ruszysz do Anglii, będziesz musiał spotkać się z Robertem. Chce cię zobaczyć. Bez wątpienia będzie wypytywał o mnie. Znów stałem się jego ukochanym bratem. Machnął ręką, jakby zupełnie nie dbał o nieufność i podejrzliwość panujące w ich rodzie.

- Masz więc okazję, żeby spędzić krótki miesiąc miodowy.

- Rad jestem, że nasza podróż do Anglii rozpocznie się w Rouen - z zadumą rzekł Ranulf. - Każdego można przekupić, a zwłaszcza żeglarza. Ktoś mógłby się dowiedzieć, że byłem w Cotentin, a wolałbym, aby ta wiadomość nie dotarła do królewskich uszu.

- Wybadaj sytuację po powrocie na dwór Wilhelma - powiedział Henryk. - Ale dość już o polityce. Świętujmy koniec starego roku!

Dwa dni minęły im jak złoty sen. Więcej czasu spędzali w łóżu niż poza nim, bezpieczni za murami wieży.

Aldyth nawet nie przypuszczała, że może być tak szczęśliwa. Gdyby wiedziała o tym wcześniej, nie czekałaby aż tak długo na miłość Ranulfa. Teraz, gdy usłyszała, że kochał ją także wówczas, kiedy spotkali się w Kingsclere, szczerze żałowała, że od razu mu nie uległa.

Ranulf był czułym i uważającym kochankiem. Nie pytała jednak, jak nabrał takiej wiedzy, talentów i doświadczenia. Sama uczyła się bardzo szybko. Rozpalała

w nim ogień żądry i grzała się przy tym ogniu. Przede wszystkim zaś wiedziała, że ją naprawdę kocha.

Z błyszczącymi oczami rozprawiali o dzieciach. Żywili nadzieję, że zdążą się pobrać, zanim na świat przyjdą owoce ich miłości.

- Wciąż siedzicie w łożnicy? - zapytał ksiązę Henryk, kiedy składali mu życzenia podczas uczyty w dzień Nowego Roku. - Nie nabawicie się odleżyn?

Aldyth, chociaż zdążyła przywyknąć do jego żartów, jak zwykle poczerwieniała.

- Nie zwracaj na mnie uwagi - rzekł dla uspokojenia. - Czuję się trochę samotny, bo Desiderata wyjechała nagle wczorajszego ranka.

- Naprawdę, Wasza Wysokość? Och, tak mi przykro! - zawołała Aldyth.

Kłamstwo. Wcale nie było jej przykro. Cieszyła się, że nawet przypadkowo nie spotkają się więcej na zamku.

- Nie myśl o tym, pani. - Lekceważąco machnął dłoń. - Zażęskni za mną... i za moją kiesę. Na pewno wróci, miaucząc i prężąc się jak kotka. A na razie wznieśmy kielichy w toaście za nowy rok tysiąc osiemdziesiąty ósmy. Wszystkiego najlepszego!

Kielichy powędrowały w górę.

- Za pokój i dobrobyt w Anglii - dodał Ranulf.

- W rzeczy samej - mrugnął do niego ksiązę.

Za nasze wspólne bezpieczeństwo, pomyślała Aldyth. I za szybki ślub z Ranulfem.

Henryk rzeczywiście nie płakał za Desideratą. Tuż po uczcie Aldyth widziała go przelotnie w ciemnym ko-

rytarzu. Obejmował inną z dam zamieszkujących zamek, drobną blondyneczkę o imieniu Alinor.

Henryk zdumiałby się zapewne, gdyby wiedział, że w tym samym czasie Desiderata zdążyła dojechać do Barfleur i dobiła targu z kapitanem promu odchodzącego do Anglii. Stateczek miał wyruszyć przy pierwszej sposobności, kiedy tylko pogoda na to zezwoli.

Piękna kurtyzana płaciła swoim ciałem, więc pierwszą noc spędzili w portowej tawernie. Dzięki temu mogła zachować szafirowy naszyjnik, potrzebny na inne wydatki. Miała go oficjalnie dostać od Henryka dopiero w dzień Nowego Roku, ale skradła go bez wahania.

Trochę tęskniła za księciem, jego dowcipem i wygodnymi komnatami, lecz gniewało ją, że miała pozostawać w ukryciu aż do końca wizyty lorda Ranulfa i jego zielonookiej kochanki.

Znała wielu ludzi dzierżących nie mniejszą władzę. Wiedziała, że jej nie zawiodą. Miała więc lokum w Anglii, ale wyjeżdżała gnana inną potrzebą. Najsilniejszym uczuciem ze wszystkich. Żądzą zemsty.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

- *Adieu, Noel* - zaśpiewała Aldyth, kiedy dziewiątego stycznia, na wynajętych koniach, wyruszyli z Portchester na północ.

Ranulf uśmiechnął się, słysząc słowa francuskiej pieśni.

- Poprawiłaś swoją wymowę - stwierdził. - Pozbyłaś się śmiesznego angielskiego akcentu.

- Naprawdę? - Zmarszczyła nosek, a potem roześmiała się na całe gardło. - Przecież wiesz, że od kołyski mówiłam w obu językach!

- I nawet dobrze ci to wychodziło. Oczywiście jak na Angielkę.

Zamachnęła się, niby to zagniewana. Złapał ją za rękę i ucałował końce palców.

- Żartuję, moja droga. Chociaż z drugiej strony muszę przyznać, że w gniewie jeszcze bardziej mi się podobasz.

Wydeła usta.

- Cieszysz się tylko z tego powodu, że poznałam francuskie słówka mocno związane z miłością.

Jej spojrzenie sprawiło, że krew uderzyła mu do głowy.

- Najlepiej uczyć się w łóżu - powiedział wesoło. -

A ponieważ zostało nam tylko kilka mil do Beauworth, proponuję, żebyśmy stanęli tam na noc. Teraz zbliż się, bo cię nie całowałem co najmniej od godziny.

I tak jechali, strzemię w strzemię, napawając się swoim szczęściem.

Sprawiali niecodzienny widok, ponieważ w dzień wyjazdu z zamku księcia Henryka Aldyth na nowo przebrała się za Edwarda, żeby uniknąć ciekawskich spojrzeń dworaków Roberta i Wilhelma. Tutaj jednak, na pustym szlaku, mogli sobie pozwolić na trochę więcej swobody.

- Ach... - westchnęła Aldyth, wciąż czując na ustach smak ostatniego pocałunku. - Kiedy dotrzemy do Beauworth?

Ranulf uśmiechnął się.

- Niedługo, kochanie. Gdyby to było lato, przywiązałbym konie do drzewa i wykorzystalibyśmy pobliski stóg siana.

Wskazał palcem na pozostawioną stertę.

- Więc wrócimy tu latem - zdecydowała. - Och, Ranulfie. Zawsze będzie tak cudownie jak teraz?

Pytała, czy ich miłość przetrwa próbę czasu, czy każde spojrzenie, każda pieszczota będzie podsycala czułość i namiętność. Czy nie przestaną się lubić, szanować i kochać.

- Na pewno. Zbyt długo cierpieliśmy w milczeniu, każde z nas zdane wyłącznie na siebie, swoją wolę i swoją wiarę w siłę uczucia.

Na Boga! Kochał się z nią rano, w gospodzie w Portchester, a już był gotów na miłość ponownie.

- Jeśli się nie pospieszymy, przyjdzie nam spędzić wieczór w jakiejś przydrożnej chacie - powiedziała, zerkając na niebo, na którym gromadziły się ciężkie szare chmury. - Będzie śnieżycą.

Dotarli do Beauworth, kiedy na ziemię spadły pierwsze białe płatki.

Zamek był mniejszy niż w Kingsclere, lecz strzeżony dla Ranulfa przez garnizon dziesięciu zbrojnych pod dowództwem sir Rene FitzGilberta. Ten normański rycerz był stanowczy i wymagający, ale przyjazny ludziom. Jego żona Marie zajmowała się gospodarstwem.

Ranulf przyznał się ukochanej, że niezbyt często zaglądał do Beauworth, chociaż posiadłość leżała zaledwie godzinę konnej jazdy od Winchester. Jednak FitzGilbert zawsze był gotów na wizytę swojego pana. Potwierdziło się to i dzisiaj.

Lady Marie powitała gości na dziedzińcu i zaprowadziła ich do wielkiej sali. Smaczny posiłek stanął na stole w niecałą godzinę.

- Masz wiele szczęścia, że trafiłeś na tak uczciwego i porządnego rządcę - cicho zauważyła Aldyth, rozglądając się po wnętrzu.

- Marie przysięga, że idzie do kuchni jedynie wówczas, gdy zaczyna ją łupać w kolanie. To ponoć nieomylny znak, że nadjeżdżam - odparł Ranulf na tyle głośno, że jego słowa dobiegły uszu gospodyni.

Marie uśmiechnęła się promiennie.

- Nigdy jej nie przyłapałem na leniuchowaniu. Podejrzewam, że to sir Rene mocno ją trzyma w ryzach.

- Ha! Ależ skądże! Zapewniam cię, że jest zupełnie

na odwrót, milordzie - zawołała Marie. Energicznie trąciła łokciem swojego posepnego męża. - Ten leń grałby tylko w kości, gdybym go nie pilnowała.

- Nic podobnego, droga żono - sir Rene ujął się honorem. - Przyznaj się, że dostajesz w skórę, ilekroć z czymś skrewisz.

Z ich czułych spojrzeń jasno wynikało, że to tylko niewinne żarty.

Podczas gdy Aldyth brała kąpiel w komnacie za wielką salą, Ranulf opowiedział gospodarzom o jej przygodach i wyjaśnił, dlaczego przyjechała w chłopcym przebraniu. Na czas pobytu w Beauworth miała nosić suknię.

- Sądziś, milordzie, że król nawet w porcie ma swoich szpiegów? - zapytał sir Rene.

- To całkiem możliwe - ponuro stwierdził Ranulf.

- Zwłaszcza teraz, kiedy podejrzewa, że ksiązę Robert zawiązał przeciw niemu spisek.

- Tak, słyszałem te plotki. - Rycerz pokiwał głową.

- Trudno nie słyszeć, jak się siedzi tak blisko Winchester.

- Ach, moje dzielne biedactwo! - zawołała Marie, przejęta losem Aldyth. - Widziałam, że ma ze sobą tylko jedną suknię. Na pewno coś znajdziemy w moim przepastnym kufrze.

- Dziękuję, lady Marie. Wiedziałem, że na ciebie zawsze mogę liczyć. Chwilę potrwa, zanim bezpiecznie odwożę ją do domu - powiedział Ranulf.

Później jednak, kiedy leżał wtulony w ramiona ukochanej, omal się nie pokłócili.

- Nie rozumiem, dlaczego jako Edward nie mogę pojechać z tobą na dwór króla! - zawołała Aldyth. - Muszę tu zostać na czas twojego pobytu w Winchester i w Londynie? Nie chcę cię opuszczać nawet na minutę!

- Nie będziesz sama. Lady Marie dotrzyma ci towarzysztwa - oznajmił Ranulf.

Doprowadzał ją do wściekłości swoim niezmaconym spokojem.

- Na królewskim dworze nie byłabyś bezpieczna - dodał poważnym tonem.

- Przedtem byłam - nie ustępowała Aldyth.

- Przez jakiś czas tu pozostaniesz - rzekł tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Nie rozumiesz, że w twojej obecności zachowywałbym się inaczej? Ktoś od razu domyśliłby się całej prawdy!

Przesunął dłońmi po jej plecach i zaśmiał się jak szalony. Aldyth zachichotała.

- Bądź cierpliwa. To już nie potrwa długo. Zobaczą tylko, co się dzieje, i porozmawiam z Warinem. Dałem mu znać, że wracam, więc będzie czekał. Ciekawe, czy coś słyszał o Godricu albo o Tuoldzie.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Spróbujesz w jakiś sposób powiadomić też mego ojca? Powinien wiedzieć, że jestem w Anglii, do tego cała i zdrowa!

Ranulf już wcześniej wysłał pismo zawiadamiające kasztelana o losach jego córki. Sir Nyle odpowiedział, iż rad jest niezmiernie, że podróżują razem.

- Tylko wówczas, jeżeli zdołam zrobić to po kryjomu. Nie chcę, aby Godric dowiedział się o nas. Na pew-

no nie wyleczył się z niechęci do Normanów, a zwłaszcza do Normana, który pokochał jego siostrę.

Aldyth musiała przyjąć jego słowa i nie protestować dalej. Miał swoje racje. Mimo to z niechęcią myślała o rozstaniu. I tak już stracili mnóstwo cennego czasu. Pocieszała się myślą, że gdy zostanie w Beauworth, na dobre porzuci przebranie pазia i że nie musi ścinać włosów, które nareszcie zaczęły jej odrastać.

- Wcale nie chcę cię zostawiać, najmilsza - powiedział Ranulf. - Musisz być jednak cierpliwa dla naszego wspólnego dobra. Wierz we mnie. Krok po kroku będę dążył do tego, aby wymknąć się spod wpływów króla.

- Zdołasz to zrobić?

- Myślę, że tak, chociaż w tych sprawach nie wolno się spieszyć. Powiem, że mój rodzic staje się coraz starszy i że potrzebuje mnie w Kingsclere. Powiem także, iż chcę częściej wpadać do Beauworth, bo sir Rene trochę zaniedbał swoje obowiązki. To zresztą żadne kłamstwo. Każdy kasztelan w tym kraju powinien czuć rękę pana, z wyjątkiem twojego ojca. Będziemy zatem widywać się jak najczęściej. Z Winchester mam zaledwie dwie godziny drogi, ale za to dwa dni z Londynu.

Wciąż była smutna, więc zapewnił ją, że sercem pozostanie przy niej.

Aldyth westchnęła ciężko i zamknęła oczy. Skoro tak być musiało... Postanowiła, że najbliższe dni spędzi w towarzystwie lady Marie. Chciała się nauczyć, jak przyrządzać przepyszny pasztet z wieprzowiny.

Desiderata uznała, że wybrzeże Anglii, do którego przybił stateczek, nie wygląda zbyt gościnnie. Postanowiła jednak nie zwracać na to uwagi i skupić się na misji, którą miała do wypełnienia.

Za naszyjnik z szafirów kupiła w Dover białego ogiera i w towarzystwie dwóch zbrojnych wybrała się w dalszą drogę. Jechała na dwór, do króla. Chciała czym prędzej powiadomić Wilhelma Rudego, kim naprawdę jest Ranulf z Kingsclere i kogo uważa za swojego prawowitego pana.

Nie mogła się doczekać chwili, w której rzuci na kolana dumnego normńskiego rycerza. Nie powinien wzgardzić jej wdziękami. I to dla kogo?! Dla angielskiej kochanicy! Będzie miał teraz za swoje!

Zresztą, ta młódka także się doczeka. A ona, Desiderata, będzie im śmiać się w twarz.

Zbrojni, którzy ją ochraniaли, słabo mówili po francusku. Traktowała ich na przemian czule i ze złośliwą zadziornością. Chociaż nie znała nawet ich imion, rozmyślała nad tym, czy przed końcem podróży nie wziąć obu do łóżka. Byli urodni, dobrze zbudowani, o jasnych włosach i wąsiskach. W niczym nie przypominali rycerzy z kontynentu.

Trzydzieści mil za Dover popatrzyli po sobie i zanim dama się spostrzegła, ściągnęli ją z siodła i popchnęli w krzaki.

Tam, nie zwracając uwagi na jej gniewne krzyki, wzięli to, co zamierzała później dać im sama. Zabrali także wierzchowca i resztę pieniędzy.

- Tak się u nas traktuje normańskie ladacznice - rzucił jeden przez ramię na odchodnym.

Następnego dnia znalazło ją dwóch mnichów. Leżała na poboczu drogi. Zawiedli ją do pobliskiego żeńskiego klasztoru. Przed wieczorem dostała gorączki i majaczyła coś od rzeczy. Medyk powiedział, że to zapalenie płuc. Dwa miesiące trwało, zanim wróciła do zdrowia.

- Mam, najmilsza! - zawołał Ranulf pewnego dnia pod koniec lutego, wymachując zwiniętym pergaminem. Ostрым kłusem wjechał za palisadę. Jak zawsze podczas wizyt w Beauworth towarzyszył mu rozradowany Warin.

- Co masz? - zapytała.

Dokument wyglądał na bardzo ważny, obciążony był bowiem licznymi pieczęciami wiszącymi na purpurowych wstążkach.

Z zachowania Ranulfa jasno wynikało, że nie ma najmniejszego powodu do niepokoju. Rycerz zeskokzył z konia i podbiegł do ukochanej, czekającej w progu. Warin pędził u jego boku.

- Wejdźcie do środka - zaprosiła Aldyth, widząc parę buchającą z ich ust przy każdym oddechu. - Ogrzejcie się przy kominku.

- Kochanie, gnałem przez całą drogę z Londynu, żeby ci przywieźć radosną nowinę!

Pochwyił ją w ramiona, uniósł i zakręcił wkoło, nie bacząc na zaciekawione spojrzenia zbrojnych i lady Marie.

- Jesteś wolna!
- Wolna? Postaw mnie natychmiast! - rozkazała. - Nie potrafię myśleć, gdy mi się kręci w głowie!

Śmiał się jak szalony.

- Wolna. W Londynie odnalazł mnie po kryjomu goniec księcia Henryka. Przywiózł oficjalne unieważnienie twoich zaręczyn z Tuoldem ze Swanlea. Koniec twoich zmartwień, najśłodsza.

Głęboko zaczerpnęła tchu i wsparła się całym ciałem na ramieniu ukochanego. Miała wrażenie, że śni. Wolna! Nareszcie wolna od uprzykrzonej przeszłości, która kładła się cieniem na ich szczęściu.

Ranulf przyklęknął na jedno kolano.

- Wyjdiesz za mnie, Aldyth? Najszybciej jak to możliwe?

- Hurra! - krzyknął Warin. - Powiedz „tak”, siostrzyczko!

Aldyth uciszyła go stanowczym ruchem dłoni. Przeszkadzał jej zebrać myśli.

- Naprawdę możesz mnie poślubić? - zapytała Ranulfa. - A co z królem? Jak mu to wytłumaczysz?

- Mogę. Co z królem? Nie jestem zupełnie pewien. Ostatnio stał się nerwowy. Zbyt wiele złośliwych plotek krąży na jego temat. Sam nie wie, komu wierzyć. Ale chcę, żebyś była moja, Aldyth, przed Bogiem i ludźmi!

- Warinie, idź do kuchni. Na pewno znajdziesz tam jakieś pierniki.

- Ale ja... - próbował zaprotestować, lecz posłusznie odszedł.

- Ranulfie, poślubiłabym cię nawet w tej minucie - powiedziała, kiedy zostali sami. - Nie chcę jednak ściągnąć na twą głowę królewskiego gniewu. Nie możemy poczekać, aż Henryk zasiądzie na tronie? Od dawna jestem ci jak żona. Co to zmieni, że kiedyś staniemy przed ołtarzem?

Przytulił ją do siebie i pogładził po kasztanowych włosach.

- Jesteś moją żoną - przyznał.

Ujął ją pod brodę i skłonił do tego, żeby mu popatrzyła prosto w oczy.

- A jeśli doczekamy się dziecka, kochanie? Jeśli już teraz nosisz pod sercem nowe życie? Nie chciałbym, aby przyszło na świat bez ślubu.

Miał rację. Aldyth wzięła głęboki oddech.

- Dobrze, pobierzmy się, ale w tajemnicy. Tutaj, w Beauworth - powiedziała. - Książ się zgodzi, prawda? Zdołasz tu sprowadzić też naszych rodziców?

- Oczywiście! Przyjadą i oni, i Warin. Nie jestem pewny tylko Godrica. Ojciec mi pisał, że wciąż jawnie obnosi się z wrogością do Normanów. Z wyraźnym przymusem spełnia polecenia earla. Nie możemy mu w pełni zaufać, najdroższa. Chyba lepiej będzie, jeśli nieco później dowie się o naszym małżeństwie.

Westchnęła.

- Masz rację, choć przyznaję, że jest mi bardzo przykro. Myślisz, że przyjdzie taka chwila, kiedy i on przejrzy na oczy?

Pocałował ją.

- Musisz w to wierzyć, kochanie. A tymczasem zaczniemy przygotowania do ślubu. Twój ojciec, moi rodzice i Warin będą naszymi świadkami.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Następnego dnia okazało się jednak, że nie pora słać ślubne zaproszenia do Kingsclere i Sherborne. W południe, na spienionym koniu, przybył królewski posłaniec z Londynu. Zwiastun złych wieści.

Król wzywał Ranulfa i kilku innych baronów z najbliższego grona na wyprawę w głąb południowo-wschodniej Anglii, gdzie wybuchł bunt szlachty. Lord Ranulf miał jak najszybciej dołączyć do pozostałych.

Królewskie wojska zaatakowały fortece buntowników w Hastings, Dover i jeszcze paru miastach, lecz przywódcy rebelii uniknęli kary. Uciekł stryj władcy, biskup Odo, uciekł również Eustace, hrabia Boulogne, a także trzej synowie earla Montgomery. Robert bezpiecznie tkwił w Rouen. O Henryku nic nie było słycać.

Ranulf napisał do niego obszernie sprawozdanie z ostatnich wydarzeń i prosił o przekazanie poleceń, jak powinien w takiej sytuacji postępować. Po drodze do Cotentin posłaniec miał zahaczyć o Beauworth, pozornie po to, by przekazać rozkazy na ręce sir FitzGilberta. W rzeczywistości wiozł tajny list do Aldyth.

Ranulf donosił w nim, że król był wściekły z powodu ucieczki buntowników. Kazał swoim doradcom zjechać na Wielkanoc do Londynu. Opieszających z góry uz-

nał za swoich wrogów. Ranulf przeproszał ukochaną: „Myślami wciąż jestem przy Tobie”. Niestety, w najbliższym czasie nie mógł przyjechać do Beauworth. Po świętach król zarządził powszechną mobilizację - i co ciekawsze, wielkie nadzieje pokładał w angielskiej szlachcie.

Aldyth płakała, czytając to pismo. Minęło już sześć tygodni, odkąd ostatni raz widziała ukochanego. Ogromnie za nim tęskniła, a tu ciągle nie było znaku, że ich rozłąka dobiegnie końca i wreszcie się pobiorą.

Przycisnęła pergamin do piersi i położyła się na podwójnym łożu, które było świadkiem miłosnych uniesień zakochanej pary. Czowała się opuszczona i samotna.

Gdybyż tak miała dziecko, któremu mogłaby poświęcić swą uwagę! Czas mijałby jej o wiele szybciej. Szybko by małe ubranka i cierpliwie czekała na powrót Ranulfa. Niestety.

Wpatrzona w migotliwy płomień świecy, snuła rozmaite plany.

- Powiadam ci, Tuoldzie, też bym w to nie uwierzył, gdybym tam nie był i nie słyszał wszystkiego na własne uszy! - oznajmił Godric. Siedzieli we dwóch przed kominkiem, po wieczerzy, którą im przyrządziła matka Tuolda, Gundreda.

Godric przyjechał w gości do Swanlea, przywożąc zadziwiające wieści.

- Ale dlaczego Rudy miałby od nas domagać się po mocy? - z powątpiewaniem zapytał Tuold. - Anglicy byli mu potrzebni jedynie do ściągania podatków.

- Nigdy dotąd nie stanął w obliczu otwartego buntu. Do jego przeciwników należą najstarsze rody Norman dii. Zgromadzili poważne siły i popierają księcia Roberta. Z drugiej strony, nawet mój pan z Kingsclere był mocno zaskoczony, kiedy Wilhelm obiecał redukcję podatków i zwrot ziemi wszystkim Anglikom, którzy odpowiedzą na jego wezwanie. Przyrzekł także oddać nam prawo polowania, zniesione przez Zdobywcę. Wspominał coś, że najlepsi dostaną pas rycerski.

Godric położył dłoń na ramieniu druha.

- Pomyśl, ile moglibyśmy przez to osiągnąć. Chodź ze mną, Turoldzie. Nie bądźmy głupcami.

- Będziesz się bił za Normanów? - zapytał Turol.

- A co z lordem Etienne? Wszak jesteś jego giermkim. Nie wydał ci innych rozkazów?

- Powiedział, że jeśli chcę, mogę dołączyć do angielskich oddziałów - odparł Gordic. - Wiedział, że wolę takie rozwiązanie.

Turol z podziwem mruknął coś pod nosem.

- Uczciwy układ. A gdybym tak poszedł?.. Śmieszne. Byłbym rycerzem?

- Nie chcę, żebyś wyjechał, Turoldzie - odezwał się jakiś głos z cienia za ławą. Nie była to jednak Gundreda.

Z kąta wychyliła się Maud, w mocno zaawansowanej ciąży. Miała na sobie jedynie poplamioną tłuszczem koszulę.

Turol pogroził jej pięścią.

- Co ci mówiłem, flądrowo? Żadna baba nie będzie mną rządzić!

- Nawet matka twojego dziecka? Nie chcesz być przy jego narodzinach?

Lubił ją, kiedy zaspokajała jego pilne potrzeby, ale przez resztę czasu po prostu go drażniła. Ciągłe się czegoś domagała. Kiedy wrócił z pogoni za Aldyth, przed Bożym Narodzeniem, powiedziała mu, że jest w ciąży. Żądała, żeby się z nią ożenił. Gdy jej oznajmił, że według prawa nadal jest zaręczony, przypomniała mu, że są jeszcze inne, o wiele starsze, dobre saskie zwyczaje.

Ponuro łypnął na nią ponad stołem.

- Uptynie jeszcze mnóstwo czasu, zanim ten szczeniak się urodzi. A poza tym, po co ci jestem potrzebny?

- Nie chciałbyś go zobaczyć? - spytała, ale Tuold już wrócił do przerwanej rozmowy z Godrikiem.

- Trzeba nam będzie dopilnować, aby król spełnił wszystkie obietnice - powiedział. - Wiesz, jak to bywa z Normanami. Kiedy przychodzi do płacenia, to nagle mają krótką pamięć.

- Tak bywało. Teraz jednak będziemy stać pod bronią, rozciągnięci na całym wybrzeżu. W razie potrzeby zmieciemy króla do morza.

Podali sobie ręce. Od tej chwili nie byli już zwykłymi przyjaciółmi, ale towarzyszami broni.

Tuold jednak nie zapomniał o Maud, chociaż udawał przy Godricu, że jest mu obojętna. Obiecał sobie, że nie pozwoli, aby jakaś dziewczka przynosiła mu wstyd przy gościach. Nocą, kiedy Gundreda spała, wziął kochankę za rękę i wyprowadził na dwór.

Myślała, że zlegną gdzieś w krzewach, bo noc, jak na wczesną wiosnę, była wyjątkowo ciepła. Kiedy jed-

nak znaleźli się na podwórku, począł bić ją i kopać gdzie popadnie. Wreszcie zostawił, zapłakaną, na jakiejś kupie gnoju.

Godzinę później zaczęła krwawić. Nad ranem poroniła maleńkie, martwe dziecko.

Przez cały ranek histerycznie płakała. Turoid, zajęty pakowaniem, nie zwracał na nią uwagi. Gundreda mu pomagała. Maud wstała wreszcie, wytarła krew z ud i zakopała maleństwo w płytkim grobie.

Potem zaś uśmiechnęła się tajemniczo, przypomniawszy sobie młodego pisarczyka, który kilka dni temu przywiózł jakiś dokument opatrzony licznymi pieczęciami. Teraz była nawet rada, że nie powiedziała o tym Turoidowi. Nie potrafiła czytać, ale podejrzewała, że to list od Aldyth z propozycją ugody.

Spaliła pergamin, nie wiedząc nawet, że zawierał unieważnienie zaręczyn Turoida z córką kasztelana.

Dwa tygodnie po Wielkanocy król zebrał swoich rycerzy na odprawę przed walką z biskupem Odo, głównym sojusznikiem Roberta. Nie tak dawno szlachetny biskup najechał hrabstwo Kent, a potem się wycofał z łupami do Rochester.

Wilhelm zamierzał spalić kwaterę Odon, lecz jako dobry strateg wiedział, że przedtem musi zabezpieczyć tyły. Postanowił zatem wysłać główny trzon armii na południe, gdzie czekał Gilbert FitzRichard z Tonbridge.

- Ty, Robercie FitzHaimo oraz ty, Ranulfie, ruszycie na Rochester. Nie zwlekajcie. Przytrzymajcie biskupa w oblężeniu, dopóki nie nadejdę.

Ranulf skłonił się. Z cichym westchnieniem popatrzył za odjeżdżającym królem.

- Długo to trwa, nieprawdaż, panie? - odezwał się wierny Urse.

Ranulf cieszył się z obecności giermka. Ogromny Bretończyk dołączył do niego podczas zjazdu w Londynie.

Od wyjazdu z Normandii wypełnił wszystkie polecenia. Ożenił się z Vivienne i osiadł w wynajętym domu w Londynie. Oznajmił z dumą, że właśnie oczekują swego pierwszego dziecka. Wspomniał też coś o fochach Warina, który boczył się, że znów musiał pozostać w domu. Ranulf chciał mu oszczędzić okropności wojny. Jak spojrzełby w oczy Aldyth, gdyby młokos zginął? Gdy Warin dorośnie, będą inne potyczki.

- Po części chciałbym ruszyć z Rudym - przyznał się giermkowi. - Wątpię, czy nasz skromny oddział wytrzyma nieuchronne starcie z wojskami biskupa.

Z drugiej strony, rozłąka z królem miała też dobre strony. Gdyby tak Henryk zechciał wesprzeć jednego z braci? Którego by wówczas wybrał? Jeśli Roberta, też lepiej się trzymać z dala od Rudego.

- Dobrze chociaż, że Godric i Tuold pozostali wraz z główną armią - westchnął. Zdziwiło go, kiedy ich zobaczył w angielskich oddziałach Wilhelma. - Mam nadzieję, że kiedyś zawrę pokój z Godrikiem, lecz Turoidowi nigdy nie wybaczę - podkreślił z mocą.

- Rad byłbym, gdyby zginął w wojennym zamieszaniu, zanim się spotka z tobą na ubitej ziemi

panie - rzekł Urse. - Chociaż ty zapewne wolałbyś inaczej.

Ranulf uśmiechnął się ponuro.

- Wiesz co, Urse? Ile razy pomyślę, co on zrobił Aldyth, mam ochotę powoli drzeć z niego pasy.

- To samo uczyniłbym, gdyby ktoś próbował skrzywdzić moją panią.

Na pewien czas Ranulf był wolny od podejrzliwych spojrzeń. Godric i Turolf nie zapomnieli o jego uczuciach do Aldyth. Żaden z nich też nie wierzył jego zapewnieniom, że nie wie, gdzie się skryła.

Parsknął śmiechem. Urse spojrział na niego pytająco.

- Pomyślałem sobie, że byliby zdumieni, wiedząc, iż Aldyth cała i bezpieczna spokojnie mieszka w Beauworth.

Urse zadudnił śmiechem. Patrzył gdzieś przed siebie.

- Jesteś pewny, milordzie?

- Co to za pytania? Oczywiście, że jestem.

W tej samej chwili, jakby na zaprzeczenie jego słów, na łące pojawił się jakiś jeździec galopujący na kucu. Zbliżał się wprost do armii idącej na Rochester.

- Niemożliwe - syknął Ranulf. - Zostawiłem ją pod opieką sir FitzGilberta i lady Marie. Miała tam na mnie czekać.

Obiecał w liście, że wkrótce ponownie napisze, aby wiedziała, na kiedy szykować wesele. Tymczasem miała się zająć szyciem ślubnej sukni. Postanowili wspólnie, że ceremonia odbędzie się niezależnie od tego, czy Wilhelm Rudy pozostanie królem Anglii, czy Henryk zasiądzie na tronie.

Urse zniżył głos, żeby go nie słyszał jadący w pobliżu FitzHaimo.

- A kiedyż to cię słuchała, jeśli nie chciała słuchać, milordzie? - zapytał z szerokim uśmiechem.

Jeźdźcem naprawdę była Aldyth, ponownie przebrana za pazia i wesolotka jak skowronek. Ściągnęła wodze i zmusiła kuca do truchtu.

- Och, widzę, że mój paż już wraca - beztróskim tonem przemówił Ranulf do Roberta FitzHaimo. - Wyśmienicie. Wysłałem go z listem do ojca, do Kingsclere. Na pewno przywiózł mi odpowiedź.

Spojrzał na giermka i rzekł przyciszonym głosem:

- Przysięgam, że za godzinę Edward wróci do Beauworth pod twoją eskortą. Dam wam nawet jeszcze jednego żołnierza - syknął przez zęby.

Nie mógł narażać ukochanej na niebezpieczeństwa bitwy i oblężenia.

- Tak, milordzie - odpowiedział Urse, ale nie wydał się zbyt przekonany.

Ranulf wyjechał paziowi naprzeciw.

- Co tu robisz? - burknął ostrym tonem, a jednocześnie chłonał wzrokiem każdy cal urodziwej twarzy.

- Na litość boską, znowu obcięłaś włosy!

- Odrosną - parsknęła śmiechem na widok jego powagi. - Sam przyznaj, że się cieszysz z naszego spotkania, chociaż żyły pulsują ci na czole, jakby za chwilę miały pęknąć. Zawsze tak się dzieje, gdy jesteś naburmuszony.

- Tak się cieszę, że mógłbym sprawić ci porządne lanie. Zrobię to, gdy tylko znajdę jakieś ustronne miejsce. Natychmiast wrócisz do Beauworth.

- Nie. A jeśli spróbujesz mnie tam odesłać, ucieknę i po cichu pociągnę za oddziałem. Co lepsze: mieć mnie na oku czy pozwolić, żebym jechała sama?

- Chcesz mieszkać w obozie pełnym żołnierzy? Pod groźbą ciągłego ataku? A jeśli tego ci jeszcze mało, to wiedz, że przed niespełną godziną spotkałabyś tu Godrica i Turola. Na pewno doszłoby do walki.

- Godric był tutaj? I T-Turol? - Pobladła przy ostatnim słowie.

- Tak. Zaciągnęli się na służbę króla, do angielskich oddziałów. Pomaszerowali teraz na południe, do Tonbridge, ale na pewno wrócą. Co wtedy zrobisz, Aldyth? Wiesz już, dlaczego jak najszybciej powinnaś wrócić do Beauworth?

Pomachała ręką Bretończykowi i popatrzyła z powrotem na Ranulfa.

- Nie opuszczę cię - powiedziała z uporem. - Słyszałam, że Warin został przy lady Vivienne. Dziękuję, że się o niego troszczysz... ale teraz - dodała szybko - nie masz nikogo, kto by ci gotował i dbał o ubrania.

- Giermek może to robić - mruknął Ranulf.

- Nie tak dobrze jak ja. - Uśmiechnęła się olśniewająco.

Westchnął ciężko. Prawdą było, że Urse nie potrafił wielu rzeczy.

- Poza tym, w czym ci pomoże, jeżeli go odeślesz razem ze mną? Lepiej zostanę. Będę ci służyć i nikt się niczego nie domyśli. Nie mam zamiaru beczynnie siedzieć w Beauworth. Nie jestem głupią gęsią.

- Jesteś, skoro mnie nie posłuchałaś- orzekł, ale już

wiedział, że znów go pokonała. Nie mógł się przecież kłócić z nią pośrodku traktu. Nie mógł jej też odesłać bez eskorty. I dosyć już wycierpiał przez tygodnie rozstania.

- Obiecuj, że po ślubie będziesz mnie słuchała bez najmniejszych sprzeciwów.

- Obiecuję, milordzie - powiedziała z powagą, lecz w jej oczach zamigotały iskierki radości.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

- Witajcie, dobrzy żołnierze. Mogę się do was przysiąść przy ognisku? Zimna dziś noc jak na koniec maja.

Desiderata patrzyła na siedzących przy ogniu wojaków. Oni z kolei z napięciem wpatrywali się w solidny kawał mięsa, piekącego się na patyku. Wcale im się nie dziwiła. Trudno nawet myśleć, a co dopiero wojować o pustym żołądku. Uśmiechnęła się. Gdyby ją zaprosili do wspólnej wieszery, miała kilka miedziaków, ukrytych w sakiewce. No i siebie.

- Siadaj - odparł ten jasnowłosy. Drugi patrzył bez słowa. - Zjedz z nami, moja piękna. Nieczęsto zdarzają się nam wizyty tak urodziwych Normanek.

- To prawda - odezwał się drugi.

Nie był zły, ale też wcale się nie uśmiechał. Desideracie to wystarczyło. Nie muszą obaj mnie kochać, pomyślała. Wystarczy, żeby jeden się posunął, zrobił miejsce przy ogniu i podał kawałek mięsiwa. Gdyby zaś obaj mieli na mnie chrapkę, z pewnością doszłoby do bójki.

- Och, jesteście Anglikami - bąknęła, jakby dopiero teraz zauważyła ich długie włosy, krzaczaste wąsy i srebrne bransolety, noszone na ramieniu.

- A i owszem - mruknął jasnowłosy. - Mam na-

dzieję, że mimo wszystko nie pogardzisz naszą kompanią.

Poklepał ziemię koło siebie, zapraszając Desideratę, by usiadła.

- *Non, pas du tout.* Ależ skądże! - powtórzyła po angielsku. - Trochę poznałam wasz język od czasu, gdy zamieszkałam w Anglii. Wiem, że jesteście... jak to się mówi? Szczodrzy i bitni, milordowie.

Pochlebstwo czyniło cuda.

Jasnowłosy nieomal padł na ziemię, by ucałować jej stopy.

- Żaden ze mnie lord, ślicznotko. Zwykły angielski żołnierz, Tuold ze Swanlea. Ale obecny tu Godric - wskazał na towarzysza - jest giermkim i pewnego dnia założy rycerskie ostrogi.

Podziwiiała jego szczerość, ale nie odplaciła mu tym samym. Nie powiedziała mu, że została zgwałcona i obrabowana, że przeszła zapalenie płuc i dwa miesiące spędziła na kuracji w klasztorze. Przez fatalny zbieg okoliczności nie dostała się na dwór króla Wilhelma Rudego i nie miała możliwości wskazać zdrajcy. W zamian za to, jak zwykła markietanka, powędrowała w ślad za armią.

- Mam na imię Desiderata, mój słodki Tuoldzie. Nie dbam o tytuły - skłamała. Pogłaskała go po muskularnym ramieniu. - Mężczyzna przede wszystkim powinien być mężczyzną. Ty zaś, Tuoldzie ze Swanlea, wyglądasz mi na prawdziwego mężczyznę - powiedziała z naciskiem.

Nie przypuszczała, że to takie łatwe. Tuold wprost

ślinił się na jej widok. Postanowiła trochę przyhamować. Była głodna. Nie wiedziała tylko, jak nakłonić Turollda, żeby poskromił żądzę przynajmniej do końca wieczery.

- Mmmm. Smakowity zapach. - Wskazała na polec mięsa. - Zrobiłabym niemal wszystko, by móc się posilić.

- Wszystko, Desiderato?

- Wszystko. Ale po kolacji, Turoldzie. - Uznała, że do niego należy mówić bez ogródek.

- A zatem proszę, zjedz coś, a potem... dasz nam skosztować siebie. - Zaśmiał się ze swojego żartu.

Później, kiedy leżeli razem pod wybujałym wianem, Desiderata musiała przyznać, że miłość z Turoldem z Swanlea była dla niej całkiem nowym i przyjemnym doświadczeniem. To on najpierw doprowadził ją do ekstazy, zanim pozwolił sobie na szczyt uniesienia. Większość mężczyzn, z którymi sypiała przedtem, zupełnie o to nie dbała.

Teraz zasypiał z wolna, ale ona chciała dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

- Przystojny jesteś, Turoldzie, ale w twoich oczach czai się jakiś smutek - powiedziała i smukłym palcem przesunęła po jego szerokiej piersi. Wiedziała, że mężczyźni uwielbiają mówić o sobie. Któryż by się nie zwierzył ze swej *tristesse*, gdyby go zagadnęła normańska ślicznotka?

- Bystra z ciebie niewiasta, moja piękna Desi. Bystra i mądra, bo swoje smutki staram się głęboko chować, jak na mężczyznę przystało.

- Domyślałam się, że życie potraktowało cię niesprawiedliwie - szepnęła, prężąc się jak kotka w oczekiwaniu na pieszczoty.

- Na życie raczej nie narzekam. Chodzi o pewną kobietę - odparł. - Oszukała mnie, chociaż była moja.

- Twoja? O kim mówisz? - spytała. - Czuję, że już jej nienawidzę.

- Byliśmy zaręczeni. Dzień przed ślubem uciekła. W dodatku skradła mi wolność. Nie mogę poślubić innej, bo wciąż formalnie jest moją narzeczoną.

- Uciekła tak bez powodu? - Desiderata oparła się na łokciu, żeby lepiej widzieć Turola. Jeśli był skąpcem lub brutalem, nie zamierzała tracić nań czasu.

Zrobił niewinną minę.

- Może zbyt natarczywie okazywałem jej uczucie? W każdym razie zbiegła tak prędko, że nie zdołałem jej nawet przeprosić.

Desiderata zachichotała.

- Biedna, wystraszona dziewczyna! Nie rozpoznała w tobie prawdziwego męża? Głupia dziewczyna - dodała z przekąsem. - Ja bym nigdy tak nie postąpiła.

- Co gorsza, zostawiła mnie dla normańskiego diabła - burknął.

- Wszystkich Normanów uważasz za wysłanników piekła? - zapytała znaczącym tonem.

- Co takiego? Och, nie, Desiderato. Rzecz jasna, że nie wszystkich - rzekł przepraszająco, czym znów pobudził ją do śmiechu. - Nie pokazałem ci przed chwilą, że mam cię za anioła? Nie znoszę tylko takich, co kradną cudze żony!

- Dlaczego zatem nie dochodzisz swoich słusznych racji?

- Nie mogę. Jest lordem i synem earla. Nie mam też żadnych dowodów, że wciąż ją ukrywa. - Tuold zmarszczył czoło. - Chociaż podejrzewam, że nadal są ze sobą. Najpierw wyjechał do Normandii, z polecenia króla. Jak miałem za nim gonić? Muszę zadbać o gospodarstwo i o wiekową matkę. Lecz gdy tylko ta dziwka powróci kiedyś do Anglii... - Urwał nagle.

Desiderata w napięciu słuchała tej opowieści. Czyżby...

- Jak się nazywa ów normański rycerz, kochanie? Powiedz mi, a splunę mu prosto w twarz, jeśli go kiedyś zobaczę.

- Lord Ranulf z Kingsclere - odparł.

Jęknęła.

- Co się stało? Masz minę, jakbyś kiedyś zdążyła go już poznać. Oby szczeł jak najprędzej!

Roześmiała się krótko.

- Owszem, spotkałam go, i to całkiem niedawno. Słusznie go podejrzewasz. Była z nim twoja narzeczona.

- Aldyth? Aldyth z nim była?! - Tuold usiadł. - Gdzie? Jak? Skąd wiesz?

- Niestety, nie zdążyłam poznać jej imienia. Prawdziwego imienia - podkreśliła.

Przygryzła usta na wspomnienie sceny w łożnicy Ranulfa.

- Widziałam ją na zamku księcia Henryka w Cotentin. Tam mieszkałam - wyjaśniła. - Ranulf przyjechał

z paziem o imieniu Edward. Był dlań bardzo czuły. Nawet go podejrzewałam o... jak to nazwać? Perwersję. Ale nie. Odkryłam wkrótce, że domniemany Edward w istocie jest dziewczyną.

- Nienawidzisz Ranulfa - domyślił się Tuold.

Spojrzała na niego spod oka. Czyżby jej zazdrość była aż tak widoczna? Powinna bardziej uważać.

- Nic dla mnie nie znaczy - powiedziała. - Nienawidzę zdrajców.

- Zdrajców? Cóż przez to rozumiesz, niewiasto? - Tuold zmarszczył brwi.

- A jak myślisz, co robił u księcia Henryka? Miał szpiegować Roberta z polecenia króla. Pewnie powie, że z tą samą misją trafił na zamek Henryka. To nieprawda. Nie spałam, kiedy rozmawiali. Wszystko słyszałam. Ranulf jest człowiekiem księcia, choćby na wszystkie świętości przysięgał wierność Wilhelmowi. Pomaga Henrykowi przejąć tron Anglii.

Tuold zagwizdał cicho.

- Zatem prawdziwy Ranulf z Kingsclere nie ma nic wspólnego z wyperfumowanym dworakiem, myślącym wyłącznie o strojach. Urodzony aktor! Bez trudu wkradł się do grona najbliższych doradców króla. Wiesz, jakie znaczenie mają twoje słowa, piękna Desiderato?

Skinęła głową.

- Wiem. Sę w tym, że nigdy nie dostanę audiencji u króla. Cóż mi po mojej wiedzy. Nie widziałam także, aby *cochon* Ranulf kręcił się gdzieś tutaj. Gdzie może teraz przebywać?

- Pojechał pod Rochester, oblegać biskupa Odon. Ale biskup był tu, w Pevensey i po upadku Tonbridge wpadł w nasze ręce. Wkrótce więc połączymy się z tamtym oddziałem. A potem... Ha! Już widzę twarz lorda Ranulfa, kiedy zdemaskujemy go jako zdrajcę przed królem!

Desiderata uśmiechnęła się w ciemności. Wreszcie dopełni się jej zemsta. Ciekawe, czy Wilhelm każe po prostu ściąć Ranulfa, czy będzie go torturował przed pozbawieniem życia.

Nagle coś przyszło jej do głowy. Przecież król chętnie wysłuchałby Turolde, a potem nagroził za cenną informację. Gdyby więc tak zdołała na stałe zatrzymać przy sobie Anglika, resztę życia spędziłaby w luksusie. Niestety, pozostawała jeszcze Aldyth. Za jej przyczyną łup mógł się wymknąć z rąk Desideraty.

- Turoldzie... - zaczęła. - Nadal pragniesz tej Aldyth?

W jej głosie pobrzmiwała nuta niepokoju.

- Nie - odparł. - Nie będę zjadał resztek z normańskiego stołu. Chcę tylko, żeby ta suka poniosła srogą karę za swoje przewinienia. To chyba ci nie przeszkadza, kochanie?

Pocałował ją.

- *Non* - odpowiedziała. - Nie przeszkadza, Turoldzie. Obiecuj mi, że jej nie popuścisz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Godric zamarł, gdy usłyszał groźbę Turolda skierowaną pod adresem Aldyth. Szukał swojego przyjaciela, bowiem dowódca oddziału zarządził zbiórkę. Pevensey chciało się poddać, więc należało omówić plan działania. Tuold wystarczająco długo przebywał poza obozem, aby już zaspokoić swoje przyziemne żądze. Godric wyruszył zatem, żeby go poszukać.

Nie zamierzał się skradać, bo nie chciał zaskoczyć Normanki z zadartą spódnicą. Tak się jednak złożyło, że nie zauważony znalazł się w pobliżu kochanków. I wcale tego nie żałował.

Kłamca i oszust! Po ucieczce Aldyth Godric pytał go po wielokroć o przyczynę dziwnego zachowania siostry. Tuold przysięgał głośno, że nic nie uczynił i że wszystkim winien wszeteczny Norman. Odmalował swą rozpacz w tak czarnych barwach, że Godric zgodził się pomóc mu w poszukiwaniach, choćby nawet miał przez to popaść w konflikt z Ranulfem, synem i dziedzicem swego lennego pana. Teraz jednak z ust Turolda usłyszał o „natarczywym okazywaniu uczuć” i zrozumiał, że w gruncie rzeczy chodziło o próbę gwałtu.

Godric zacisnął pięści i stał nieruchomo, choć miał

ochotę wyskoczyć z krzewów i wbić nóż w podłe serce zdrajcy.

Mylił się. Aldyth miała rację, że mu nie ufała. Nie tylko zawiódł ją, ale wręcz zmusił, by szukała ratunku w ucieczce. Przecież nie miała się do kogo zwrócić.

Uciekła do człowieka, przed którym chciał ją chronić. Do wymuskanego lorda Ranulfa. Jeżeli wierzyć słowom tej normańskiej dziwki, wciąż z nim była. Czy złamał jej serce? Uwiódł i chciał porzucić, zhańbioną, może z dzieckiem?

Tuold na razie był bezpieczny. Godric nie mógł tu i teraz wymierzyć mu sprawiedliwości. Król stanowczo zabronił bójek pomiędzy żołnierzami. Każde wykroczenie przeciwko dyscyplinie karano z całą surowością, do śmierci włącznie. Godric zaś nie chciał umierać za mord popełniony na parszywym wieśniaku.

Musiał jednak wyraźnie dać mu do zrozumienia, że będzie bronił bezpieczeństwa siostry. Brzydził się Tuoldem i już ani trochę nie uważał go za swojego przyjaciela.

Kilka dni później zadał niewinne pytanie:

- Tuoldzie, co byś teraz zrobił, gdybyś spotkał Aldyth?

Rzadko mieli okazję do prywatnej rozmowy, bowiem Tuold wciąż znikał gdzieś z Desideratą. Ona zresztą także szukała jego towarzystwa. W wolnych chwilach włączyli się po obozie albo przesiadywali przy ognisku. Tuold nawet wyprowadził się z namiotu, który przedtem dzielił z Godrikiem. Teraz jednak, kiedy stanęli pod

fortecą Pevensey, zdarzyła się sposobność do krótkiej pogawędki.

Turold błysnął oczami.

- A dlaczego pytasz? Widziałeś ją może? Wiesz, gdzie jest?

- Nie... nie - zapewnił go Godric. - Zastanawiałem się tylko, co naprawdę zamierzasz.

Turold popatrzył na niego z pozorną szczerością.

- Co zamierzam? Godricu, w każdej chwili powitam ją z szeroko rozwartymi ramionami. Oczywiście, o ile mnie zechce. Być może zrozumiała już, że zbłądziła. Przyjąłbym ją z wdzięcznością i uczynił żoną.

Kłamca. Godric gardził nim całym sercem. Postanowił przylgnąć do niego niczym mokra koszula i dopilnować, aby nie skrzywdził Aldyth.

Ranulf z pewnością nie sprowadził jej na pole bitwy. Czekala zatem gdzieś w bezpiecznym miejscu, być może w jego zamku, w pobliżu Winchester. Jak brzmiała ta nazwa? Beau... coś tam. Nie pamiętał.

Lecz co zamierzał Turold? Będzie czekał na ich spotkanie czy od razu zdradzi Ranulfa po połączeniu wszystkich oddziałów? Co wtedy? Ma mu w tym przeszkodzić?

Ranulf z Kingsclere był Normanem, czyli wrogiem każdego prawdziwego angielskiego patrioty. Co więcej, zhańbił Aldyth. Miałby uniknąć kary?

Gdzie tkwi prawda? Godric zsunął z czoła żelazny hełm i podrapał się w głowę.

Był przekonany, że wie lepiej. Że Normanowie to łajdacy. Co z tego wyszło? Czyżby się pomylił w stosunku

do Ranulfa, tak jak popełnił błąd, przyjaźniąc się z Turoidem ze Swanlea?

Może nie każdy z Normanów był potworem? Ojciec Ranulfa, earl, odnosił się doń łaskawie. Wybaczał młodzieńcze wybryki. W czasie kampanii Godric spotkał wielu uczciwych i dobrych rycerzy. Z drugiej strony, nie każdy Anglik zasługiwał na miano anioła. Turoid był najlepszym tego dowodem.

Najlepiej będzie, jeśli spokojnie wysłucha racji Aldyth. Może naprawdę jest szczęśliwa u boku normańskiego lorda? Jeśli tak, z czystym sumieniem pobłogosławi ich związek.

- Dziękuję, ojcze. Jesteśmy twoimi dłużnikami - powiedział Ranulf do mnicha, klęcząc u boku Aldyth przed niewielkim ołtarzem w kościółku parafialnym w okolicach Strood. Podał mu sakiewkę.

- Dziękuję, synu - odparł ojciec Lefwin. Przyjął datki. - Życzę wam szczęścia i pociechy z dzieci.

Aldyth spłonęła rumieńcem. Czyżby ze wszech miar słusznie podejrzewał, że jest brzemienna? Ale nie. Jasne oczy mnicha nie kryły żadnych tajemnic. Zupełnie szczerze gratulował im zawarcia ślubu. Aldyth cieszyła się, że przywiozła z Beauworth przynajmniej jedną suknię i woalkę - choć nawet dobry kapłan zapewne zdumiałby się niepomiernie, gdyby wiedział, że pod *couvre-chef* skrywała włosy krótkie jak u chłopaka!

Pożegnali się z zakonnikiem i pojechali w dół ulicy, do niewielkiego domu, wynajętego przez Ranulfa. Pierwszą noc w oficjalnym związku chcieli spędzić sami,

a dopiero potem dołączyć do armii ściągającej pod Rochester.

Mąż. Ranulf nareszcie był jej mężem, chociaż, prawdę mówiąc, uważała się za jego pełnoprawną żonę już od pobytu w Cotentin. Kiedy mu jednak wyznała, że spodziewa się dziecka, nie wahał się ani chwili.

Ślub odbędzie się teraz, oznajmił, choćby jedynym świadkiem miała być gospodyni księdza. Był już początek lata, a nikt nawet nie wspominał o rychłym zakończeniu walk z buntownikami. Normañscy baronowie nie poddawali się tak łatwo. Ranulf doszedł do wniosku, że nie wolno mu dłużej zwlekać z dopełnieniem wszelkich formalności.

Zapewniał Aldyth, że ją kocha, i nie chce, aby ich dziecko obciążała niesława pochodzenia z nieprawego łoża. Obiecał, że po zakończeniu wojny, za zezwoleniem króla, uroczyście odnowią małżeńską przysięgę - w Beauworth, w obecności obu rodzin i przyjaciół.

Przyrzekli sobie, że w noc poślubną zapomną o bitwach, spiskach i intrygach. Aldyth spojrzała na mały domek, który na krótki czas miał się stać ich schronieniem, miejscem ucieczki od spraw tego świata.

Kiedy tylko weszli do środka, Ranulf porwał ją w ramiona.

- Och, najmiłsza. Cudowna z ciebie panna młoda. Pocałował ją z całej siły, aż jej dech zaparło. Widziała miłość w jego oczach.

- Wydajesz mi się cudowniejsza, bo wiem, że nosisz nasze dziecko.

- Ejże, mój drogi. Pamiętaj, że znam cię nie od dzi-

siaj. Zręczny jesteś w prawieniu komplementów. A o dziecku dowiedziałeś się zaledwie przed paroma dniami.

Prawdę mówiąc, była rzeczywiście szczęśliwa. Nie miała jeszcze objawów typowych dla brzemienności, więc cieszyła się każdą chwilą.

- Myślisz, że ojciec Lefwin coś podejrzewał, Ranulfie? Zauważył, że jestem brzemienna?

Musnął ustami jej czoło.

- Nie, kochanie. Przecież w dalszym ciągu można cię objąć dłońmi w pasie!

Próbował to udowodnić z tak przejętą miną, że Aldyth zachichotała.

- Z drugiej strony, coś mi podpowiada, że zdaniem Roberta FitzHaimo odpowiedniejszym imieniem dla Edwarda byłaby Edwina - powiedział z szerokim uśmiechem.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia. Może mi się zdawało. Zauważyłem, że dziwnie spogląda w moją stronę. Kiedy go zapytałem, czy mogę na kilka dni oddalić się od armii, uśmiechnął się tajemniczo i zaraz skinął głową. Mimo wszystko, nie musimy się go obawiać. To dobry człowiek.

Aldyth westchnęła. Wiedziała, co będzie dalej.

- Tego samego, niestety, nie da się powiedzieć o Turoldzie. Jeśli nie zginął - w co wątpię - niedługo zjedzie wraz z oddziałami króla. Zostań, proszę, w jakimś bezpiecznym schronieniu. Choćby tutaj. Możesz tu mieszkać tak długo, jak tylko zechcesz. Przyrzeknij mi,

że zostaniesz. Ze zgrozą myślę o twoim powtórnym spotkaniu z Tuoldem.

- Kochany, obiecaliśmy sobie, że dzisiejszej nocy będziemy mówić wyłącznie o miłości - przypomniała mu stanowczym tonem. - Umówiliśmy się już kiedyś, że będę go unikać. I tak się stanie. A teraz pocałuj mnie, Ranulfie. Zabierz mnie do łóża i kochaj się ze mną. Nic a nic nie straciłam na ciebie ochoty.

Na plaży nad Zatoką Pevensey trwała radosna uroczystość. Król triumfował. Piraci księcia Roberta zostali przepędzeni przez flotę z Cinque Ports. Dowódca garnizonu Robert z Mortain ogłosił kapitulację. Nawet biskup Odo został pochwycony i stał się jeńcem króla. Na jutro zarządzono wymarsz do Rochester, aby rozprawić się z niedobitkami buntowników.

Rozpalono dziesiątki ognisk. Żołnierze piekli woły i kurczęta ofiarowane im przez wdzięcznego Wilhelma Rudego. Piwo lało się strumieniami. Markietanki tańczyły wśród płomieni, przyodziane w krótkie spódnice, wszak była już połowa czerwca. Co chwila któraś zniknęła wśród cieni w towarzystwie wojaka. Wracała z kieszą cięższą o parę srebrnych monet. Zaiste, były to prawdziwe zniwa.

Maud spoglądała na obozowisko ze szczytu stromego brzegu sterczącego nad zatoką. Zmrużyła oczy. W skłębionej masie wojska szukała Tuolda.

Nie przyszło jej to łatwo. Przybyła za nim do Londynu, lecz tam jej powiedziano, iż armia już wyszła w pole. Podążyła więc do Tonbridge, gdzie ją wyśmie-

no i odesłano do Pevensey. Po drodze ukradła osła jakiemuś mnichowi. Nie miała wyrzutów sumienia. Cóż mogło być lepszego niż jazda na wierzchowcu, którego grzbiet posłużył niegdyś Marii Dziewicy? Szybko i wygodnie dotarła nad zatokę. Zaczęła wypatrywać męża.

Och, jaki Tuold będzie szczęśliwy na widok wyęsknionej żony! Na jego urodziwej twarzy zagości jasny uśmiech. Krzyknie radośnie, podbiegnie i chwyci ją w ramiona. Potem zasmuci się chwileczkę na wieść, że straciła dziecko, ale zaraz znajdzie jakiś ustronny kącik i tam zlegną pospołu, by skrzesać nowe życie. Potem ją będzie czcił, szanował i wielbił aż do końca życia.

Zapiała triumfalnym śmiechem, kiedy go wreszcie dostrzegła. Barczysty wojak siedział przy ognisku, obgryzając udziec. Przy okazji zerkał znacząco na jakąś tańczącą nierządnicę.

Maud zmarszczyła brwi. A niech mu tam. Popatrzeć nie zaszkodzi. Zapomni o niej, jak tylko usłyszy o powrocie kochanej żony.

- Słodka Desiderato, choć na chwilę siądź mi na kolanach! - zawołał Tuold i machnął na wpół ogryzioną kością w jej stronę. Rudowłosa Normanka gięła się w dziwnym tańcu, nazwanym przez nią mauretańskim. Jej ruchom towarzyszyły głośne okrzyki zgromadzonych przy ognisku wojaków. W głębokim wycięciu sukni widzieli jej gładkie piersi.

- Wiem, po co mnie wzywasz! - krzyknęła do kochanka. - Nie przekupisz mnie kawałkiem kapłona!

- Nie muszę! Mam dla ciebie coś znacznie lepszego!

Żołnierze gruchnęli śmiechem. Wszyscy z wyjątkiem Godrica, który ostatnio stał się ponurakiem. Turolld nie zwracał większej uwagi na jego humory. Dzisiaj miał szczerą ochotę popić i pochędożyć. A że najbliższym mu było do Desideraty... Wyciągnął rękę i chwycił ją za piersi. Pisnęła, zwała się na niego i z chichotem zaczęła całować.

- Turolldzie, czemu nie pójdziemy gdzieś dalej od tej gawiedzi, żeby w spokoju celebrować nasze wielkie zwycięstwo?

Desiderata złopła piwo na równi z żołnierzami, lecz uważała się za nieco lepszą od zwykłej markietanki i nie chciała kochać się z nim na plaży. Turolld po pewnym czasie przyzwalająco skinął głową. Był już mocno pijany, więc na pewno zaśnie przed końcem „rozkoszy”. Nie szkodzi. Już na początku wieczora poprosił ją o rękę, zatem zdobyła wszystko, czego chciała. Teraz oczekiwała tylko posłuchania u króla.

- Przyjdź do mnie za momencik, dobrze? - zagruchała. - Będę gotowa.

Wstała i odeszła w stronę gęstych krzewów, które od dłuższego czasu służyły im za schronienie.

Maud obserwowała tę scenę z odległości kilkunastu kroków. Żaden z żołnierzy jej nie zauważył. Teraz po cichu poszła za Desideratą.

Normanka rozłożyła derkę na piasku. Nagle zauważyła obok jakąś ciemną postać.

- Kim jesteś, dziewczko, że ośmielasz się uwodzić mego męża?! - wykrzyknęła Maud.

Desiderata ze zdumieniem popatrzyła na niechlujną

postać, z kołtunem na głowie i zakrzywionymi palcami, przypominającymi szpony.

- A kim ty jesteś? - zapytała chłodno, zła, że ktoś jej usiłował popsuć nastrój radosnego święta. To chyba jakaś wariatka, zwabiona hałasami. Wystarczy dać jej miedziaka, to sobie na pewno pójdzie.

- Maud, żona Turola! - Czupiradło podeszło bliżej.

- Mylisz się. - Desiderata była już naprawdę wściekła. - On wcale nie ma żony. Na razie. Wkrótce weźmiemy ślub.

- Turold ze Swanlea należy wyłącznie do mnie. Dał mi dziecko, ale je straciłam. Teraz da mi następnę.

Desiderata popatrzyła na nią. Może to rzeczywiście jedna z dawnych dziewczek Turola? Przecież nie mogła go potępić. Sama nie była święta.

- Należy do mnie - wycodziła z naciskiem. - Na ciebie by nawet nie spojrział. Masz tu miedziaka i odejź. Kup sobie coś do jedzenia albo znajdź kogoś, kto cię poczęstuje piwem. A może oprócz piwa doda ci dzieciaka?

Zbyt późno zdała sobie sprawę, że głupio postąpiła, drażniąc się z wariatką z dala od ludzkich oczu. Maud wyszarpnęła spod płaszcza sztylet.

Desiderata rozejrzała się, szukając złamanej gałęzi lub czegokolwiek, co mogłoby posłużyć jej do obrony. Własny nóż zostawiła przy ognisku, żeby jej nie przeszkadzał w tańcu.

Wrzasnęła z przerażeniem, kiedy Maud rzuciła się w jej stronę.

Tuold usłyszał głos Desideraty, kiedy tylko wstąpił na wąską ścieżkę wiodącą między krzewy. Wołała go. Potem krzyk umilkł i zapadła upiorna cisza. Nagle rozległ się przeraźliwy chichot. Tuold rzucił się pędem.

Chwilę później przedarł się przez krzaki, lecz było już po wszystkim. Rozczochrana wiedźma w poszarpanym płaszczu tańczyła nad trupem Normanki, śmiejąc się przeraźliwie i wymachując zakrwawionym nożem.

- Mówiła, że jesteś jej, Tuoldzie! Powiadała, że nie dasz mi więcej dzieci! Że się z nią ożenisz! Głupia była, prawda? Głupia, Tuoldzie, głupia! Pokazałam jej, że jest głupia! - wykrzykiwała.

- Maud? - zapytał z niedowierzaniem.

Piwo wywietrzało mu z głowy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Popatrzył najpierw na rozradowaną wariatkę, która kiedyś była jego kochanką, a potem na ciało Desideraty. Piękna Normanka miała rozplątane gardło niemal od ucha do ucha. Krew wciąż chlustała z rany, szeroko rozwarte oczy nieruchomo patrzyły w niebo.

Skąd tu się wzięła Maud? To chyba jakiś koszmar. Jak go znalazła, taki kawał drogi od Swanlea?

- Zabiję cię! - ryknął.

Rzucił się na Maud, ale ta ze zręcznością typową dla obłąkanych uniknęła jego ataku i z donośnym chichotem znikła w ciemnościach nocy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

- Jeśli on jest więźniem, to ja papieżem - mruknął Urse pewnego czerwcowego dnia na widok królewskiej armii.

Ranulf popatrzył spod hełmu na jadącego na czele kolumny biskupa w odświętnych szatach. Odo dosiadał białego muła. Obok niego podążał król na swym ruma-ku. Z daleka wyglądali jak stryj z bratankiem, zgodnie dowodzący wojskiem, a nie jak jeniec ze zwyciężcą.

- Jeśli ma kajdany, to raczej niewidzialne – przytaknął Ranulf.

W tej samej chwili biskup Odo powiedział coś do króla. Obaj się roześmieli.

- Weszło im - mruknął Urse. Splunął na ziemię. - Odo to chytra sztuka. Rudy dobrze by zrobił, gdyby chociaż na chwilę zapomniał o łączących ich więzach pokrewieństwa. Biskupowi nie wolno ufać.

Ranulf skinął głową. On i Robert FitzHaimo czekali przed frontem oddziałów na królewski orszak. Popatrzył na maszerujące oddziały Anglików. Gdzieś tam, wśród setek żołnierzy w spiczastych hełmach i skórzanym kurtach, szedł Turoid, dawny narzeczony Aldyth, i brat jej, posepny Godric.

Miał nadzieję, że czas - i rozłąka - ułagodzą gniew

Godrica. Wprawdzie Aldyth o tym nie wspomniała, ale domyślała się, że w głębi duszy tęskni za bratem i liczy na to, że po zakończeniu wojny ich stosunki ułożą się jak należy.

Ranulf zacisnął zęby na wspomnienie prymitywnego Turolda, który tak brutalnie potraktował Aldyth. Nawet odwzajemniona miłość do ukochanej żony nie zgasła drzemiącej w nim nienawiści.

Aldyth, zgodnie z obietnicą, większość czasu spędzała w ich wspólnym namiocie, a wychodząc, głęboko naciągała kaptur na głowę. Był jednak koniec czerwca i panował upał, nie łagodzony nawet chłodnym powiewem znad Medway. Jak miała, na Boga, uniknąć zaciekawionych spojrzeń?

Dopiero teraz zrozumiała, że Ranulf miał rację. Powinna jednak wyjechać i poczekać w małym domku w pobliskim Strood, tam, gdzie spędzili noc poślubną. Dlaczego była taka uparta?

Nie zamierzał skorzystać z przywileju męża i siłą odprawić ją od siebie. Po pierwsze, nie chciał być tyranem. Po drugie - bał się. Cóż by bowiem poczęła, gdyby coś mu się stało? Kto by ją powiadomił o nagłym nieszczęściu? Do kogo miałyby się zwrócić, gdyby buntownicy przedarli się spod Rochester i pojechali na południe, właśnie w kierunku Strood?

Nie było czasu na zastanowienie. Kości zostały rzucone. Armia połączyła się w zwartą całość. Turold na pewno nie będzie narzekał na brak zajęć w czasie oblężenia. Nie starczy mu sił i ochoty na prywatne sprawy.

Co teraz robi książę Henryk? Od miesięcy nie wy-

mieniali listów i wiadomości. Czy nie zamierzał skorzystać z zamieszania w Anglii dla realizacji własnych celów? Dlaczego nie przysłał choć krótkiej wiadomości czy polecenia, jak Ranulf powinien w tej sytuacji się zachować?

Król i jego dostojny więzień wstrzymali wierzchowce przed oddziałem. Ranulf zeskoczył z siodła i klęknął w pyłe drogi. FitzHaimo poszedł za jego przykładem.

- Dobrze się spisaliście, moi panowie - przemówił król. - Jesteśmy zadowoleni. Dzięki wam zyskaliśmy okazję, aby zająć Pevensey. - Uśmiechnął się. - Teraz mamy dla was jeszcze jedno zadanie. Mój stryj, jego ekscelencja biskup, zgodził się podjąć negocjacje z załogą zamku Rochester. Czterech z was pojedzie jako jego eskorta, z białą flagą pokoju.

Biskup Odo pociągnął nosem. Małe oczka niemal ginęły w jego nalanej twarzy. Patrząc na niego, Ranulf miał wrażenie, że spogląda na groźną żmiję.

FitzHaimo odchrząknął, lecz nic nie powiedział. Ranulf zrozumiał, że zdał się na niego.

- Wasza kólewska mość wybaczy mi śmiałe słowa, ale czyż biskup w rzeczy samej nie należał do buntowników? - zapytał.

Zdawał sobie sprawę, że stąpa po cienkim lodzie.

Czerwona twarz Rudego poczerwieniała jeszcze bardziej.

- Właśnie, mości królu - dodał FitzHaimo, który zdecydował się poprzeć Ranulfa. - Jeśli wolno mi mówić wprost, to dlaczego mamy go wpuścić do zamku?

Odo wyduł usta i popatrzył na obu rycerzy.

- Nie wierzą w szczerość moich intencji, bratanku.
Rudy przybrał gniewny wyraz twarzy, jego oczy miały błyskawice.

- Nasz stryj poddał się naszej woli. To nam wystarczy. Sam podjął się roli orędownika pokoju.

Na tym dyskusja została zakończona.

- Błagam cię, wasza królewska mość, wybierz mnie do tej czwórki - zabrzmiał jakiś głos zza pleców Wilhelma.

Ranulf rozpoznał Perrina z Petersfield, gołowąsa, który od zeszłej jesieni był giermkim króla. Młokos nosił już złote ostrogi. A zatem Wilhelm pasował go na rycerza podczas obecnej kampanii. Chyba jedynie po to, aby usprawiedliwić obecność faworyta w wojskowym obozie.

- Ho, ho! - zawołał Rudy. - Chcesz się okryć chwałą? Dlaczego nie? Jedź, jedź. Będziesz niósł białą flagę. A zatem zostaje nam tylko jeden. Niech będzie Hugh z Avranches. Dołączysz do nich, milordzie?

Earl Chester skinął głową i z kpiącym uśmiechem spod oka spojrzął na sir Perrina. Ranulf pomyślał: w razie walki będzie nas tylko trzech.

- Zostawcie tutaj miecze i tarcze. Pojedziecie bez broni, na znak dobrej woli - rozkazał król.

Cała krew odpłynęła z twarzy Ranulfa. Czy ten Rudy zwariował? Zakłada im pętlę na szyję?

- Wasza królewska mość raczej żartować - przemówił Hugh z Avranches, jako najstarszy z nich rangą.

- Nie bądźże starą babą, milordzie! Stoi za wami potęża cała Anglii! Buntownicy nie są głupcami! - z em-

fazą zawołał król. - *Eh bien*, nie ma czasu na próżne gadanie.

Ktoś wręczył Perrinowi drzewce z białą flagą.

- Ruszajcie, królewscy posłowie. Czekają na was.

Ranulf zacisnął zęby i posłusznie odpiął pas z mieczem. Z powrotem dosiadł konia. Miał nadzieję, że Al-dyth nie patrzy teraz na niego. Odo czekał na nich ze znudzoną miną.

Królewska armia stała nie dalej niż trzysta jardów od murów zamku Rochester. Pięciu królewskich posłów pokonało zaledwie dwie trzecie drogi, kiedy na ich spotkanie wyjechało dwunastu uzbrojonych po zęby rycerzy.

FitzHaimo mruknął coś niespokojnie.

- To tylko powitanie - zapewnił go Odo, lecz w tej samej chwili buntownicy dobyli mieczy i popędzili konie.

FitzHaimo zaklął i próbował pochwycić wodze wierzchowca biskupa. Odo uderzył go maczugą wyjętą z szerokiego rękawa.

Ranulf już miał na ustach rycerskie zawołanie. Chciał rzucić się na dostojnego jeńca, lecz nagle rozległ się donośny okrzyk:

- Nie! - rozkazał Hugh z Avranches. - Jest ich zbyt wielu. Nie stawiajmy oporu. Wyznaczą za nas okup!

Miał rację. Już byli otoczeni. Jedyne Perrin z Petersfield okazał się zbyt głupi, żeby posłuchać dobrej rady.

Odrzucił białą flagę, wyrwał sztylet zza pasa i ruszył na przeciwników.

- Idiota! - zawołał Ranulf. Wbił ostrogi w boki rumaka i popędził za nim.

Dopadł go w mgnieniu oka, chwycił w pól i ostrym szarpnięciem wyciągnął z siodła. Przerzucił młokosa przed sobą niczym worek mąki i zawrócił.

Perrin szarpał się jak szalony.

- Zamilknij i uspokój się - warknął Ranulf. - Pomódl się lepiej, abyśmy cali wrócili do swoich.

W pełnym galopie wpadli między wrogów.

Ranulf przynaglił konia. W pewnej chwili zobaczył tuż przed sobą postać wymachującą mieczem.

Bez tarczy nie mógł się obronić. Szarpnął wodze. Rumak skręcił gwałtownie i ostrze miecza, miast na ramię, spadło na udo rycerza.

Ranulf poczuł przejmujący ból. Zaklął pod nosem. Czuł, jak krew ścieka mu strugą do buta. Ból zmienił się w tępe odrętwienie.

- Za Boga i Kingsclere! - krzyknął Ranulf ile tchu w płucach.

Wierzchowiec skoczył jak dźgnięty ostrogą, odstąpił zęby i wyrwał się z okrążenia. Przeciwnik, potrącony przez rozpedzone zwierzę, wyleciał z siodła jak z procy. Inni po chwili pozostali w tyle. Ranulf bezpiecznie dotarł do swoich.

Król ze świtą wyjechał mu naprzeciw. Pochwycili rozpedzonego rumaka. Wilhelm osobiście pomógł zsiąść rozrzuśonemu Perrinowi. Ktoś podtrzymał słaniającego się Ranulfa.

- Dzięki Bogu, że zdołałeś go uratować! - krzyknął

władca. Jego głos jakby z ogromnej odległości dobiegał do uszu rannego Ranulfa.

- Nic ci nie jest, Perrinie?

Młody rycerz przecząco potrząsnął głową.

- Ranulfie, to b-był najdzielniejszy czyn, jaki widziałem w swoim życiu! -jąkał się Wilhelm, w podnieceniu zapomniawszy o królewskim „my”. - Jestem ci bardzo wdzięczny za to, że ocaliłeś Perrina. Nie minie cię nagroda. Och, Perrinie, co cię opętało? Chciałeś popełnić samobójstwo? Dołączyć do grona świętych? Chłopcze, chłopcze, wolę cię mieć żywego!

- Biskup... Odo... - zaczął Ranulf i zakreśliło mu się w głowie. Zaczęło padać. Poczul krople deszczu na twarzy.

- Całkiem bezpieczny za murami zamku, wśród swoich popleczników. A wraz z nim, jako jeńcy, Fitz-Haimo i Hugh z Avranches. Śmieje się pewnie teraz z mojej królewskiej głupoty! Milordzie, zezwalam i tobie na to, byś mnie wyśmiał.

Ranulf naprawdę miał ochotę spełnić życzenie króla, lecz tracił czucie w nogach.

- Wasza królewska mość - wykrztusił i zwałił się w ramiona giermka.

Deszcz zmienił się w ulewę.

Aldyth widziała wszystko. Ukradkiem stanęła za plecami rycerzy wpatrzonych w wydarzenia rozgrywające się pod murami zamku. Nikt nie zwracał uwagi na szczupłego pazia, przeciskającego się przez szeregi zbrojnych. Deszcz dał jej okazję, by naciągnąć kaptur, który zakrył pół twarzy.

Widziała, jak Ranulf dosiadł wierzchowca i wraz z biskupem i trzema innymi rycerzami ruszył w stronę gniazda rebeliantów.

Nie! - wykrzyknęła w duchu. Nie widzicie, że to pułapka?! Zdawała sobie jednak sprawę, że nikt by jej nie posłuchał. Ach, ci mężczyźni! Zdolni do największych szaleństw w imię źle pojętego honoru!

Zacisnęła dłonie na widok zbrojnej grupy nadciągającej od Rochester. Oddział przewyższał liczebnością ludzi króla. Błysnęły miecze. Aldyth zakryła usta, kiedy zobaczyła, że jeden z posłów rzucił się w stronę wroga. Patrzyła, jak Ranulf go przechwycił i powiózł z powrotem.

Jęknęła z przerażenia, widząc miecz spadający na nogę męża. Jej głos utonął w gniewnych okrzykach stojących wokół żołnierzy. Przez kilka chwil, gdy Ranulf toczył zawzięty bój o swoje życie, jej usta poruszały się w bezgłośnej modlitwie.

Armia nie otrzymała rozkazu do ataku. Wszystko zdarzyło się zbyt szybko. Most zwodzony opadł zaledwie na moment, aby wpuścić biskupa, dwunastu buntowników i dwóch jeńców. A potem nastąpiła cisza.

Aldyth patrzyła wyłącznie na Ranulf a. Widziała, jak powoli zsunął się z siodła i bezwładnie opadł na ziemię u stóp króla.

Nie wytrzymała. Z krzykiem zaczęła się przepychać przez żołnierzy.

- Ranulfie! Ranulfie!

Otrzymał śmiertelną ranę? Zginął?

Wydawało jej się, że biegnie całą wieczność. W stru-

gach deszczu przypadła do ukochanego. Podtrzymywali go już ludzie króla.

- Al... Edwardzie! - krzyknął Urse na jej widok. - Nie... Nie podchodź. Nie możesz go teraz widzieć.

Nawet go nie słyszała.

- Hej, a to kto? Paż lorda Ranulfa? - zawołał ktoś. - Spokojnie, chłopcze. Spokojnie.

Jeden z rycerzy zdjął hełm z głowy rannego i odgarnął mu włosy z trupiobladej twarzy. Ktoś mu ściągnął kolczugę. Aldyth zobaczyła plamy krwi na tunice.

Z krzykiem rzuciła się w stronę Ranulfa. Nie zdołali jej powstrzymać. Zapłakana, wodziła rękami po jego piersi, szukając oznak życia.

Wydało jej się, że wciąż oddycha. Przyłożyła mu rękę do szyi. Tak, krew pulsowała nadal... ale tętno było zbyt szybkie i nieregularne. Rana wciąż krwawiła.

- Błagam! Nie widzicie, że on się wykrwawi?! Pomóżcie mu, na litość boską!

Zasypała go pocałunkami. Może ostatni raz w tym życiu? - przebiegło jej przez głowę.

- Wezwać medyków do mojego namiotu! - krzyknął Rudy, stojący u jej boku. - Dalej! Zanieście go na łóżko! Ty zaczekaj. - Pochwycił Aldyth za rękę.

Patrzyła bezradnie, jak unoszą nieruchome ciało.

Dopiero potem uświadomiła sobie, co naprawdę zrobiła.

- Spójrz na mnie - rozkazał król.

Aldyth wzdrygnęła się, gdy ujął ją pod brodę. Poczuliła na sobie badawcze spojrzenie lekko wylupiastych migdałowych oczu.

- To dziewczyna - oznajmił Wilhelm. Przesunął palcem po jej policzku, jakby chciał zbadać, czy ma miękką skórę.

- Dziewczyna! - powtórzyli jak echo zgromadzeni wokół rycerze.

- Paź lorda Ranulfa okazał się dziewczyną! - zahuczowało w szeregach zbrojnych.

Król nadal się jej przyglądał.

- Powiedz coś. Przyznajesz, że mam rację?

- Tak - powiedziała z płaczem. - Tak, wasza królewska mość. Przyznaję.

- Kim jesteś? I dlaczego nasz Ranulf przyjął cię na służbę? Nazywał cię Edwardem, czy tak jakoś, prawda? Po co to robił?

Wilhelm z ukosa zerknął na Perrina.

- Ranulf objawił nam się w całkiem innym świetle - mruknął.

Miała się przyznać? Powiedzieć prawdę? Oznajmić, że jest jego żoną?

- Wasza kólewska mość, lord Ranulf nie chciał cię oszukać. Ukrywał mnie z dobroci serca, bo poprosiłam go o pomoc... - zaczęła.

Ktoś przepchnął się przez zbrojnych i powiedział:

- Królu, sądzę, że powinienes coś wiedzieć. To Al-dyth z Sherborne, moja zbiegła narzeczona.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Aldyth oniemiała patrzyła na przemoczonego deszczem żołnierza. Widziała błysk triumfu w bladoniebieskich oczach.

- Nie... -jęknęła.

Nie tutaj! Nie teraz, gdy Ranulf umiera! Król odwrócił się zadziwiająco szybko, jak na kogoś o jego tuszy.

- A tyś kto, obwiesiu?

Turoid głośno przełknął ślinę, zanim zdobył się na odpowiedź.

- Turoid ze Swanlea, wasza królewska mość. Najwierniejszy z twoich angielskich poddanych.

Przerwał, bo Wilhelm dał mu niecierpliwy znak, żeby przeszedł do rzeczy.

- To moja niewiasta. To znaczy, narieczona. Uciekła od rodzinnego szczęścia, aby żyć w grzechu z demonem, którego właśnie stąd zabrano.

- Uważaj, jazgocząca angielska sroko - ostrzegawczo rzekł Rudy. - Mówisz o normańskim rycerzu i moim zaufanym wasalu.

Turoid pobladł, lecz brnął dalej.

- Wasza królewska mość nie wie...

- Wybacz, mości królu, że przeszkadzam, ale przy-

był posłaniec z zamku buntowników - zawołał Beaumont, zagłuszając słowa Turola. - Chce z tobą natychmiast rozmawiać w sprawie zakładników. Rudy popatrzył najeźdźca.

- Tak? Stawiają żądania, chociaż cała Anglia stoi pod ich murami?

- Wasza... - zaczął Turol.

- Nie mamy czasu na czcze rozmowy o zbiegłych żonach czy narzeczonych. Prawdopodobnie zasłużyłeś na to! - burknął Wilhelm i odwrócił się, żeby odejść.

- Chodzi o zdradę, królu! - z desperacją zawołał Turol.

Król szarpnął głową. Krople deszczu posypały się z jego rdzawych włosów.

- Zdradę? Nie rzucałbym pochopnie takiego oskarżenia, kmiotku.

- Wiem, co mówię, wasza królewska mość - wydukał Turol. Drżał i niepewnie oblizywał usta.

Wilhelm popatrzył na Beaumonta. Ten wyciągnął rękę w stronę czekającego jeźdźca. Posłaniec buntowników trzymał tę samą białą flagę, którą wcześniej porzucił Perrin.

Król westchnął.

- Wysłucham cię, Turolu ze Swanlea, jutro w południe. Lecz na nic twoje oskarżenia, jeśli rana lorda Ranulfa okaże się śmiertelna. Gdy on umrze, nie obchodzi mnie los tej dziewczki.

Z niechęcią spojrzął na Aldyth i odszedł.

- Do jutra zostaniesz ze mną - oznajmił Turol i wyciągnął rękę po dziewczynę.

- Nie! - krzyknęła. - Muszę zostać przy rannym. Daj mi spokój, Turoldzie. Nie masz prawa mi rozkazywać.

- Chodź, uparta wywłoko, bo ciężko pożałujesz! - warknął.

- Zostaw w spokoju moją siostrę - rozległ się nowy głos.

- Godric!

Aldyth odwróciła się i szeroko otwierając oczy, popatrzyła na brata. Deszcz spływał mu ze złocistych kędziorów. Rozwarł ramiona.

- Och, Godricu! - Rzuciła mu się w objęcia. Wie działa, że nie musi się go obawiać.

Uśmiechnął się lekko, lecz zaraz spoważniał.

- Nie waż się jej nawet dotknąć - powiedział do Turolda. - Zostanie przy mnie do czasu posłuchania. Potem zobaczymy.

- Odstąp, Godricu. To moja narzeczona. Wiesz, że mam do niej prawo. - Turold potrząsnął pięścią.

Aldyth przelekła się, że brat jednak ustąpi przed takim żądaniem.

- To nieprawda... Nie. - wyjąkała.

Wodziła wzrokiem po twarzach mężczyzn.

Godric wsparł rękę na krótkim, jednosiecznym mieczu.

- Powiedziałem już, że zostanie ze mną do czasu audiencji u króla - powtórzył. Nie spuszczał wzroku z Turolda. Ten wreszcie odwrócił głowę.

- Niech będzie. Zatem do jutra - warknął i popatrzył na Aldyth. - Kiedy opowiem wszystko Wilhel-

mówi, twój kochanek i tak zginie. Będiesz pierwszą rzeczą, jakiej zażądam w nagrodę!

Odszedł.

Aldyth drżała jak w febrze. Nazwał ją rzeczą. Więcej szacunku miał dla psa niż dla niej. Matko Przenajświętsza, mówił tak, jakby naprawdę poznał tajemnicę Ranulfa i wiedział o jego tajnych układach z Henrykiem! Jak to możliwe?

Ale przynajmniej na chwilę musiała zapomnieć o groźbach Turola ze Swanlea. Ranulf był ranny. Może umierał. Jej obowiązkiem było zostać przy nim.

Oczami pełnymi łez spojrzała na brata.

- Godricu, pozwól mi iść do Ranulfa. Błagam. Potem ci wszystko wytłumaczę. Chcę wiedzieć, czy żyje!

Popatrzył na nią i widać zrozumiał, bo wolno skinął głową.

- Pójdę z tobą.

Rzuciła się niemal biegiem. Pospieszył za nią.

Chwilę później wpadli do królewskiego namiotu. Jakiś siwobrody starzec pochylał się nad Ranulfem. Obok stał zatroskany Urse. Aldyth z niepokojem spojrzała na twarz męża, bledszą od prześcieradła, na którym go złożono.

- Czy on... - nie mogła wykrztusić nic więcej.

- Żyw, ale ledwo dycha - odparł królewski medyk.

- Ktoś ty?

Przelotnie zerknęła na Godrica.

- Żona lorda Ranulfa. Zauważyła, że drgnął zaskoczony.

- Czy on... - powtórzyła.

Medyk obrzucił spojrzeniem jej chłopięcy strój i wystrzyżone włosy, lecz najwyraźniej uznał, iż nic mu do tego.

- Czy wyżyje? Nie wiem, wszystko w ręku Boga. Wypaliłem ranę, więc krwawienie ustało.

Wskazał na żelazny pręt leżący na ziemi. Nie tak dawno do czerwoności rozgrzał go nad paleniskiem i przycisnął do otwartej rany. Aldyth zrozumiała teraz, skąd wziął się w namiocie swąd palonego ciała.

Byłaby upadła, gdyby Godric jej nie podtrzymał.

- Dobrze, że był nieprzytomny, bo nie czuł potwornego bólu. Nie miałem innego wyjścia - ciągnął medyk. - Teraz potrzeba czasu. Niech się wyśpi, a posiłki niech przyjmuje w płynie, kiedy już będzie mógł przełykać. Zostawię ci wyciąg z maku, młódko. To na uśmierzanie bólu. Ale podawaj mu go ostrożnie; najwyżej jedną lub dwie krople. Większa dawka może okazać się śmiertelna.

Aldyth skinęła głową. Dla Ranulfa przetrzyma najgorsze katusze.

Popołudnie minęło jak z bicza strzelił. Aldyth wciąż siedziała przy mężu i bacznie go obserwowała. Kładła mu rękę na piersiach, sprawdzając, czy jeszcze odycha. Życie wciąż w nim się tliło.

W pewnym momencie, wciąż nieprzytomny, zaczął jęczeć. Jeszcze nie mógł przełykać, więc nie była w stanie mu pomóc. Modliła się więc do Boga i wszystkich świętych w niebie, żeby ulżyli mu w cierpieniach.

Godric i Urse próbowali namówić ją, aby coś zjadła,

ale odprawiła ich ruchem ręki. Nie w głowie jej było jedzenie.

Koło północy po raz pierwszy dała mu wyciąg z maku. Otworzył oczy, lecz chyba jej nie poznał.

Dwie godziny później przyłożyła mu zimny okład na rozpalone czoło. Dopiero przed świtaniem zaczął się na dobre pocić i zapadł w głęboki sen, spokojny i bez koszmarów.

Urse wyszedł przed namiot. Miał podejrzenie wilgotne oczy. Nie wracał przez kilka minut.

Godric, który drzemał w drugim kącie namiotu, przebudził się i podszedł do siostry.

- Wygląda nieco lepiej - powiedział.

Przyłgnęła do niego z płaczem. Więc wyżyje!

Ale co z tego, jeśli Turoid zdradzi go przed królem? Zadygotała ze strachu.

- Bez względu na wszystko nie oddam cię w ręce Turoida - zapewnił ją Godric, błędnie oceniwszy przyczynę jej przerażenia.

- Ma takie okrutne oczy - szepnęła. - Jak mogłam kiedyś myśleć, że zaznam z nim rodzinnego szczęścia?

- Oboje się myliliśmy co do niego, Aldyth. Mam czego żałować. Słusznie mi nie ufałaś. Gdybyś wówczas przybiegła do mnie, na pewno bym ci nie uwierzył. Pomagałem ci ściągać. - Pokręcił głową. - Zdołasz mi kiedyś wybaczyć?

Oczywiście!

Uścisnęła go z całej siły. Był jej jedynym oparciem. Zmienił się. Pamiętała go jako szczupłego młodzieńca. Teraz stał się mężczyzną.

- Godricu... - zaczęła. Musiała mu powiedzieć prawdę. - Oboje się myliliśmy także co do Ranulfa.

Zesztywniał lekko, lecz nie wypuścił jej ze swoich objęć.

- To dobry człowiek, chociaż Norman. Potrafisz mi uwierzyć? Walczyłeś przecież w armii króla. Na pewno spotkałeś dzielnych i prawych Normanów.

Odchyliła głowę. Chciała patrzeć bratu w oczy. Chciała być pewna jego myśli.

- Owszem - przytaknął po pewnym czasie.

- Jego poprzednie zachowanie było wyłącznie na pokaz. To tylko gra, Godricu. Dodam, że bardzo niebezpieczna gra.

- O czym ty mówisz?

Bała się tego pytania.

- Nie mogę powiedzieć. To przecież nie moja tajemnica.

- Lepiej powiedz, siostrzyczko. Muszę znać całą prawdę, zanim zdecyduję się, jak postąpić!

Z uporem zacisnęła zęby. Aldyth po cichu podeszła do wyjścia z namiotu. Rozejrzała się. W chłodnym świetle poranka zobaczyła kilku śpiących zbrojnych. Wyglądali na Normanów. To dobrze. Nawet gdyby nie spali, na pewno jej nie zrozumieją. Będzie mówiła po angielsku. Rzadko który zniżał się do tego, żeby poznać język pokonanych.

Szeptem opowiedziała bratu o powiązaniach Ranulfa z księciem Henrykiem.

W milczeniu pokiwał głową.

- Godricu... - wyszeptała na koniec. - Sądzisz, że Turolde wie coś o tym?

Zamyślił się..

- Niby skąd? Chyba że ta normańska dziewczka coś mu nagadała.

- Normanka? Skąd się wzięła? Pamiętasz jej imię?

- Desiderata. W sam raz dla nierządnicy - dodał ze złośliwym uśmiechem. - Z jej słów wynikało, że całkiem niedawno przybyła do Anglii.

- Wszystko jasne. - Aldyth zgarbiła się, jakby przgnieciona wagą tej informacji. - Uciekła z zamku Henryka. Musiała ich kiedyś podsłuchać. Ranulf opierał się jej wdziękom, więc poszukała zemsty.

- Turoid był jej kochankiem. Chyba mieli się pobrać. Przed kilkoma dniami zginęła - sucho oznajmił Godric.

Opowiedział jej o Maud i o tragicznych wydarzeniach na plaży w Pevensey.

- A więc to tak... - jęknęła. - Godricu, on zdradził Ranulfa przed królem! Wyda go w ręce kata!

Załamano dłonie.

- Powiem Turoidowi, że wróć do niego. Może to go powstrzyma.

Godric pokręcił głową.

- Za późno. Już raz wymienił imię twojego... - Urwał, po czym spytał po chwili: - Aldyth, wspomniałaś medykwowi, że Ranulf jest twoim mężem?

Przytaknęła.

- Pobraliśmy się w Strood. Noszę... jego dziecko. Chcieliśmy wziąć ślub wcześniej, ale król... Ranulf nie chciał czekać, jak tylko się dowiedział. - Rozpłakała się na dobre.

- Uspokój się, siostrzyczko. - Godric pogłaskał ją po krótkich włosach. - Nie zostaniesz wdową.
- Co chcesz zrobić? - zapytała z nagłą nadzieją.
- Tylko to, co muszę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Ktoś chwycił ją za ramię i potrząsnął.

- Milady.

Otworzyła oczy. Urse stał obok królewskiego medyka. Czyżby naprawdę zasnęła? Jak mogła, skoro była potrzebna Ranulfowi?

Medyk przechwycił jej spojrzenie i położył palec na ustach.

- Proszę się nie bać, lady Aldyth. Żyje. Śpi teraz i będzie spał, jeśli mu na to pozwolimy. Zapewnić mu spokój to najlepsze, co można teraz dla niego zrobić. Rozmawiałem dziś rano z twoim bratem, milady. Czuwał nad sir Ranulfem, gdy spał.

Popatrzył na rannego.

- Przed chwilą obejrzałem jego ranę. Wkrótce powinna się zagoić. Jestem pewien, że wyzdrowieje.

- Dzięki Panu naszemu i Maryi Dziewicy - z przejęciem westchnęła Aldyth.

- Amen. W gruncie rzeczy to twoja zasługa. I rozgrzanego żelaza - dodał z uśmiechem. Potem jednak spoważniał. - Milady, słońce już prawie stanęło w zenicie. Król kazał mi cię zawezwać na posłuchanie. Czekaj przy dębach, w grupie rycerzy, którzy mają wysłuchać oskarżeń pod adresem lorda Ranulfa.

Rzeczywiście, przez otwarte wejście do namiotu wpadało jasne słońce.

- Ale... Ranulf. - Zerknęła na śpiącego męża. - Przecież nie może się bronić. Jak więc przeciw niemu wnosić oskarżenie?

Medyk niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

- Nie znam się na tych sprawach, milady. Wiem tylko, że posłuchanie ma odbyć się w południe. Sądzę, że król wstrzyma się z wyrokiem, aż lord Ranulf w pełni wydobrzeje.

Urse mruknął coś gniewnie.

- Wstrzyma się z wyrokiem - powtórzyła Aldyth. Serce waliło jej jak młotem. - Wszystko jasne. Przyjdę tam jak najszybciej.

Medyk uklonił się i odszedł.

- Pójdę do króla, milady - powiedział Urse. - Przekonam go, żeby zaczekał...

Przerwała mu ruchem dłoni.

- Nie, Urse. To mój obowiązek. Wyjdź na chwilę. Muszę się przebrać.

Olbrzym usłuchał bez słowa.

Aldyth umyła się i włożyła suknię, którą prawdopodobnie w nocy przyniósł tutaj Godric, wraz z resztą jej bagaży. Była to ta sama suknia, którą miała na sobie w dzień ślubu.

Upięła welon i spojrzała w maleńkie zwierciadło. Czy tak powinna wyglądać dzielna żona rycerza?

A gdzie Godric? I co znaczyły tajemnicze słowa, że „zrobi, co będzie musiał”? Przecież na pewno zdawał sobie sprawę, że po dobroci nie przekona Turolda.

Wyszła z namiotu. Urse natychmiast stanął u jej boku.

- Zostań ze swoim panem - powiedziała.
- Śpi teraz - rzekł z uporem. - Na pewno chciałby, żebym ci towarzyszył, pani.

- Aldyth z Sherborne! - zawołał król Wilhelm Rudy z ironicznym uśmiechem. - Cieszymy się, że przynajmniej dzisiaj pokazałaś się nam w sukni.

Siedział na obozowym krześle, w asyście swoich notabli oraz biskupa Canterbury. Wszyscy z zaciekawieniem spoglądali w jej stronę.

- Tak, wasza królewska mość - odparła pokornie, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Mamy dzisiaj wysłuchać zarzutów niejakiego Turolda ze Swanlea, angielskiego włościanina, który twierdzi, że zostałaś mu przyrzeczona i że odbyły się zaręczyny, przeciwko lordowi Ranulfowi z Kingsclere, z którym to łączą cię, powiedzmy, zażyłe stosunki.

Roześmiał się krótko. Notable posłusznie mu zawtórowali.

Godric siedział ukryty wśród listowia, na drzewie, po lewej stronie króla. Nikt go nie zauważył. Ucieszył się, gdy zobaczył ogromnego giermka, stojącego u boku Aldyth.

Turolda nie mógł dopaść. Barczysty Anglik widać coś przeczuwał, przez cały czas bowiem obracał się wśród żołnierzy. Ani przez chwilę nie pozostał sam, aż do dzisiejszego ranka. Godric zresztą nie miał ochoty na rozmowę. Wybrał pewniejsze rozwiązanie, choć

wiedział, że to najlepszy sposób na rychłe pożegnanie z życiem.

Nie uważał się za dobrego łucznika, gdyż wolał walkę na miecze, nie wracał jednak z polowań z zupełnie pustymi rękami. A Turolde z tej odległości był dlań wyjątkowo łatwym celem. Pozostawało zatem tylko czekać. Godric oparł się o pień drzewa i przesunął w dłoni smukłą strzałę.

- Najpierw wyjaśnimy sprawę pomniejszej wagi - oznajmił Rudy. - Czy to prawda, lady Aldyth, że opuściłaś tego tu człowieka, choć byłaś mu przyrzeczona za przyzwoleniem Kościoła, i uciekłaś z lordem Ranulfem, który w owym czasie z naszego rozkazu odbywał podróż do Normandii?

- Tak, królu - odpowiedziała drżącym, ale donośnym głosem. Ukryty na drzewie Godric uśmiechnął się z dumą.

- Dlaczego, niewiasto? Przecież Turolde wygląda na porządnego człowieka, silnego i przystojnego. Poza tym, tak jak ty jest Anglikiem.

Król czekał na jej odpowiedź.

- W przeddzień ślubu odkryłam, że jest zwykłym brutalem. Nie mogłabym wyjść za niego za męża.

- To szczerza prawda, najjaśniejszy panie. Przybyła do nas pobita i posiniaczona - dodał Urse, ale Wilhelm nie zwrócił na słowa giermka żadnej uwagi.

- Brutalem? Wszak mężczyzna jest panem niewiasty. Ona winna mu posłuszeństwo. To nauka Kościoła. Mam rację, arcybiskupie?

Stary, surowy arcybiskup Lanfranc poważnie skinął głową.

- Co nam odpowiesz na to, Aldyth z Sherborne?

Śmiało spojrzała na ich twarze.

- Znam nauki Kościoła. Jednakże Tuold ze Swanlea wziął moją pokojówkę na kochankę, a kiedy mu to wypomniałam, zamierzał mnie ukarać w sposób, jak sądzę potępiany przez całe duchowieństwo, a mianowicie gwałtem. Zapowiedział też, że nadal będzie z nią współżył.

Wśród zebranych zawrzało.

- Czy to prawda, Tuoldzie?

Włóścianin skrzywił się.

- Może istotnie byłem natrętny w swych afektach, ale o gwałcie nie ma mowy. Chciałem jej tylko udowodnić, że będę dobrym i troskliwym mężem.

- Kłamca! - krzyknęła Aldyth.

- Przypominamy wam, że stoicie przed obliczem królewskiego majestatu i przysięgaliście mówić prawdę - powiedział Wilhelm. - Zatem, niewiasto, twierdzisz, że nastawał na twoją niewinność. Uciekłaś wówczas i udałaś się do lorda Ranulfa, którego, jak mi mówiono, znałaś już od dzieciństwa.

Gordic słuchał, jak siostra zrelacjonowała wszystko to, co się jej przydarzyło, poczynawszy od przybycia do Winchester, a kończąc na rejsie do Normandii.

- I tam zaczęłaś dzielić z nim łóżce? - zapytał król. Urse zachnęła się, lecz co mógł zdziałać zwykły giermek?

Doradcy króla znacząco spoglądali na Aldyth. Postrzegali ją teraz inaczej.

Oprócz Godrica, jeszcze dwie pary oczu pilnie śle-

dziły przebieg procesu. Jedna z nich należała do Ranulfa, który przebudził się na tyle wcześniej, żeby usłyszeć końcowy fragment rozmowy Aldyth z medykiem. Ubrał się sam, chociaż przy tym dwa razy niemal zemdlał, i stanął pośród tłumu. Jak dotąd ani żona, ani król go nie spostrzegli.

Drugim obserwatorem był ktoś, kto straciłby dosłownie wszystko, gdyby Aldyth wróciła do Turola.

Aldyth zaczerwieniła się przy pytaniu króla, ale skinęła głową.

- Tak, zostaliśmy kochankami, panie. Miłowałam go już od dzieciństwa i wcale się tego nie wstydzę.

Turol posiniał ze złości.

- Słyszeliście, dostojni panowie? Sama przyznała się do grzechu!

- I mimo to chcesz ją z powrotem? - kpiąco zapytał Rudy. Baronowie parsknęli śmiechem.

- Jest moja, wasza królewska mość. Dam jej dobrą lekcję, jak wrócić na drogę cnoty! - burknął Turol.

- Nie należę do tego człowieka. Na prośbę lorda Ranulfa nasz narzeczęński kontrakt został anulowany - dumnie odparła Aldyth i wyciągnęła przed siebie zrolowany pergamin, który przez cały czas trzymała w zaciśniętej dłoni.

- Anulowany? - ryknął Turol. - To niemożliwe! Nic o tym nie słyszałem!

Chciał sięgnąć po dokument, ale Urse zastąpił mu drogę.

Wilhelm bez słowa podał pergamin arcybiskupowi. Lanfranc przeczytał go uważnie.

- Jest tak, jak powiedziała, królu - stwierdził po dłuższej chwili. - Podpisane przez biskupa Rouen.

Podniósł się gwar. Turoid pobladł, a potem znów poczerwieniał.

Godric czekał, czy Aldyth wspomni o swoim małżeństwie. Wówczas jej honor i dobre imię byłyby uratowane. Ale ślub wzięli bez zgody króla.

Milczała. Woląta w oczach zebranych uchodzić za nałożnicę, niż narazić męża.

- A niech tam jakiś biskup skrobie sobie, co zechce! - krzyknął Turoid. - Teraz ja wam opowiem coś o zacnym lordzie Ranulfie.

Przerwał nagle i spojrzał w prawo. Godric poprzez gałęzie nie mógł tam nic dostrzec.

- Tu jest! Czekaj na wyrok śmierci! - Turoid wyciągnął palec.

Aldyth odwróciła się.

- Ranulf! - krzyknęła.

Niebaczna na dostojne grono podbiegła do rannego męża i wsparła go swoim ramieniem.

Godric świsnął przez zęby. Podziwiał rycerza, który jeszcze niedawno stał na krawędzi śmierci, a teraz przybył, by śmiało spojrzeć w oczy swoim oskarżycielom. Nic dziwnego, że Aldyth go kochała.

- Witaj, milordzie - odezwał się król. - Chyba nie powinieneś jeszcze wstawać z łoża boleści?

Godric kątem oka zauważył poruszenie wśród gapiów. Jakaś zjawa w brudnych łachmanach przedzierała się przez kordon angielskich żołnierzy. Prawdopodobnie któraś z markietanek, szukająca klienta. Do końca

rozprawy nikogo nie znajdziesz, dziewczko, pomyślał i odwrócił głowę.

- Chyba nie, królu - zgodził się Ranulf.

Mówił z wyraźnym trudem i ledwie trzymał się na nogach, choć był podtrzymywany przez giermka i Aldyth. Po dłuższej chwili zebrał siły i ponownie się odezwał:

- Przyszedłem tutaj, żeby wysłuchać kłamstw i oszczerstw, które ten niewart imienia człowieka gagatek chce mi zarzucić. Będę dowodził, że działa powodowany nienawiścią i chęcią zemsty. Przedstawię jej królewskiej mości prawdę.

- Bardzo dobrze, milordzie. Przysięgnij zatem na relikwie, że powstrzymasz się od kręctw.

Ranulf złożył przysięgę.

- Mów, Turoldzie ze Swanlea - rozkazał król.

Kobieta w łachmanach, widziana wcześniej przez Godrica, wysunęła się spoza drzewa. Skradała się do Turolda, lecz zauważył ją jeden z pisarzy arcybiskupa.

- Wynoś się stąd, kobieto! - zawołał i ruszył w jej stronę. - Nie wolno...

Maud nawet na niego nie spojrzała. Zraniona miłość przywiodła ją do szaleństwa.

- Nie dostaniesz go, suko! - zaskrzeczała. - Turolld jest mój!

Sztylet błysnął na mgnienie oka w jasnych promieniach słońca.

Aldyth krzyknęła. Zawtórowały jej okrzyki kilku przestraszonych notabli.

Urse warknął coś i skoczył na wariatkę. Ranulf też

się poruszył, ale Maud była dużo szybsza. Zanim ktokolwiek jej przeszkodził, wbiła nóż w plecy Turola.

Ten dopiero teraz zrozumiał, co się dzieje. Próbował się odwrócić, lecz nagle odeszły go siły. Wybałuszył oczy.

Maud wybuchnęła chichotem.

Krew popłynęła z ust Turola. Upadł na twarz.

Podbiegł do niego jeden z mnichów i przyłożył mu rękę do szyi. Po chwili wstał.

- Nie żyje.

Godric ciężko opierał się o gałąź. A zatem ta oszalała kobieta go wyręczyła. Westchnął z ulgą.

W kępie dębów panowała upiorna cisza, przerywana jedynie szlochem Maud, kulącej się u boku trupa. Na rozkaz króla dwóch zbrojnych chwyciło ją za ręce i wywlokło na bok.

Wilhelm popatrzył na Ranulfa.

- Twój oskarżyciel zginął, milordzie - powiedział ze spokojem, jakby codziennie był świadkiem mordu.

- Tak, królu.

- Wczoraj, kiedy domagał się twojej niewiasty, wykrzykiwał coś także o zdradzie - dodał król. - Niestety, nic nam już nie powie.

Ranulf głęboko zaczerpnął tchu.

- Zapłacił straszną cenę za swoje kłamstwa, Wasza Wysokość.

Wilhelm przypatrywał mu się przez chwilę. Godric na swojej gałęzi wstrzymał oddech. Król parsknął śmiechem.

- Można tak powiedzieć. Ale zostało jeszcze kilka

rzeczy do wyjaśnienia, mój drogi. Co począć z Aldyth z Sherborne? Opowiedziała nam, że ją ocaliłeś przed groźnym brutalem. Zachowałeś się jak prawdziwy rycerz. A już myśleliśmy czasem, że bardziej gustujesz w strojach i dobrych koniach niż w miłości.

Ranulf uśmiechnął się i powiedział z dawnym rozleniwieniem:

- Cóż na to rzec, najjaśniejszy panie? Zostałem usidlony przez parę szmaragdowych oczu.

Opiekuńczym ruchem objął ramiona Aldyth.

- Wasza królewska mość, proszę cię o przyzwolenie, abym mógł ją poślubić.

Rudy pozornie namyślał się przez chwilę, zawzięcie trąc brodę.

- Prosisz o wiele, mój panie. Kampania opróżniła skarbiec, a przecież znajdują się tacy, którzy z prawdziwą chęcią więcej za nią zapłacą. Na przykład Beaumont. Co ty na to, milordzie?

Beaumont jak urzeczony wpatrywał się w Aldyth.

- Jako rzekłeś: z chęcią, najjaśniejszy panie.

Ręka Ranulfa powędrowała do rękojeści miecza, lecz pochwyciła tylko pustkę. Był nieuzbrojony. Groźnie łyknął spode łba.

- Nie wątpię, że są bogatsi, lecz żaden z nich nie uratował wczoraj twojego chorążego, panie - powiedział, ironicznie podkreślając rolę Perrina z Petersfield.
- Przyrzekłeś mi nagrodę.

Król odchylił głowę i donośnym śmiechem skwitował zuchwałość wasala. - Celny strzał, milordzie.

Zawsze dotrzymuję słowa.

Możesz ją pojąć za żonę i... chyba nie muszę wątpić w twoją wierność?

- Nie, królu - odparł Ranulf, lecz patrzył w oczy Aldyth.

Tydzień później, kiedy Ranulf na dobre już stanął na nogi, wzięli ślub - ponownie, ku rozbawieniu Aldyth - w obecności króla.

Rankiem, gdy leżeli w łóżu po rozkoszach drugiej już poślubnej nocy, Ranulf sięgnął za siebie i wyjął zwój pergaminu.

- Nie kłamałem, mówiąc Rudemu, że może mi za ufać - powiedział.

Usiadł na brzegu łóżka.

Aldyth rozpoznała pieczęć księcia Henryka. Ranulf zaś czytał na głos:

Mojemu wasalowi, Ranulfowi z Kingsclere, pozdrowienia. Jak pamiętasz, nie kryłem przed tobą moich planów, dotyczących angielskiego tronu. Przyznać jednakże muszę, że wspomniane plany na razie odchodzą w bliżej mi nieznaną przyszłość. Wiem, że byłeś mi wierny i że chciałeś pomóc. W czasie wybranym przeze mnie na zbrojną wyprawę obserwowałem jednak pilnie przebieg wydarzeń po drugiej stronie Kanału i doszedłem do wniosku, że jeszcze nie pora. Mój starszy brat cieszy się poparciem angielskiego ludu. Nie sądziłem, że aż tak chętnie pociągną pod jego sztandary.

Teraz niewielką miałbym szansę na zmianę tych nastrojów. Lecz czas działa na moją korzyść, milordzie.

Mój brat nie pali się do małżeństwa, a księżę Robert gnusnieje gdzieś na swoim zamku. Jeżeli Bóg pozwoli, będę królem Anglii. Nie zapomnę wówczas o Twojej wierności, Ranulfie. Nie chcę jednak narażać Twojej rodziny, przeto cię zwalniam z obowiązków, jakie spełniałeś dotychczas. Mam nadzieję, że jak najszybciej poślubisz piękną lady Aldyth i dasz jej dzieci, bo jeżeli tego nie uczynisz, to klnę się, że sam przyjadę, by wynagrodzić jej ten despekt.

Henryk, księżę Avranches i Cotentin. Wielce prawdopodobny król Anglii i księżę Normandii

Aldyth przez chwilę leżała w milczeniu.

- Trefniś z niego, nieprawdaż? - zapytał z uśmiechem Ranulf. - Kurier przywiózł to pismo dzisiaj rano. A Henryk nie wie nawet, że już wcześniej podjąłem decyzję, iż mam dość książąt, królów i władzy. Niech się rządzą własnymi prawami. Rad będę zapewne, widząc Henryka na tronie, lecz nie wrócę na dwór. Od dzisiaj tylko ty się liczysz, Aldyth. Ty i nasze dziecko.

Ucałowała jego rękę i przyciągnęła bliżej siebie.

- Och, Ranulfie.

Długo smakowali tę chwilę.

POSŁOWIE

Od autorki

Podstęp, dzięki któremu biskup Odo połączył się z buntownikami broniącymi zamku Rochester, jest faktem historycznym. Radość jednak nie trwała zbyt długo. Oblegany garnizon, wyczerpany upałem, chorobami, robactwem i - przede wszystkim - zniechęcony brakiem spodziewanej odsieczy ze strony księcia Normandii, poddał się w lipcu. Żołnierzom darowano życie, mogli zachować broń i konie.

Wkrótce potem bunt wypalił się całkowicie. Wilhelm Rudy zdusił jeszcze jedną rebelię, w 1095 roku.

Wilhelm II, zwany popularnie Rudym, nie był najlepszym królem Anglii, lecz nie był też najgorszym. Niewierzący i twardogłowy, nie pozostawił po sobie następcy, ale wybudował wspaniałą Westminster Hall.

Jego brat Henryk zasiadł wreszcie na tronie, lecz przyszło mu czekać aż jedenaście lat, do 1100 roku. Wilhelm zginął na polowaniu w New Forest, dokąd wybrał się w towarzystwie Henryka i niejakiego Waltera Tyrrela. Podniosły się głosy, że nie był to wypadek, bo-wiem Tyrrel zbiegł, a Henryk natychmiast udał się do Winchester, zagarnął skarbiec i koronował się na króla.

Dopiero potem zadbał o pogrzeb brata. Książę Robert, wracający z krucjaty, zastał go już na tronie.

Henryk przez sześć lat płacił mu kontrybucję, a później pokonał w bitwie pod Tinchebrai. W ten sposób zdobył księstwo Normandii. Robert przesiedział dwadzieścia osiem lat w więzieniu i zmarł w celi.

Henryk, chociaż bezwzględny, miał zadatki na wspa-
niałego króla. Zwany był Lwem Sprawiedliwości, bo
ustanawiał surowe, lecz uczciwe prawa i przedkładał
sądy nad bitwę. Za jego panowania nie było niepoko-
jów, gdyż nikt nie wątpił, kto jest prawdziwym władcą.

Poślubił Edytę, którą zwał Matyldą, wywodzącą się
z rodu angielskiego króla, Edwarda Wyznawcy. Miał
z nią córkę Matyldę i syna Wilhelma, w którym upatry-
wał następcy. Wilhelm jednak utonął w katastrofie
„Białego statku”. Żona Henryka także zmarła, więc
podstarzały król ożenił się ponownie, w nadziei na po-
tomka. Zmarł jednak, zanim królowa Adelicja zaszła
w ciążę. Tron przejęła Matylda, która nie cieszyła się
poparciem poddanych i toczyła walkę o władzę ze swo-
im kuzynem, Stefanem z Blois. Stefan panował w la-
tach 1135-1154, lecz koronę przejął po nim na mocy
wcześniejszych układów syn Matyldy Henryk II. Stało
się to jeszcze za jej życia.